ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400 NR 4 (171) KWIECIEŃ 2013 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)

Duszący eter

prawdy, półprawdy i kłamstwa – kulisy gliwickiej prowokacji Heydricha

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

9 771505 610056 04

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

KWIECIEŃ 2013

3 **Wybuchowy weekend z „Odkrywcą”**
VIII Konferencja popularnonaukowa
Bydgoszcz 17-19 maja 2013

OPINIE/POGLĄDY

5 **Nieczyste zagranie**
Izabela Kwiecińska, Piotr Maszkowski

POSZUKIWANIA

9 **Skarby Obwodnicy**
Piotr Adamczyk

12 **Skarbowa racja stanu, czyli poszukiwania wyższej konieczności…**
Amerykanin wyciągnął z kieszeni plan, rozrysowany jeszcze w Nowym Jorku przez Kastana. Jego interpretacja nie wymagała szczególnych umiejętności, zwłaszcza, że skrytka nie była zbyt wymyślna. Gdy zainteresowani dotarli pod wskazany adres, okazało się, że wszystko jest zgodne z opisem. Zaczęli rozkuwać posadzkę, następnie chwycili za łopaty przekopując niewielkie pomieszczenie…
Piotr Maszkowski

16 **Broń wyrzucano wszędzie (zrzutowisko Kłodzko)**
Wojtek Stojak

18 **Tragiczne dzieje zamku Podskale**
Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 4)
Szymon Wrzesiński

TAJEMNICE HISTORII

25 **Tragedia „Stuttgartu”**
Storpedowany „Wilhelm Gustloff” tonął w ciemnościach mroźnej, styczniowej nocy, a jego pasażerowie masowo umierali w lodowatych wodach Bałtyku. Tragedia trafionego bombą „Stuttgartu” rozgrywała się na oczach setek ludzi podczas ciepłego, październikowego dnia. Zatopienie „Gustloffa” wielu uważa za zbrodnię wojenną, chociaż zgodnie z prawem międzynarodowym nie była to zbrodnia. Z tego samego punktu widzenia zbombardowanie „Stuttgartu” było zbrodnią wojenną, chociaż nigdy za taką nie zostało oficjalnie uznane…
Leszek Adamczewski

30 **Gleiwitz – miejsce, gdzie dwukrotnie „Umarła Babka”, czyli rzekoma operacja „Himmler”**
Dariusz Pietrucha

KULISY HISTORII

37 **Pogromca fregat z Gdyni**
„Wojna dorszowa”
Krzysztof Kubiak

ŚLEDZTWO ODKRYWCY

39 **Rozkazuję milczeć!**
Anatol Sawicki – ostatni komendant lwowskiej Polski Podziemnej
Janusz Skowroński

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

44 **Legenda nie całkiem prawdziwej pustyni (cz. 2)**
Tomasz Rzeczycki

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

49 **Gra, jak film Hitchcocka…**
Tomb Raider 2013
Piotr Maszkowski

50 **„Militarna” Białołęka**
Piknik Historyczny, Port Żerański
18-19 maja 2013
Izabela Kwiecińska

KOLEKCJONERSTWO

51 **Amunicja herbu „Kościesza”**
Znakowanie amunicji karabinowej z okresu II RP
Piotr J. Bochyński

BATALIE I POTYCZKI

54 **Najmniejsza armia sojusznicza III Rzeszy**
Wehrmacht i Kałmucy 1942-1945
Leszek Molendowski

FORTYFIKACJE

61 **Ostatnie zwiedzanie fortu VIIa**
V Weekend Forteczny, Poznań
27-28 kwietnia 2013
Przemysław Maćkowiak

64 **Niemiecka, bierna obrona przeciwlotnicza w okupowanej Warszawie (cz. 1)**
Jakub Jakubowski

69 **Ufortyfikowane mosty kolejowe we Wrocławiu**
Stanisław Kolouszek

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości kwietnia w Księgarni Odkrywcy**

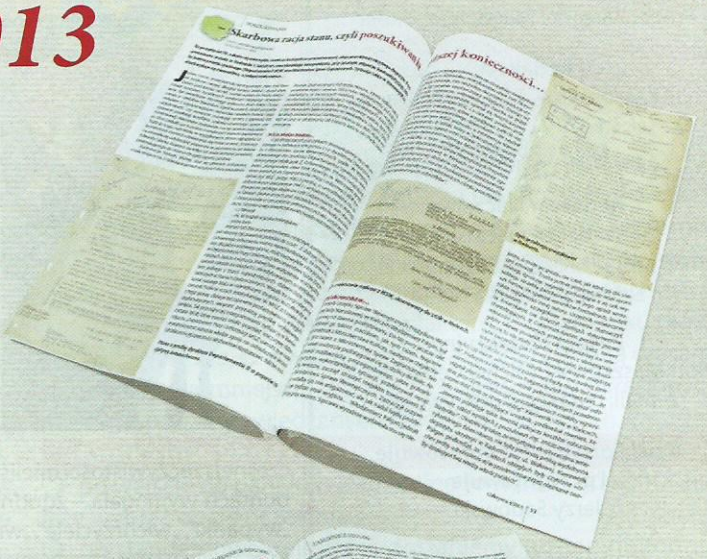

Okładka:
Radiostacja w Gleiwitz (Gliwice), rok 1935.
Widok zewnętrzny radiostacji.
Zdjęcie: zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński, Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Drodzy Czytelnicy

Zapewne wielu z Was część życia przeżyło w Polsce wytrwale budującej socjalistyczny ustrój sprawiedliwości i dobrobytu mas robotniczo-chłopskich. Budowa społeczeństwa „nowego typu" cieszącego się dobrodziejstwem socjalizmu i raźno zmierzającego ku światłu komunizmu, zakończyła się, rzecz jasna, całkowitą katastrofą poprzedzaną kolejnymi konwulsjami sytemu, przybierającymi później dla odróżnienia nazwy polskich miesięcy. I tak mieliśmy: „polski październik" – bo odwilż gomułkowska, Poznański Czerwiec – bo tzw. wypadki poznańskie, które w istocie były cywilnym powstaniem, Grudzień '70 – to oczywiście wypadki na Wybrzeżu 1970 roku, a jeszcze przecież wichrzycielski Marzec '68. Celowo używam słów wprost przywołujących określenia z podręcznika komunistycznej nowomowy, gdyż z takim właśnie zafałszowanym i zmanipulowanym przekazem ówczesnej rzeczywistości mieliśmy do czynienia przez lata PRL. Pamięć o kolejnych społecznych buntach wymagała – zgodnie z polityczną dyrektywą – jakiejś formy spacyfikowania, stąd „wypadki", „wichrzyciele", „wrogowie Polski" itd. Było też zawsze coś o logice historii, która w oczywisty sposób przyznawała rację, i tak do stanu wojennego w 1981, w którym pojawiła się tajemnicza „ekstrema", którą partia musiała siłą wojska i bezkompromisowością Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej zgnieść.

Ponieważ zupełnie inaczej niż w szkołach i środkach masowego przekazu o kolejnych Miesiącach i polskiej historii mówiło się w domach, przez lata żyliśmy w duszącej społecznej schizofrenii – rozczepionych światów dwóch świadomości, które musiały się przecież jakoś stykać w bieżącym życiu, ale które sobie wzajemnie kompletnie nie ufały. To, ze swojej istoty chore, bo ufundowane na kłamstwach zetknięcie, przybierało różne formy i objawiało się niejednokrotnie w sposób tyleż dramatyczny co tragikomiczny. Przybierało kształt teatralizowanych „akademii ku czci" podczas, których wszyscy odgrywali swoje role, a scenariusz pisał partyjny ideolog wraz z cenzorem wyposażonym w nożyczki i retusz. Doświadczenie systemu wychowawczo-edukacyjnego wprowadzonego przez władze PRL i partyjnego modelu patriotyzmu, zaowocowało w moim przypadku ciągłą obawą o szlachetność i prawdziwość wszelkich „zadekretowanych" uroczystości i dat upamiętniających historię. Wiem, że nie jest to obawa odosobniona, że nie tylko mi, hasło „Kwiecień Miesiącem Pamięci Narodowej", przypomina o jego pochodzeniu. W ludowej Polsce był to jeszcze jeden Miesiąc, w którym można było podważyć pamięć, oderwać ją od prawdy, zniekształcić, kogoś wynieść na piedestał, innego zrzucić z cokołu. Równocześnie jednak też, oddawano należny honor i cześć ofiarom II wojny światowej – tyle tylko, że i one nie były traktowane równo – o jednych pamiętano bardziej, o innych mniej, a o niektórych lepiej było zapomnieć całkowicie. I to właśnie pomieszanie znaczeń, stosowanie różnych skali wartości, różnej miary czynów i poświęceń było ohydne. Dlatego dzisiaj u progu kolejnego Kwietnia, w obliczu narastających prób podejmowanych przez różne środowiska, przykrawania historii, używania retuszów i przeinaczeń, najwyraźniej motywowanych względami bieżącego sporu politycznego, apeluję o porzucenie tej właśnie metody. Niechże wreszcie nasza własna historia zacznie łączyć – inaczej stanie się znowu jedynie narzędziem ideologicznym. I to już niestety, nie będzie wspólna historia…

Ale ponieważ są historycy uważający, że historię każdego narodu nie określają dokonania polityczne czy militarne, ale zjawiska u samych podstaw, życie przyziemne, codzienne, czas porzucić refleksje ogólne – spieszę więc z zaproszeniem do lektury materiału Piotra Adamczyka w najnowszym wydaniu „Odkrywcy". Skarby Obwodnicy – to historia życia codziennego dawnej Warszawy widziana przez pryzmat znalezisk, które odnalazł Autor w rejonie budowanej obwodnicy warszawskiej – okruchy minionego życia, archeologiczny „śmietnik", ułamki całości pozbawione wydawałoby się historycznego kontekstu, a jednak… Waga historycznego kontekstu ciąży z kolei w sprawie prawno-karnych perypetii jakie stały się udziałem osób zaangażowanych w czynności ekshumacyjne żołnierzy niemieckich prowadzone w imieniu VDK – Ludowego Niemieckiego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi na terenie Polski – materiał omawiający złożoną i wybitnie delikatną o międzynarodowym kontekście sprawę, publikujemy pod tytułem „Nieczyste zagranie", nie przesądzając wszakże o jej prawnym meritum w przekonaniu, że warta jest szerszego zainteresowania Czytelników i wzbudzi liczne komentarze.

W nadziei, że uda się Wam zakupić najnowsze wydanie naszego miesięcznika tuż przed Świętami Wielkanocnymi składam w imieniu całej redakcji najlepsze życzenia świąteczne i zapraszam do lektury!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Bydgoszcz 17-19 maja 2013 r.

VIII Konferencja popularnonaukowa

„Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«"

Przygotowania do Konferencji są prawie na finiszu, mimo że do jej rozpoczęcia pozostało jeszcze 8 tygodni. Zarysy programu przedstawialiśmy Wam w poprzednich numerach. Dla przypomnienia:

Piątek 17 maja – oczekujemy na Was od godziny 13:00 w biurze konferencyjnym, usytuowanym w hotelu „Zawisza". Konferencję zaczniemy oficjalnie o 16:00 w sali konferencyjnej hotelu. Wśród tegorocznych prelegentów znajdą się m.in. panowie: Jarosław Butkiewicz z Bydgoskiego Stowarzyszenia Miłośników Zabytków „Bunkier"; Maciej Kułakowski z Exploseum. Urozmaiceniem piątkowych prelekcji będzie projekcja filmu „Tryszczyn 1939". Tego dnia planujemy także zwiedzanie pobliskiego Muzeum Wojsk Lądowych. Jednak z powodu remontu, podziwiać będziemy ekspozycję zewnętrzną, wzbogaconą specjalnie dla nas o unikatowe zbiory tej placówki – za co serdecznie dziękujemy Dyrektorowi Muzeum, P. Mirosławowi Giętkowskiemu.

Sobota 18 maja – dzień zwiedzania: bunkra w Krąpiewie, Przedmościa Bydgoskiego oraz skansenu na schronie obserwacyjnym, Zespołu Pałacowo-Parkowego w Ostromecku, poligonu i Radiowego Centrum Nadawczego w Kabatach. Przerwę obiadową zaplanowaliśmy w Kruszynie. Po całodziennej wycieczce autokarowej spotkamy się przy wspólnym, wieczornym ognisku.

Niedzielne przedpołudnie 19 maja – przeznaczamy wyłącznie na zwiedzenie Exploseum. UWAGA! Będzie inny podział grup. Około 14:00 zakończymy VIII Konferencję i pożegnamy się na najbliższy rok. Mamy nadzieję, że w jej trakcie uda nam się wybrać miejsce naszego kolejnego spotkania.

Kilka bardzo ważnych, praktycznych informacji dotyczących rejestracji oraz noclegów.

Koszt jednej akredytacji to 162, 36 zł brutto (w tym 23% VAT). W ramach wpisowego każdy uczestnik ma zagwarantowany udział we wszystkich punktach programu Konferencji, zestaw materiałów konferencyjnych oraz transport. W cenie jest także ubezpieczenie. Inne koszty, w tym zakwaterowanie, czy sobotni obiad, uczestnicy opłacają niezależnie.

Rejestracja

Wzorem roku ubiegłego, rejestracja odbywać się będzie w formie elektronicznej. Po wejściu na naszą główną stronę: www.odkrywca.pl, znajdziecie tam wyraźną wskazówkę, w co należy kliknąć, aby przejść bezpośrednio do formularza rejestracyjnego. W tym roku obsługuje nas System Coffee. System jest bardzo intuicyjny i na pewno nie sprawi nikomu trudności. Jak zwykle należy podać swoje dane: imię, nazwisko, adres, mail i PESEL. Wiemy, że bardzo często uczestniczycie w Konferencji w gronie zaprzyjaźnionych osób z różnych miejsc w Polsce, którzy sami będą się rejestrować. Pamiętamy o tym, i w formularzu rejestracyjnym przewidzieliśmy dodatkowe rubryki z imieniem i nazwiskiem, w których powinniście wpisać, z kim chcecie być w jednej grupie – możecie dodać kilka osób. Stali bywalcy wiedzą o co chodzi, chociaż bywa, że i oni o tym zapominają. Tym, którzy będą z nami pierwszy raz zwracamy szczególną uwagę na uzupełnienie tej informacji, ponieważ tuż przed rozpoczęciem Konferencji, już na miejscu w Bydgoszczy, odznaczamy Wasze zgłoszenia na przygotowanych wcześniej listach grupowych i wówczas UWAGA! zmiany będą niemożliwe. Ten wymóg ma na celu uniknięcie chaosu podczas rejestracji, a przede wszystkim wiążę się z faktem, iż w tym roku główne grupy (zielona, czerwona, niebieska i żółta) zostaną czasami podzielone na mniejsze. Wynika to z warunków określonych przez gospodarzy zwiedzanych obiektów.

Krótka instrukcja rejestracji

- po wejście do panelu rejestracyjnego w „rodzaju konta" należy wybrać opcję uczestnik,
- po standardowej rejestracji dostaniemy dostęp do formularza, który należy uzupełnić o dane osobowe. Tutaj także będzie można wpisać dane firmy, jeżeli potrzebna będzie faktura,
- po prawidłowym wypełnieniu formularza przejdziemy do strony płatności. Płatności można dokonać z wielu kanałów, ponieważ bezpośrednim operatorem jest Dotpay. Wpłaty trafiają na konto organizatora. Każda wpłata potwierdzona jest fakturą.

Mamy nadzieję, że cały proces rejestracji i opłat nie sprawi nikomu trudności.

UWAGA! System rusza **1 kwietnia br.** i trwa do wyczerpania 200 akredytacji lub **do końca kwietnia**. Przewidujemy czas reklamacyjno-zwrotowo-wymienny do 6 maja br. Po tym terminie, ze względów logistycznych, nie będziemy mogli, przy rezygnacji uczestnika, zwrócić wpłaty.

Noclegi

Jak już wcześniej informowaliśmy, tegoroczną bazą naszej Konferencji jest hotel „Zawisza" przy ul. Gdańskiej 163 w Bydgoszczy. Hotel dysponuje 75 pokojami z łazienkami, głównie dwu- i trzyosobowymi. Rezerwacji noclegów można dokonać także od 1 kwietnia br.:

- telefonicznie – dzwoniąc do recepcji na numer 52 588 09 00,
- faksem – 52 378 23 02,
- pisząc na adres e-mail: hotel@zawisza.bydgoszcz.pl

Za każdym razem proszę podawać hasło „odkrywca". Istnieje możliwość przedłużonego pobytu w hotelu na tych samych warunkach. Cena za jedną dobę dla jednej osoby, to 80 zł razem ze śniadaniem. Parking w cenie.

Oczywiście w Bydgoszczy jest także wiele innych możliwości noclegowych, ale te musicie znaleźć już we własnym zakresie.

Wszelkie dodatkowe informacje możecie także uzyskać:

- telefonicznie – 71 329 71 71 lub tel. komórkowy 0501 675 126
- faksem – 71 328 83 71
- e-mail: konferencja@odkrywca.pl
- listownie – Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
- oraz znaleźć je na naszej stronie www.odkrywca.pl

Serdecznie zapraszamy do spędzenia weekendu z „Odkrywcą".

WIELKI KONKURS NA 15-LECIE „ODKRYWCY"!

Wydawałoby się, że dla pasjonatów historii upływ czasu nie powinien być zaskoczeniem, a jednak... To już 15 lat, odkąd jesteśmy z Wami! Z tej, jakże szczególnej dla nas okazji, przygotowaliśmy wielki konkurs sms-owy z niezwykłymi nagrodami.

PYTANIA KONKURSOWE

1. Pierwsza redakcja „Odkrywcy" mieściła się w:
1A Łodzi
1B Wrocławiu
1C Koninie

2. W którym roku pojawiła się strona www.odkrywca.pl:
2A 2001
2B 2002
2C 2003

3. Założycielem „Odkrywcy" jest:
3A Magdalena Haber
3B Adam Kuczyński
3C Marek Dudziak

4. Do którego roku w „Odkrywcy" prowadzony był dział dla rycerzy:
4A 1999
4B 2001
4C 2002

5. Pierwszy wywiad na łamach „Odkrywcy" przeprowadzony został z:
5A Wojciechem Stojakiem
5B Ryszardem Wójcikiem
5C Bogusławem Wołoszańskim

Naszą przygodę z historią zaczynaliśmy w 1998 roku – jeszcze w zeszłym stuleciu... Od tego czasu zmieniło się wiele – od szaty graficznej magazynu począwszy, na objętości skończywszy – ale nie zmieniło się nasze zaangażowanie w tematy bliskie każdemu miłośnikowi historii. W dzisiejszym świecie, który przeżywa okres fascynacji możliwościami mediów elektronicznych, udało się nam poprzez tradycyjną formę komunikacji i przekazu, zbudować naszą własną sieć miłośników i pasjonatów historii.

Sieć tą tworzą tysiące Czytelników, którzy w „Odkrywcy" odnaleźli bliski im sposób spojrzenia na historię, których nie pociąga – choć go respektują – akademicki sposób jej traktowania, którzy ponad suchy język wykładu i opisu przedkładają emocje związane z eksplorowaniem i odkrywaniem jej tajemnic.

Publikowanych u nas treści często nie można spotkać nigdzie indziej. Nasi Autorzy przygotowują artykuły w oparciu o unikalne badania i materiały źródłowe. Tym samym, realizując i kontynuując misję rozpoczętą przez twórców „Odkrywcy", staramy się poprzez nasze publikacje, działalność popularyzatorską, środowiskową integrację i patronat, a wreszcie poprzez własne autorskie przedsięwzięcia badawcze prowadzone przez Grupę Eksploracyjną Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO), odkrywać i utrwalać świadectwa historii. Organizowane przez nas, od ośmiu lat, Konferencje, także weszły już na stałe do kalendarza miłośników historii z całego kraju.

Ta działalność jest możliwa właśnie dlatego, że wszyscy tworzymy społeczność skupioną wokół czasopisma. Dziękujemy Drodzy Czytelnicy za Wasze zainteresowanie i przychylność. To dzięki Wam wciąż odnotowujemy wzrost sprzedaży i pozostajemy jedynym takim czasopismem na rynku. Jesteśmy przekonani, że sieć odbiorców „Odkrywcy" będzie się ciągle poszerzać i wspólnie uda się nam z oceanu historii wyłowić prawdziwe skarby. Tego wszystkiego nie udałoby się jednak osiągnąć bez Was.

Z okazji naszego jubileuszu, przygotowaliśmy dla Was specjalny konkurs. Przez najbliższe trzy miesiące (kwiecień, maj, czerwiec) w każdym numerze będziemy publikowali 5 pytań dotyczących historii „Odkrywcy" oraz zawartych w nim treści. Spośród tych z Was, którzy odpowiedzą prawidłowo na wszystkie 15 pytań, zostanie wyłonionych 10. zwycięzców, dla których przygotowaliśmy najnowszą wersję gry „Tomb Raider" (PC).

Ponieważ konkurs zakończymy 30 czerwca br., to zgodnie z harmonogramem wydawniczym „Odkrywcy", zwycięzców poznamy w numerze sierpniowym.

Poza tym, dla uczestników każdego z trzech etapów konkursu mamy 10 nagród książkowych – oczywiście za udzielenie poprawnych, i w terminie, odpowiedzi. Tych laureatów będziemy poznawać po zakończeniu każdego etapu, w kolejnych wydaniach „Odkrywcy": w numerze czerwcowym – etap z kwietnia, lipcowym – etap z maja i w kończącym konkurs numerze sierpniowym – etap z czerwca.

Pierwszy etap konkursu trwa od 10 do 30 kwietnia 2013 r.:

Chcąc zagrać o nagrody, w tym czasie wyślij SMS z odpowiedziami na poniżej zamieszczone pytania. W treści wiadomości wpisz: ODKRYWCA. i numery poprawnych odpowiedzi (np. ODKRYWCA.1A2B3C).

SMS należy wysłać pod numer 7368 (opłata wynosi 3,69 zł z VAT). Usługa jest dostępna we wszystkich sieciach GSM.

Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom poleconą przesyłką pocztową, a lista nagrodzonych publikowana jest każdorazowo na łamach „Odkrywcy". Regulamin dostępny jest w siedzibie Organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl.

Nieczyste zagranie

TEKST: IZABELA KWIECIŃSKA, PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM „ODKRYWCY"

Fundacja „Pamięć", przedstawicielstwo Niemieckiego Związku Ludowego Opieki nad Grobami Wojennymi w Kassel (niem. Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge – VDK), pod koniec lutego br., po 20 latach działalności, zawiesiła prace ekshumacyjne prowadzone na terenie Polski. Powodem jest tocząca się od 2012 r. sprawa działających na zlecenie Fundacji współpracowników firmy ekshumacyjnej, którym postawiono zarzuty: ograbienia miejsc spoczynku żołnierzy niemieckich, znieważenia zwłok, a także nielegalnego posiadania broni i amunicji. Paradoksem w tej sprawie jest to, iż jeden z podejrzanych jest działaczem Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Łodzi, byłym sekretarzem tej struktury w dawnym woj. sieradzkim, a przede wszystkim Kierownikiem Grup w Dziale Ekshumacji VDK z ponad 10-letnim stażem.

Pod koniec marca 2012 r. na stronach internetowych Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi ukazał się komunikat o jednoznacznie brzmiącym tytule: *„Ograbiali groby w trakcie ekshumacji"*. Treść notki przygotowanej przez tamtejszy wydział prasowy również nie pozostawiała wątpliwości. W grudniu 2011 roku *„świadek nietypowego zdarzenia"* złożył zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, wskazując na szereg nieprawidłowości podczas mającej miejsce... 10 lat wcześniej ekshumacji mogił żołnierzy niemieckich w okolicach Starej Gadki, przeprowadzanej przez firmę działającą na *„zlecenie fundacji, która zajmuje się m.in. ochroną miejsc pamięci, cmentarzy i grobów ofiar wojen oraz dostarczeniem informacji rodzinom ofiar wojen w zakresie ustalania miejsc pochowania ich bliskich"*. Mimo upływu ponad dekady od zdarzenia, podjęte zostało dochodzenie, którego wyniki najwyraźniej okazały się na tyle perspektywiczne, że Prokuratura Rejonowa w Pabianicach wydała *„postanowienie o przeszukaniu"*.

Wspólna operacja łódzkiej KWP oraz Komendy Powiatowej Policji Łódź Wschód przeprowadzona została 22 III 2012 r. w trzech miejscach równocześnie: w miejscu zamieszkania Pana M., współpracownika firmy, w jej siedzibie oraz posesji jednego z pracowników firmy. W efekcie podjętych czynności odnaleziono i zabezpieczono *„(...) amunicję i broń palną w postaci częściowo skorodowanych pistoletów, karabinu maszynowego PPSZ* (sic!), *karabinu Mauser oraz rewolweru (...), około 100 hełmów, odznaczenia, ordery wojskowe, wieczne pióra, kilkaset monet, grzebienie, nieśmiertelniki, medaliki z wizerunkami świętych oraz inne przedmioty stanowiące osobiste wyposażenie, a także pamiątki po zmarłych żołnierzach"*. Policjanci dokonujący czynności ujawnili dodatkowo dwa granaty i amunicję, które zostały przekazane wezwanemu z Tomaszowa Mazowieckiego patrolowi rozminowania. W efekcie *„42-letni mieszkaniec Zduńskiej Woli, właściciel firmy ekshumacyjnej, oraz jego 43 letni pracownik, mieszkaniec gminy Bełchatów, usłyszeli zarzuty* ***ograbienia miejsc spoczynku żołnierzy niemieckich z okresu I i II wojny światowej*** *za co grozi do 8 lat pozbawienia wolności. Ponadto mężczyźni będą odpowiadać także za* ***nielegalne posiadanie broni i amunicji*** *(...)"*. Komunikat został szybko „przechwycony" przez ogólnopolskie i lokalne media, które w podobnie jednoźródłowym tonie, nie wnikając zbytnio w szczegóły, powieliły przekaz biura prasowego łódzkiej policji, dodatkowo okraszając go wypowiedziami rzecznika KWP oraz funkcjonariusza prowadzącego czynności. Tytuły i treści artykułów były jednoznaczne. „Polska Dziennik Łódzki" z 27 III 2012 r. donosiła: *„Podczas ekshumacji żołnierzy rabowali ich broń i pamiątki"*. „Gazeta Wyborcza" z 26 III 2012 r. w artykule pt. „Okradali mogiły" posunęła się nawet krok dalej pisząc: *„Z rąk pogrzebanych żołnierzy ściągali sygnety, z piersi krzyżyki, z mundurów zabierali zdjęcia. Groby okradali przy okazji legalnych ekshumacji"*. Najwyraźniej piszący te słowa zapomnieli o zasadzie, wg której każda osoba jest niewinna wobec przedstawianych jej zarzutów, dopóki wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu (Art. 42 ust. 3 Konstytucji RP. Podobnie stanowi Kodeks postępowania karnego). Dopiero po kilku dniach niektóre z lokalnych mediów, zaintrygowane tematem, zaczęły go powoli drążyć i prezentować niejako na nowo. Tym razem z perspektywy podejrzanych. Ukazało się więc parę tekstów w prasie łódzkiej, których autorzy wykazali absurdalność zarzutów wobec Pana M., od 10 lat przeprowadzającego, zgodnie z obowiązującymi procedurami, ekshumacje żołnierzy niemieckich na zlecenie Fundacji „Pamięć". Nie były one jednak w stanie poprawić nadszarpniętego wizerunku M. i pracownika firmy ekshumacyjnej, który notabene, jak się później okazało, zatrudniony został kilka lat po budzącej zastrzeżenia akcji z roku 2001.

Poranna wizyta

Od początku bieżącego roku do naszej redakcji zaczęły docierać wieści, że powyższa sprawa nadal się toczy, przybierając niepokojący obrót. Zaskakujące też były informacje napływające do nas z Niemiec, dotyczące m.in. wytycznych i procedur wykonywania tego typu

Zakwestionowany przez biegłych sposób przechowywania szczątków żołnierzy w tzw. magazynie tymczasowym.

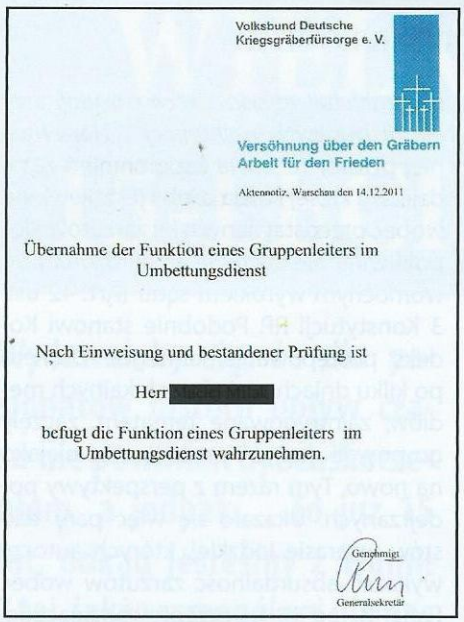

Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge e. V.

Versöhnung über den Gräbern
Arbeit für den Frieden

Aktennotiz, Warschau den 14.12.2011

Übernahme der Funktion eines Gruppenleiters im Umbettungsdienst

Nach Einweisung und bestandener Prüfung ist

Herr [redacted]

befugt die Funktion eines Gruppenleiters im Umbettungsdienst wahrzunehmen.

Genehmigt

Generalsekretär

Dokument nadania Panu M. funkcji Kierownika Grupy w Dziale Ekshumacji przez VDK w Kassel.

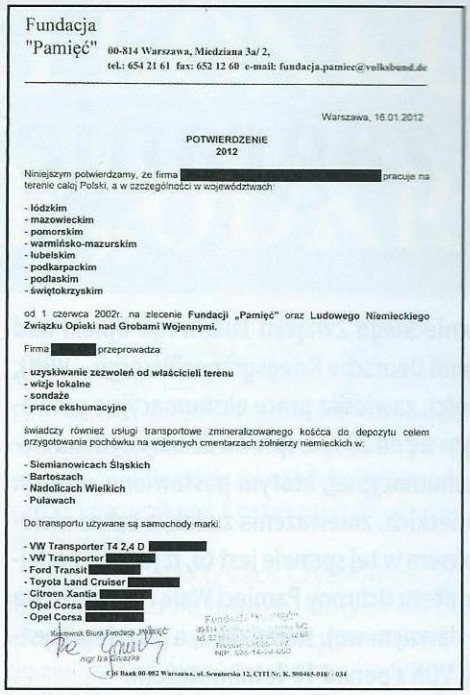

Fundacja
"Pamięć" 00-814 Warszawa, Miedziana 3a/ 2,
tel.: 654 21 61 fax: 652 12 60 e-mail: fundacja.pamiec@volksbund.de

Warszawa, 16.01.2012

POTWIERDZENIE
2012

Niniejszym potwierdzamy, że firma [redacted] pracuje na terenie całej Polski, a w szczególności w województwach:

- łódzkim
- mazowieckim
- pomorskim
- warmińsko-mazurskim
- lubelskim
- podkarpackim
- podlaskim
- świętokrzyskim

od 1 czerwca 2002r. na zlecenie **Fundacji „Pamięć"** oraz **Ludowego Niemieckiego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi.**

Firma [redacted] przeprowadza:

- uzyskiwanie zezwoleń od właścicieli terenu
- wizje lokalne
- sondaże
- prace ekshumacyjne

świadczy również usługi transportowe zmineralizowanego kośćca do depozytu celem przygotowania pochówku na wojennych cmentarzach żołnierzy niemieckich w:

- Siemianowicach Śląskich
- Bartoszach
- Nadolicach Wielkich
- Puławach

Do transportu używane są samochody marki:

- VW Transporter T4 2,4 D [redacted]
- VW Transporter [redacted]
- Ford Transit [redacted]
- Toyota Land Cruiser [redacted]
- Citroen Xantia [redacted]
- Opel Corsa [redacted]
- Opel Corsa [redacted]

Kierownik Biura Fundacji „Pamięć"
mgr Ilona Gruszka

Fundacja "Pamięć" 00-814 Warszawa, ul. Miedziana 3a/2
tel. 654 21 61, fax 652 12 60
NIP: 525-14-04-050

Citi Bank 00-082 Warszawa, ul. Senatorska 12, CITI Nr. K. 50040-010 - 034

Potwierdzenie zakresu prac wydane firmie M. przez Fundację „Pamięć" oraz VDK.

prac. Zaintrygowani, postanowiliśmy więc przyjrzeć się jej bliżej. Z informacji, jakie na tym etapie śledztwa mogli udzielić nam prowadzący dochodzenie funkcjonariusze łódzkiej KWP oraz Prokuratura Rejonowa w Pabianicach dowiedzieliśmy się, że sprawa jest poważna, rozwojowa, czynności w toku. Zarzuty i ich rodzaj zostały przez Prokuraturę podtrzymane. Kolejnym krokiem było spotkanie z podejrzanym Panem M. Jedziemy zatem do Zduńskiej Woli, gdzie mieszka i pracuje. Umawiamy się w miejscu jego pracy. – *Mam nadzieję, że macie państwo dużo czasu. Przygotowałem się solidnie, tak, by każde moje słowo było poparte odpowiednim pismem czy dokumentem* – mówi nasz rozmówca, zapraszając do pokoju. Gdy siadamy, zaczyna emocjonalnie opowiadać swoją historię. Historię społecznika, pasjonata i człowieka niezwykle zaangażowanego w swoją działalność. Tym bardziej trudno się dziwić, że emocje biorą nad nim górę. Miniony rok przyniósł mu zbyt wiele problemów, goryczy i rozczarowań, aby na chłodno mógł analizować swoje położenie. – *Od zawsze interesowałem się historią swojego regionu, dążyłem również do tego, by aktywnie realizować tę pasję* – rozpoczyna swoją opowieść. – *Już 30 lat temu, jeszcze jako nastolatek, brałem udział w organizowanych przez PTTK działaniach, mających na celu odnawianie zapomnianych mogił żołnierskich i powstańczych. W latach 90. pracując w Urzędzie Wojewódzkim w Sieradzu, pełniłem również funkcję sekretarza Wojewódzkiego Komitetu OPWiM w Sieradzu. Dzięki temu, niejako z urzędu, zajmowałem się m.in. opieką nad zapomnianymi grobami powstańców styczniowych oraz żołnierzy poległych podczas I i II wojny światowej na terenie b. województwa sieradzkiego. Nie ograniczało się to jednak tylko do renowacji mogił. Staraliśmy się głównie przywrócić pamięć o poległych, poprzez identyfikację ich tożsamości, często celowo zacieraną w okresie PRL-u. Zajmowaliśmy się więc również odkształcaniem historii i prostowaniem wypaczeń minionego systemu. Przy okazji tych działań natrafialiśmy na liczne ślady pochówków żołnierzy niemieckich, wielu też świadków wspominało nam o tym w swoich relacjach. Wiedzę tę przekazywaliśmy Fundacji „Pamięć", i tak też zaczął się mój kontakt z VDK. Od tego momentu rozpocząłem ścisłą współpracę z tą organizacją, dzieląc się swoją wiedzą i udostępniając dane o mogiłach.*

Stara Gadka

Nasz rozmówca zaczyna wspominać jeden z istotniejszych dla sprawy etapów swojej kariery – działania sprzed ponad 10 lat – które paradoksalnie, stały się przyczyną jego problemów. Wówczas to rozpoczęła się jego ścisła współpraca z Fundacją „Pamięć". – *W związku z tym, że od 1998 roku wielokrotnie brałem udział w poszukiwaniach i porządkowaniu żołnierskich mogił, miałem już w tym względzie spore doświadczenie. Na przełomie 2001 i 2002 roku Volksbund, na podstawie własnych informacji, poszukiwał szczątków niemieckich żołnierzy w Rzgowie, na terenie pierwszowojennego cmentarza w Starej Gadce. Próba odnalezienia mogił zakończyła się niepowodzeniem. Ponowna wizja lokalna została podjęta na podstawie wskazania młodego, niespełna 17-letniego mieszkańca Rzgowa. Twierdził, iż wie, gdzie znajdują się dwie zbiorowe mogiły w okolicach Dobronia i w Starej Gadce. Wówczas to pan Hoffman, pracownik VDK, zaproponował mi współpracę. Pomoc, na zasadach wolontariatu, przy pracach poszukiwawczych. Przyjąłem tę ofertę z nieukrywaną satysfakcją. Jak się później okazało, dla Niemców był to swoisty test weryfikujący moje umiejętności – o czym wtedy nie wiedziałem. Dla mnie była to okazja pogłębienia wiedzy i zdobycia jeszcze większych doświadczeń. Pojechaliśmy więc do wskaziciela, który doprecyzował wcześniejsze informacje, dzięki czemu znaleźliśmy właściwe miejsce. Rozpoczęły się prace ekshumacyjne skrupulatnie nadzorowane przez przedstawiciela Volksbundu, p. Hoffmana, który na bieżąco dokumentował wszystkie podjęte wówczas czynności. W ich trakcie okazało się, że mamy do czynienia z mogiłą zbiorową, która wymagała znacznie większego nakładu sił i środków, niż wcześniej przewidywano. Zgodnie z przepisami prace przy masowych pochówkach powinny być prowadzone przez firmę ekshumacyjną współpracującą z Fundacją „Pamięć". Prace nasze zostały przerwane i w następnym tygodniu powierzone firmie z Wesołej. Dla mnie nastąpiła przerwa. Jednak nie na długo. Okazało się, że moja wiedza i zaangażowanie na tyle spodobały się niemieckiemu ekshumatorowi, że zarekomendował mnie ówczesnemu szefowi Volksbundu, jako stałego współpracownika grupy ekshumacyjnej. Ponad miesiąc później przystąpiłem, jako wolontariusz, do trwających kolejne trzy miesiące prac ekshumacyjnych, ściśle nadzorowanych przez tzw. „Umbettera" z Volksbundu. Na początku 2003 r. założono firmę, której właścicielem została moja małżonka. Otrzymywaliśmy szereg zleceń ze strony VDK.* Wkrótce pojawiły się kolejne. Do czasu zawieszenia przez Fundację „Pamięć" prac ekshumacyjnych, firma zrealizowała setki zleceń na rzecz Fundacji, zakończonych ekshumacją szczątków blisko 20 tysięcy żołnierzy niemieckich (wg danych VDK, najwięcej w rejonie Europy Środkowej, Południowej i Wschodniej), którzy zna-

leźli miejsce ostatniego spoczynku na cmentarzach wojennych w Polsce. Osiągane rezultaty, niezwykła skuteczność i doświadczenie sprawiły, że 14 grudniu 2011 r. Sekretarz Generalny VDK w Kassel nadał Panu M. funkcję „Kierownika Grupy w Dziale Ekshumacji". Warte podkreślenia jest to, iż w Polsce zaledwie dwie osoby, współpracujące z Fundacją „Pamięć", zostały uhonorowane tym tytułem, oznaczającym pełnię zaufania i profesjonalizm polskiego partnera. – *Nasza praca jest na tyle ceniona przez Niemców, że zostaliśmy poproszeni przez Volksbund o wykonanie prac ekshumacyjnych w Rijece oraz przeprowadzenie szkoleń w zakresie tych działań w Chorwacji* – podkreśla z dumą nasz rozmówca. Na niewiele się to jednak zdało, gdyż nad działalnością Pana M. już zbierały się czarne chmury. Za moment na scenie pojawi się *„świadek nietypowego zdarzenia"*...

Ekshumacje szczątków osób narodowości niemieckiej, poległych w trakcie II wojny światowej na terenie Polski, odbywają się na podstawie „Umowy między Rządem Republiki Federalnej Niemiec, a Rządem Rzeczypospolitej Polskiej o grobach ofiar wojen i przemocy totalitarnej", podpisanej w Warszawie 8.12.2003 r. Instytucją organizującą ekshumacje na terenie Polski jest polsko-niemiecka Fundacja „Pamięć" z Warszawy, natomiast niemieckim organem koordynującym i finansującym to przedsięwzięcie jest Ludowy Niemiecki Związek Opieki nad Grobami Wojennymi (Volksbund Deutsche Kriegsgräberfürsorge) z siedzibą w Kassel. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa jest w świetle porozumień partnerem VDK w sprawach grobów żołnierzy niemieckich w Polsce. Jej obowiązkiem jest także sprawowanie opieki nad grobami i cmentarzami wojennymi innych narodów na terenie Polski. Ekshumacje odbywają się zgodnie z zasadami określonymi w ustawie z dnia 28.3.1933 r. o grobach i cmentarzach wojennych oraz w Rozporządzeniu Ministra Zdrowia z 7.12.2001 r. w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi.

Według szacunków historyków, na obecnym terytorium Polski w czasie II wojny światowej życie straciło ok. 500 tys. żołnierzy niemieckich oraz trudna do oszacowania liczba osób cywilnych.

Zatrzymanie

22 marca 2012 r. życie Pana M. i jego rodziny zmieniło się. Tego dnia o godzinie 6:00 rano usłyszał zdecydowane pukanie do drzwi. Gdy zaspany otworzył je, w progu zobaczył funkcjonariuszy Policji. Widać, że wracając wspomnieniami do tamtych chwil, nadal bardzo się denerwuje. Trudno się jednak temu dziwić. – *Przedstawili się, że są z Komendy Wojewódzkiej w Łodzi oraz Komendy Powiatowej w Koluszkach. Pierwszą myślą jaka mi przyszła do głowy był strach o najbliższych, że doszło do jakiegoś wypadku... mój ojciec, brat, matka... Uspokoiłem się, a nawet poczułem ulgę, gdy zapytali, czy zajmuję się ekshumacjami. Ponieważ wiele razy współpracowałem w tym zakresie z organami ścigania, pomyślałem, że to kolejna tego typu interwencja. Zaskoczyła nieco godzina i liczba gości, ale... Nagle jednak jeden z policjantów zapytał, czy posiadam przedmioty z tych ekshumacji. Bez wahania odpowiedziałem twierdząco, wskazując na poukładane w jednym z pokojów, dokładnie opisane i ułożone w pudełkach, przedmioty z prac, jakie wykonywaliśmy w ciągu ostatnich kilku lat. Wśród nich były również destrukty zakwalifikowane później przez stróżów prawa jako broń i amunicję. Zgodnie z niemieckimi procedurami przedmioty służące do identyfikacji segregujemy i przechowujemy. Następnie należy zakopać je w ostatnim rzędzie na cmentarzu wojennym. Jeżeli są w lepszym stanie, na podstawie protokołu mamy możliwość przekazania ich zainteresowanym placówkom muzealnym lub innym upoważnionym organizacjom. Cel porannej wizyty wkrótce został mi wyjaśniony. Zostałem zatrzymany na 19 godzin, które spędziłem w izbie zatrzymań w Koluszkach. Następnego dnia ok. 10:00 Prokuratura Rejonowa w Pabianicach przedstawiła mi zarzut ograbiania grobów żołnierzy z I wojny światowej, na terenie cmentarza w Starej Gadce w latach 2001-2005 oraz nielegalnego posiadania broni i amunicji. Sprawa miała związek z moim pierwszym zadaniem dla Fundacji „Pamięć", które realizowałem w 2002 roku. A więc prac sprzed 10 lat!* – opowiada roztrzęsiony. Po nocy spędzonej w celi z pospolitymi przestępcami, M. został zwolniony. Równolegle do czynności podjętych wobec niego, inna grupa policjantów, w tym samym czasie, dokonała przeszukania tzw. magazynu tymczasowego znajdującego się w siedzibie firmy pod Sieradzem. Przechowywane były tam ekshumowane wcześniej szczątki, przygotowywane do późniejszego pochówku na cmentarzach wojennych. – *Zgodnie z obowiązującymi nas procedurami, ściśle określonymi przez Volksbund, część z nich pozostawała w regulaminowych workach foliowych koloru niebieskiego, które na miejscu nasz pracownik przepakowywał do czarnych sarkofagów, opisanych i ponumerowanych zgodnie z wytycznymi. Prowadzący czynności funkcjonariusze uznali, że szczątki, jak i sposób ich przechowywania muszą zostać poddane ekspertyzie biegłego sądowego, co spowodowało wstrzymanie wszelkich prac związanych z pochówkiem blisko 500 żołnierzy niemieckich, oraz 6 członków Armii Krajowej, wcześniej zgłoszonych Instytutowi Pamięci Narodowej.* Również 22 marca w godzinach porannych, trzecia już ekipa policyjna dokonała przeszukania posesji jednego z pracowników firmy. Mimo że zatrudniony był przy ekshumacjach dopiero od 2009 r., postawiono mu identyczne jak przełożonemu zarzuty, dotyczące nieprawidłowości podczas działań podejmowanych w latach 2001-2005 (!).

Po wyjściu z izby zatrzymań M. natychmiast poinformował o zaistniałej sytuacji kierownika biura Fundacji „Pamięć" p. Izabelę Gruszkę oraz Kierownika ds. Ekshumacji na Europę Środkową Południową i Wschodnią VDK p. Thomasa Schocka. – *Co ciekawe, gdy postawiono mi zarzuty, jednocześnie potraktowano Fundację „Pamięć" jako stronę pokrzywdzoną. Jej kierownik, Pani Izabela Gruszka natychmiast skierowała stosowne pismo wyjaśniające do prokuratury, że wszystkie prace wykonywane przeze mnie były prowadzone na zlecenie Fundacji „Pamięć" i zgodnie z obowiązującymi procedurami, na podstawie zezwoleń wydawanych przez Wojewodów. Podkreśliła też, że nigdy w stosunku do mojej osoby i podejmowanych działań strona niemiecka nie wnosiła żadnych zastrzeżeń.* Najwyraźniej wyjaśnienia te okazały się niewystarczające, gdyż ze strony Prokuratury, jak i łódzkiej Policji nie nastąpiła żadna reakcja, ani też odpowiedź.

Mimo poważnych problemów, firma nie zaprzestała działalności. Wszystkim bowiem wydawało się, że nastąpiła jakaś koszmarna pomyłka i za chwilę sprawa się wyjaśni – to po pierwsze. Po drugie, co istotniejsze, formalnie taki nakaz nie został na M. nałożony. Również Fundacja „Pamięć" nie widziała przeszkód, by wstrzymać dotychczasową współpracę. Wszystko zdawało się wracać do normy. Nie na długo jednak. Następny etap sprawy nastąpił dopiero po kilku miesiącach, pod koniec roku 2012 roku. Po zmianie ścigających i oskarżających…

Listopad 2012 rok. Organy ścigania przeprowadzają kolejne przeszukania – w mieszkaniu Pana M. oraz w magazynie firmy. Tym razem prokuraturę interesowała dokumentacja z prowadzonych prac ekshumacyjnych, wszystkich. Od tego momentu dochodzenie w sprawie zdało się nabierać żywszego tempa. W grudniu minionego roku odbyły się również przesłuchania w sprawie, współpracowników firmy. Na początku 2013 roku funkcjonariusze KWP w Łodzi wkroczyli do warszawskiej siedziby Fundacji „Pamięć" z nakazem prokuratorskim wydania dokumentacji przeprowadzonych na jej zlecenie prac z terenu woj. łódzkiego. To samo ma miejsce w Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi. Na tej samej podstawie łódzka policja zażądała od Urzędu Wojewódzkiego przedstawienia upoważnień i zezwoleń na prace ekshumacyjne wydane firmie w latach 2000-2012. Jednocześnie, na zlecenie prokuratury, została przeprowadzona przez biegłych sądowych ekspertyza antropologiczna i archeologiczna szczątków przechowywanych w magazynie. W jej wyniku, a także wcześniejszych czynności, 1 II 2013 r. Prokuratura Rejonowa w Pabianicach stawia M. trzeci zarzut – **znieważenia zwłok**. Pod koniec stycznia 2013 r. okazuje się także, że Fundacja „Pamięć" została pozbawiona statusu strony pokrzywdzonej.

16 stycznia br. ma miejsce nieprzyjemny incydent. Świadkiem prowadzonych czynności operacyjnych w tymczasowym magazynie znajdującym się w siedzibie firmy M., jest p. Thomas Schock – Kierownik ds. Ekshumacji na Europę Środkową Południową i Wschodnią. Problemy pojawiają się w momencie próby nawiązania rozmowy między funkcjonariuszem łódzkiej policji a oficjalnym przedstawicielem VDK. – *Pan Schock zaprotestował przeciwko postępowaniu funkcjonariusza prowadzącego czynności, który ignorował zupełnie obecność niemieckiego przedstawiciela, zakazując mu zbliżania się do magazynu, który, jego zdaniem, należał do Volksbundu* – mówi M. *Funkcjonariusz łódzkiej policji, kierując pod adresem P. Schocka naganne słowa, wezwał patrol interwencyjny z komendy policji w Sieradzu, twierdząc, że P. Schock utrudnia prowadzenie czynności…*

W związku z prowadzoną sprawą, która w sposób coraz bardziej bezpośredni zaczęła godzić w działalność w Polsce Ludowego Niemieckiego Związku Opieki nad Grobami Wojennymi, władze VDK postanowiły od połowy lutego zawiesić prace ekshumacyjne prowadzone na terenie Polski – z wyjątkiem prac interwencyjnych. Z pytaniem m.in. o powody tej decyzji, zwróciliśmy się do wydziału prasowego VDK. Odpowiedź od P. Fritza Kirchmeiera, szefa wydziału, nadeszła błyskawicznie. Co zrozumiałe, nieco ogólna w treści: *„W związku z toczącym się postępowaniem, pragniemy uniknąć zajęcia bardziej szczegółowego stanowiska. W wyniku pojawiających się niejasności natury prawnej w kwestii interpretacji przepisów dotyczących naszej działalności w Polsce, postanowiliśmy zawiesić ją do czasu ich wyjaśnienia. Przyczyny takiego stanu rzeczy wydają się tkwić w zaistniałej sprzeczności warunków Umowy między Rządem Republiki Federalnej Niemiec, a Rządem Rzeczypospolitej Polskiej o grobach ofiar wojen i przemocy totalitarnej z 8 XII 2003 r., a regulacjami dotyczącymi prowadzenia badań archeologicznych w Polsce".*

Strona niemiecka podjęła także działania na płaszczyźnie prawnej i dyplomatycznej. Po dłuższym czasie oczekiwania, doszło do spotkania Szefa VDK z Sekretarzem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Polsce p. Andrzejem Krzysztofem Kunertem. Tematem rozmów była zaistniała sytuacja. Omawiając tę kwestię ustalono, że w ciągu najbliższych miesięcy zostaną doprecyzowane dotychczasowe praktyki postępowania, regulujące zasady w zakresie prac ekshumacyjnych w Polsce.

Paradoksem jest, że ta przykra sytuacja ma miejsce po 20 latach działalności Volksbundu i jej przedstawicielstwa Fundacji „Pamięć" w Polsce – działalności w pełni transparentnej – i ekshumacjach szczątków ponad 130 tys. żołnierzy niemieckich przeprowadzonych dotychczas na terenie naszego kraju. Powyższa sprawa z lokalnej, dotyczącej zarzutów znieważenia zwłok, ograbienia miejsc spoczynku żołnierzy z okresu I i II wojny światowej oraz nielegalnego posiadania broni i amunicji, zyskała wymiar międzynarodowy, godzący wręcz w pewnym stopniu w relacje polsko-niemieckie. W związku z tym, że postępowanie jest w toku, a jego zakończenie zdaje się być dość odległe, w tym miejscu musimy przerwać jej opis i poczekać na dalszy rozwój wypadków. Zapewne jednak nie raz do niej wrócimy, i do *„świadka nietypowego zdarzenia"* również… CDN

Tomasz Czabański, prezes Stowarzyszenia „Pomost", Kierownik Grupy w Dziale Ekshumacji Volksbundu.

Sprawa bardzo dziwna. My na razie nie mamy problemów. Współpraca ze wszystkimi stronami układa się bardzo dobrze. Zarówno z Urzędami Wojewódzkimi, Sanepidami, PCK, jak również z Urzędami Ochrony Zabytków. Prace ekshumacyjne wykonujemy zgodnie z procedurami niemieckiego Związku, ze szczególnym uwzględnieniem poszanowania szczątków ludzkich. Wszystkie strony po wykonanej pracy w ciągu miesiąca informowane są o jej rezultatach, z podaniem ilości odnalezionych żołnierzy oraz rodzaju odnalezionych rzeczy osobistych, jeśli takowe oczywiście przy żołnierzach się znajdowały. Jest też informacja o dokładnym miejscu ponownego pochówku żołnierzy. To co przytrafiło się naszemu koledze, wydaje się być jawnym naruszeniem umowy polsko-niemieckiej, jak i Konwencji Genewskiej. Jesteśmy też oburzeni tym, w jaki sposób organa państwowe traktowały oficjalnego przedstawiciela niemieckiego Związku w Polsce – obrażając go i rzucając pod jego adresem obraźliwe słowa. Obawiamy się, że cała ta sprawa może popsuć bardzo dobre stosunki polsko-niemieckie. A może właśnie o to w tym chodzi?

Za pomoc w przygotowaniu art. dziękujemy: T. Czabańskiemu i M. Frąckowiakowi. Niestety, mimo wielu prób kontaktu, nie udało nam się uzyskać (mimo wyrażenia zgody) komentarza biegłego – archeologa z Katedry Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego – dotyczącego opinii wydanej przez niego.

Skarby Obwodnicy

TEKST: PIOTR ADAMCZYK
ZDJĘCIA: ZBIORY AUTORA

Melchior Wańkowicz twierdził podobno, że mniej istotne jest to, co i jak zostanie napisane, ważne jest, jaki da się tytuł. To on ma zainteresować i zachęcić czytelnika do przeczytania artykułu lub książki. Akcja „Obwodnica" nie była i nie jest akcją militarną, ani szpiegowską… to moje prywatne działanie mające na celu uratowanie i uchronienie przed zalaniem asfaltem pamiątek warszawskich z terenu budowanej nowej obwodnicy Warszawy. Trasa zostanie niedługo ukończona, ale ziemia pod nią i wokół niej nie została dokładnie przeszukana przez archeologów. Trzeba się spieszyć, bo deweloperzy zabudowują atrakcyjne tereny przy nowej trasie. Pola znikają pod budynkami i drogami dojazdowymi, a pamiątki po niegdysiejszych mieszkańcach stolicy zostaną utracone na zawsze. Poniżej prezentuję niektóre ocalone przedmioty.

Paciorek melonowaty

Najstarszym znaleziskiem jest szklany paciorek melonowaty z I tysiąclecia n.e. Wielkość 1,4 cm. Odnaleziony został przypadkowo na piaszczystym polu przy samej obwodnicy. Ten typ paciorka, pochodzący z okresu wpływów rzymskich, jest dość często znajdowany w Europie. Podobne widziałem na zdjęciach znalezisk z terenu Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że paciorek mógł zostać przywieziony z Półwyspu Apenińskiego lub z terenu dzisiejszych Niemiec, np. z Nadrenii. Znalezisko zostało zgłoszone, ale, jako całkowicie przypadkowe, nie wzbudziło zainteresowania archeologów.

Guz

Guz został datowany na przełom XV i XVI wieku. Wielkość 2,3×1,8 cm. Pięknie zachowany, wykonany z mosiądzu lub brązu. Zupełny brak kontekstu historycznego. Został znaleziony na polu, gdzie występowały wyłącznie XIX-wieczne „śmieci".

Przywieszka patriotyczna z herbem Księstwa Warszawskiego

W pierwszej połowie XIX w. noszono, np. przy dewizce zegarka, patriotyczne i nostalgiczne znaczki z herbem Księstwa Warszawskiego. Dokładne datowanie nie jest możliwe. Przywieszka ma wymiary 1,9×2,8 cm. Jest wykonana ze srebrzonego mosiądzu. Sporo podobnych znaczków przerobiono ze srebrnych monet w czasach Księstwa Warszawskiego, np. z 10-ciogroszówki. Przywieszka została znaleziona na terenie, gdzie aktualnie przebiega trasa obwodnicy.

Pieczęć komory celnej i pakowej w Warszawie

Wśród uratowanych przedmiotów najciekawsza jest, moim zdaniem, pieczęć komory celnej. Pomimo słabego stanu jest wspaniałym varsavianum. Wielkość 2,3×2,6 cm. Na środku pieczęci znajduje się typowy orzeł Królestwa Polskiego. Na obwodzie umieszczony jest napis: *„P. KOMOR. PAKOWEY CELL W WARSZAWIE"*. Dzięki pomocy kilku osób udało się odczytać skróty literowe z pieczęci. Prawdopodobnie powinien on brzmieć: *„Pisarz Komory Pakowej Cełł w Warszawie"*. Komorami celnymi zarządzali pisarze lub w ich zastępstwie rewizorzy. Miasta były zamkniętymi tworami administracyjnymi. Wwóz towarów i migracje ludności, były kontrolowane. Cła ze sprowadzanych towarów zasilały kasę miejską. Na pieczęci pojawia się również pojęcie: „paka". Dzisiaj użylibyśmy określenia: kontener. Sprowadzając towar z zagranicy, na granicy Królestwa Polskiego można było oplombować pakę i oclić ją dopiero w granicach docelowego miasta. Ta dogodność ustawodawcy rosyjskiego nie dotyczyła ludności żydowskiej, prawdopodobnie dlatego, że Żydzi mieli zakaz osiedlania się w wielu miastach, także w Warszawie, i sprowadzali towary na zasiedlone przez nich przedmieścia (w Warszawie były to np. Wola, Szmulowizna i Targówek, które w XIX w. znajdowały się poza granicami miasta). Źródło: T. Korzon „Wewnętrz-

ne dzieje Polski za Stanisława Augusta", M. Woźniczko „Polskie celnictwo w wiekach średnich i okresie nowożytnym do roku 1918". Rys historyczny, część II.

Pieczątka herbowa

Pieczątka herbowa pochodząca zapewne z poł. XIX wieku. Herbu nie udało mi się rozpoznać. Nie jest to herb polski. Należała zapewne do artylerzysty, ponieważ poniżej herbu znajdują się skrzyżowane armaty i stos kul. Pieczęć jest ciekawa ze względu na dwie pary liter „I" lub „J" oraz „L" w wersji łacińskiej i rosyjskiej graždanki.

Klamra Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej

Fragment klamry Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej (Warszawsko Wienskaja Żeleznaja Daroga) został znaleziony na nie istniejącym już polu. Szybkość budowy obwodnicy uniemożliwiła poszukiwania i ewentualne znalezienie drugiej części klamry. Aktualnie teren ten znajduje się pod jezdnią. Trasę łączącą Warszawę z Wiedniem budowano około 20 lat (lata 40. i 50. XIX w.). Rosyjskie klamry kolejowe posiadały skróty nazw linii kolejowych. Na znalezionym fragmencie widać dwie rosyjskie litery *„BB"*, czyli *„WW"* (Warszawsko-Wienskaja). Znalezisko dużo rzadsze niż carskie klamry wojskowe. Klamra pochodzi z II poł. XIX wieku.

Tabliczka na drzwi

Typowa blaszka umieszczana dawniej na drzwiach mieszkania. Jest pamiątką kultury, która w zasadzie już nie istnieje. Trzeba pamiętać, że społeczność żydowska Warszawy w XIX i XX w. stanowiła znaczącą część mieszkańców miasta i przedmieść. Szacunkowo określa się, iż w sierpniu 1939 r. liczba Żydów zamieszkujących w stolicy wynosiła: 380 577, co stanowiło 29,1% ludności. Znaleziona blaszka ma napis w jidysz. Dzięki pomocy znawców tego języka napis został przetłumaczony i brzmi: *„SZ. RITTMAISTER"* („Sz". być może skrót od Szlomo. „Rittmeister" z języka niemieckiego – rotmistrz).

Marka pracownicza browaru Reycha

Pięknie zachowana blaszka, prawdopodobnie sprzed 1897 roku. W 1896 roku Edward Reych zmarł, a browar zmienił nazwę na *„Browar Reych, Synowie"*. W Warszawie na przełomie XIX i XX w. istniało kilka liczących się spółek browarniczych: wspomniany browar Reycha; Spółka Haberbuscha i Schiele – jej założycielami w 1846 r. byli Błażej Haberbusch, Konstanty Schiele i Henryk Klawe, którego nazwisko nie znalazło się w nazwie spółki; browar Karola Machlejda (pochodzącego ze spolszczonej rodziny szkockiej MacLeodów); Hermana Junga – po jego śmierci w 1809 r. firma stopniowo podupadła; Władysława Kijoka – zmarł w 1881 r., a browar w 1907 r. przejęła spółka Haberbusch i Schiele.

Po I wojnie światowej w 1921 r. z pięciu ocalałych firm browarniczych powstała jedna duża spółka pod nazwą Spółka Akcyjna Zjednoczonych Browarów „Haberbusch i Schiele". W 1946 r. firma została znacjonalizowana.

Marka pracownicza warsztatu Michała Załęskiego

№ 780.
Załęski Michał, fabr. wyrobów żelaznych.
Adres: Warszawa, ul. Dzielna 93.
Wyroby: Śruby i mutry kute, kuchnie dla wojsk.
Robotników: 95.
Kapitał zakładowy: 57,000 rb.
Przybliż. obrót roczny: 174,300 rb.
Motor: gazowy o sile 12 koni.

Mosiężna blaszka o średnicy 4 cm z napisem: *„Michał Załęski w Warszawie 24"*. Podobne blaszki stosunkowo często są odnajdywane. Z „Księgi przemysłu Królestwa Polskiego" z roku 1905 można się dowiedzieć, że Michał Załęski zatrudniał 95-ciu pracowników. Obrót roczny miał na poziomie 173 tys. rubli. Produkował śruby, nakrętki i przede wszystkim ruchome kuchnie na potrzeby wojska. Dorobił się sporego majątku właśnie na zamówieniach dla armii carskiej. Blaszka sama w sobie nie jest bardzo interesująca, ale przypadkiem udało się znaleźć wnuczkę Michała Załęskiego. Aktualnie przedmiot jest w archiwum rodzinnym.

Pieczęć Raffelsohn Warscha

Ciekawa pieczątka firmy Raffelsohn, z błędem w pisowni niemieckiej miasta – *„Warscha"*, prawidłowo powinno być *„Warschau"*. Wydaje mi się, iż pieczątka pochodzi z czasów okupacji niemieckiej w Warszawie podczas I wojny światowej (5 VIII 1915 – 11 XI 1918). Nie udało mi się znaleźć żadnej informacji na temat firmy Raffelsohn.

Żeton apteczny

Żeton z apteki *„St. Szymański, ul. Furmańska nr 19"*. Żetony apteczne były dowodem złożenia zamówienia na wykonanie leku. W tym przypadku żeton ma na rewersie numer „18". Nie udało mi się znaleźć informacji na temat apteki Szymańskiego, a także z jakiego okresu pochodzi żeton. Jedyne co jest pewne to fakt, iż został wykonany po 1868 roku. Wówczas zrezygnowano w Warszawie z identyfikacji budynków za pomocą numerów hipotecznych i wprowadzono tzw. numery policyjne, czyli numerację kolejnych budynków na ulicy.

Żeton kelnerski Wróbel

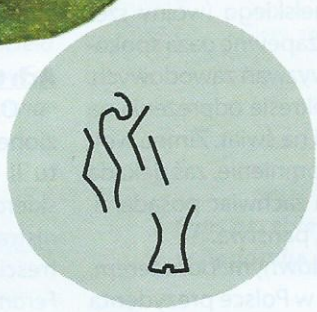

Żeton o nominale 100 służący do rozliczania się kelnera z kuchnią. Pochodzi z początku XX w., sprzed I wojny światowej. Restauracja p. Wróbla zajmowała parter jednopiętrowego, drewnianego budynku znajdującego się na rogu ulic Mazowieckiej i Traugutta. Była to znana, niedroga jadłodajnia w centrum Warszawy. W latach 20. nowy właściciel zmienił nazwę na „Bar pod Wróblem". Lokal był miejscem spotkań warszawskiej cyganerii. Żeton ma średnicę 3,3 cm. Dwustronna mosiężna blaszka. Na rewersie jest słabo wybita litera *„W"*.

Znaczek na czapkę Szkoły Kupieckiej

Rosjanie ten typ znaczka na czapkę nazywają: znak, orzeł lub kokarda. Był to znak występujący w wielu odmianach. Szkoła kupiecka miała na wieńcu dodatkowo umieszczone dwie litery: *„K"* i *„U"* (Kupieckoje Uczyliszcze). Na przełomie XX i XIX w. z inicjatywy zgromadzenia kupców warszawskich zbudowano siedzibę Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców miasta Warszawy. Budynek znajdował się na uli. Prostej róg Waliców. Do II wojny światowej wykształcono tu kilka pokoleń kupców. Wielkość kokardy – 1,8×3 cm. Litery *„KU"* nakładane.

Monogram z pagonu warszawskiego Instytutu Weterynarii

Budynek Instytutu Weterynarii w Warszawie wybudowano w latach 1899-1900. W czasach carskich wszyscy urzędnicy i uczniowie państwowych szkół byli umundurowani. Jednym z elementów munduru studenta Instytutu był monogram umieszczony na pagonie. Wielkość 3,5×4 cm, grubość 3 mm. Wypukły mosiężny odlew. Budynek Instytutu do dzisiaj stoi przy ul. Grochowskiej 272. Aktualnie ma tu swoją siedzibę Simfonia Varsovia.

Znaczek kolportera

Ponieważ nikt nic nie wie na temat tego niewątpliwego identyfikatora, pozostają domysły. Jest to być może znaczek ulicznego licencjonowanego sprzedawcy jednej z warszawskich gazet. Niestety, brak jest jakiegokolwiek materiału ikonograficznego potwierdzającego tę teorię. Średnica tłoczonej blaszki 4,4 cm. Na rewersie ślad po śrubie.

Piotr Adamczyk

Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie wydział Grafiki: Grafik designer, ilustrator, rysownik, malarz, fotografik. Hobby: Poszukiwanie „skarbów" szczególnie małych, historia, zielarstwo, kuchnia, literatura.

Skarbowa racja stanu, czyli poszukiwania

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
DOKUMENTY: IPN

Na początku lat 70. odbyła się niezwykła, nawet na tle dotychczas prezentowanych, akcja poszukiwań ukrytego depozytu. Przeprowadzona została w Radomiu z inicjatywy amerykańskiego korespondenta, przy istotnym wsparciu komunistycznej służby kontrwywiadu cywilnego (Departamentu II MSW) oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Sytuacja taka w ówczesnych realiach wydaje się niemożliwa, a jednak miała miejsce…

James Feron, amerykański korespondent „New York Timesa", podczas swojej długiej kariery widział i słyszał wiele. Zanim pod koniec lat 60. został wysłany do Polski, relacjonował mnóstwo burzliwych wydarzeń mijającego dziesięciolecia. Był świadkiem słynnego wybuchu złości Nikity Chruszczowa w siedzibie Narodów Zjednoczonych, śledził perypetie związane z najsłynniejszym wówczas napadem stulecia i jego uczestnikami, czy wreszcie ryzykując życiem, z pierwszej linii opisywał przebieg konfliktu arabsko-izraelskiego (wojny sześciodniowej). Warszawa wydawała mu się zapewne oazą spokoju, choć czekało go tu jedno z większych wyzwań zawodowych. Trafił do kraju nad Wisłą w wyjątkowym okresie odprężenia na linii Wschód-Zachód i otwierania się Polski na świat. Zimna wojna zdawała się odchodzić pozornie w zapomnienie, zaś dekada Edwarda Gierka dopiero za kilka lat miała zachwiać posadami, pretendującego do miana drugiej Japonii, państwa.

Kulminacja historii, której stał się głównym bohaterem, miała miejsce na 3 miesiące przed wizytą w Polsce prezydenta Stanów Zjednoczonych Richarda Nixona, która odbyła się na przełomie maja i czerwca 1972 roku. Wydarzenia pod kątem medialnym, w ówczesnych realiach, wyjątkowego, szczególnie dla korespondenta jednego z najważniejszych dzienników amerykańskich. Lecz sprawa, którą chcemy opisać, łączy się z tym doniosłym faktem jedynie w niewielkim stopniu. Zresztą teksty Jamesa Ferona z tamtego okresu do dziś można znaleźć w sieci, w odróżnieniu od historii, którą za chwilę zaprezentujemy.

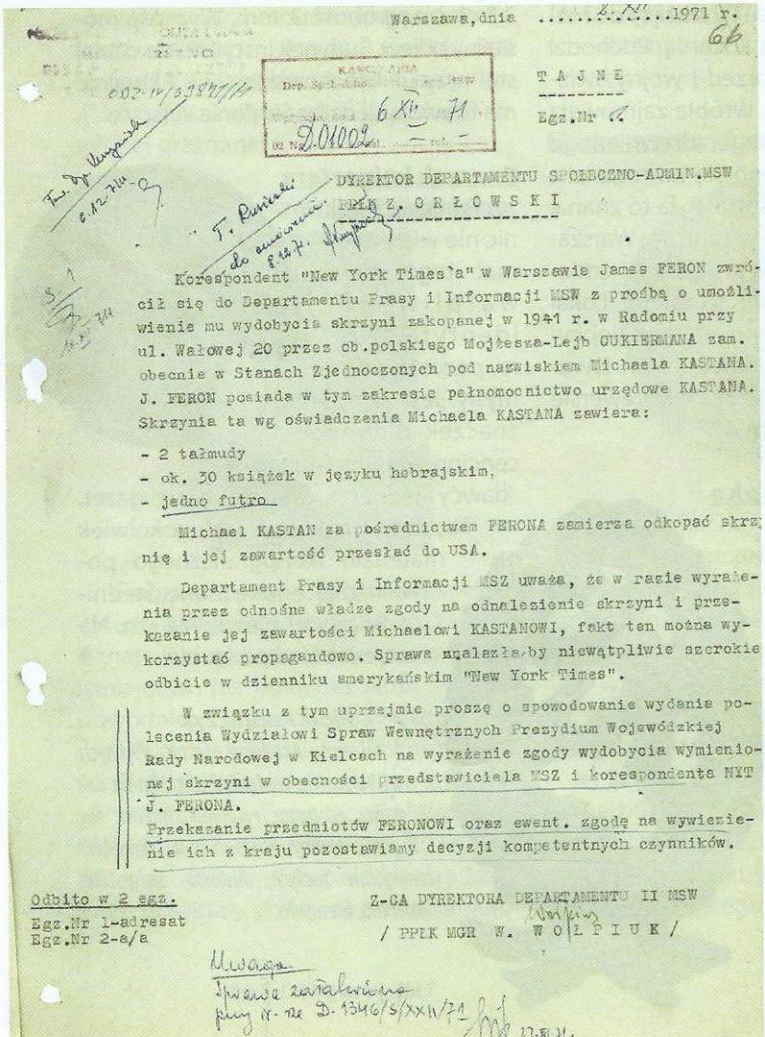

Warszawa, dnia ..... 1971 r.

TAJNE

Egz.Nr

DYREKTOR DEPARTAMENTU SPOŁECZNO-ADMIN.MSW
PPŁK Z. ORŁOWSKI

Korespondent "New York Times'a" w Warszawie James FERON zwrócił się do Departamentu Prasy i Informacji MSW z prośbą o umożliwienie mu wydobycia skrzyni zakopanej w 1941 r. w Radomiu przy ul. Wałowej 20 przez ob.polskiego Mojżesza-Lejb CUKIERMANA zam. obecnie w Stanach Zjednoczonych pod nazwiskiem Michaela KASTANA. J. FERON posiada w tym zakresie pełnomocnictwo urzędowe KASTANA. Skrzynia ta wg oświadczenia Michaela KASTANA zawiera:

- 2 talmudy
- ok. 30 książek w języku hebrajskim,
- jedno futro

Michael KASTAN za pośrednictwem FERONA zamierza odkopać skrzynię i jej zawartość przesłać do USA.

Departament Prasy i Informacji MSZ uważa, że w razie wyrażenia przez odnośne władze zgody na odnalezienie skrzyni i przekazanie jej zawartości Michaelowi KASTANOWI, fakt ten można wykorzystać propagandowo. Sprawa znalazła by niewątpliwie szerokie odbicie w dzienniku amerykańskim "New York Times".

W związku z tym uprzejmie proszę o spowodowanie wydania polecenia Wydziałowi Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach na wyrażenie zgody wydobycia wymienionej skrzyni w obecności przedstawiciela MSZ i korespondenta NYT J. FERONA.

Przekazanie przedmiotów FERONOWI oraz ewent. zgodę na wywiezienie ich z kraju pozostawiamy decyzji kompetentnych czynników.

Odbito w 2 egz.
Egz.Nr 1-adresat
Egz.Nr 2-a/a

Z-CA DYREKTORA DEPARTAMENTU II MSW
/ PPŁK MGR W. WOŁPIUK /

Sprawa załatwiona pismem nr. nr D. 1346/S/XXII/71

Pismo z prośbą dyrektora Departamentu II o poparcie inicjatywy Jamesa Ferona.

Ach ta władza lokalna…

O jej intrygujących początkach dowiadujemy się z odnalezionego w archiwach IPN pisma z-cy dyrektora Departamentu II Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ppłk. W. Wołpiuka, skierowanego do dyrektora Departamentu Społeczno-Administracyjnego MSW ppłk. Z. Orłowskiego. Pisma następującej treści: *„Korespondent »New York Times'a« w Warszawie James Feron zwrócił się do Departamentu Prasy i Informacji MSW* (powinno być MSZ - przyp. P.M.) *z prośbą, o umożliwienie mu wydobycia skrzyni zakopanej w 1941 r. w Radomiu przy ul. Wałowej 20 przez ob. polskiego Mojżesza Lejb Cukiermana, zam. obecnie w Stanach Zjednoczonych pod nazwiskiem Michaela Kastana. J. Feron posiada w tym zakresie pełnomocnictwo urzędowe Kastana. Skrzynia ta wg oświadczenia Michaela Kastana zawiera:*

– 2 Tałmudy
– ok. 30 książek w języku hebrajskim
– jedno futro.

Michael KASTAN za pośrednictwem FERONA zamierza odkopać skrzynię i jej zawartość przesłać do USA". Z dalszej części zacytowanego dokumentu można wywnioskować, że James Feron, dla jakże osobliwego planu, miał niezwykle silne poparcie w Departamencie Prasy i Informacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Była to instytucja, której bez wątpienia w szczególny sposób zależało na relacjach z akredytowanym przedstawicielem jednego z trzech najważniejszych dzienników opiniotwórczych w Stanach Zjednoczonych. Wszak to jego relacje na temat naszego kraju w największym stopniu kształtowały wizerunek Polski w oczach Amerykanów. W MSZ zdawano sobie z tego sprawę, dlatego też zapewne postanowiono, w kręgach dyplomatycznych, wesprzeć prywatną prośbę wpływowego jankesa. Tak przynajmniej interpretowano sytuację w kierownictwie MSW, które również miało poprzeć inicjatywę dziennikarza: *„Departament Prasy i Informacji MSZ uważa, że w razie wyrażenia przez odnośne władze zgody na odnalezienie skrzyni i przekazanie jej zawartości Michaelowi Kastanowi, fakt ten moż-*

wyższej konieczności...

na wykorzystać propagandowo. Sprawa znalazłaby niewątpliwie szerokie odbicie w dzienniku amerykańskim »New York Times«". Jak się jednak okazuje, nie wszystkie decyzyjne instytucje wykazywały w tej sprawie wystarczający entuzjazm. Dlatego też konieczne było wywarcie odpowiedniego nacisku na przedstawiciela MSW, który skutecznie opierał się dotychczasowej presji wywieranej nań przez MSZ. Co ciekawe, problem pojawił się na szczeblu lokalnym, gdzie początkowo trafił do rozpatrzenia wniosek amerykańskiego dziennikarza i nie uzyskał akceptacji. Tym samym MSZ poprosiło o interwencję kierownictwo Departamentu II MSW, który w jednoznaczny sposób określił zakres pomocy, jakiej miał udzielić Dyrektor Departamentu Społeczno-Administracyjnego MSW w tej szczególnej sprawie: *„W związku z tym uprzejmie proszę o spowodowanie wydania polecenia Wydziałowi Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach na wyrażenie zgody wydobycia wymienionej skrzyni w obecności przedstawiciela MSZ i korespondenta NYT J. Ferona. Przekazanie przedmiotów Feronowi oraz ewent. zgodę na wywiezienie ich z kraju, pozostawiamy decyzji kompetentnych czynników".*

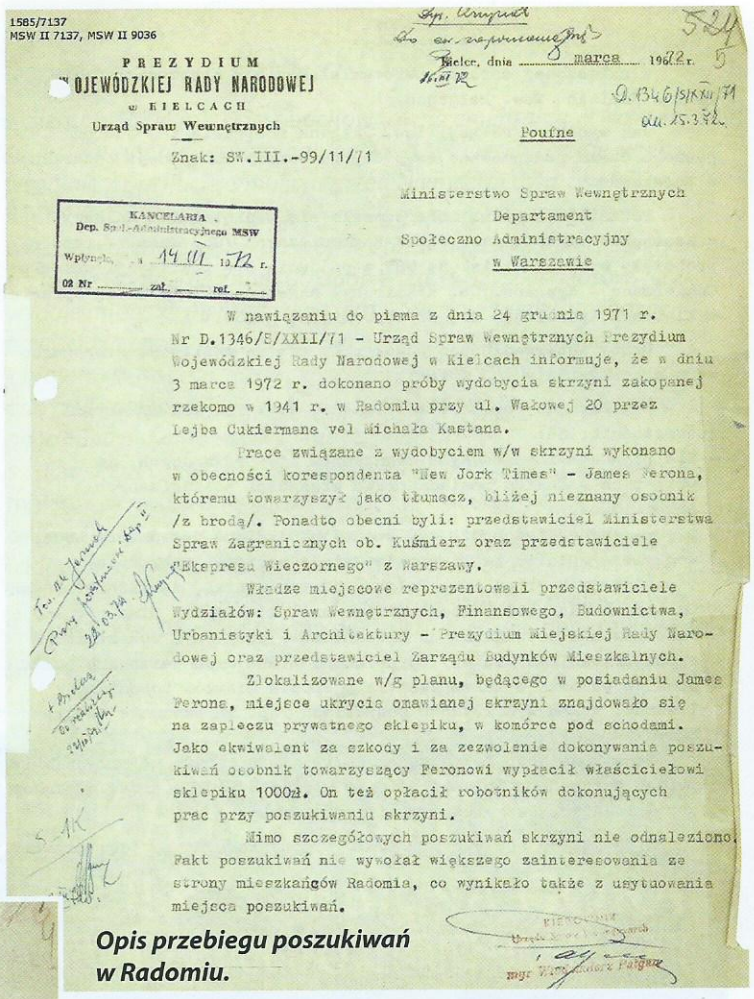

1585/7137
MSW II 7137, MSW II 9036

PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
w KIELCACH
Urząd Spraw Wewnętrznych

Kielce, dnia 3 marca 1972 r.

Poufne

Znak: SW.III.-99/11/71

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
Departament
Społeczno Administracyjny
w Warszawie

KANCELARIA Dep. Społ.-Administracyjnego MSW
Wpłynęło dnia 14.III 1972 r.
02 Nr ... zał. ... rel. ...

W nawiązaniu do pisma z dnia 24 grudnia 1971 r. Nr D.1346/S/XXII/71 - Urząd Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach informuje, że w dniu 3 marca 1972 r. dokonano próby wydobycia skrzyni zakopanej rzekomo w 1941 r. w Radomiu przy ul. Wołowej 20 przez Lejba Cukiermana vel Michała Kastana.

Prace związane z wydobyciem w/w skrzyni wykonano w obecności korespondenta "New Jork Times" - James Ferona, któremu towarzyszył jako tłumacz, bliżej nieznany osobnik /z brodą/. Ponadto obecni byli: przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych ob. Kuśmierz oraz przedstawiciele "Ekspresu Wieczornego" z Warszawy.

Władze miejscowe reprezentowali przedstawiciele Wydziałów: Spraw Wewnętrznych, Finansowego, Budownictwa, Urbanistyki i Architektury - Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz przedstawiciel Zarządu Budynków Mieszkalnych.

Zlokalizowane w/g planu, będącego w posiadaniu James Ferona, miejsce ukrycia omawianej skrzyni znajdowało się na zapleczu prywatnego sklepiku, w komórce pod schodami. Jako ekwiwalent za szkody i za zezwolenie dokonywania poszukiwań osobnik towarzyszący Feronowi wypłacił właścicielowi sklepiku 1000zł. On też opłacił robotników dokonujących prac przy poszukiwaniu skrzyni.

Mimo szczegółowych poszukiwań skrzyni nie odnaleziono. Fakt poszukiwań nie wywołał większego zainteresowania ze strony mieszkańców Radomia, co wynikało także z usytuowania miejsca poszukiwań.

Opis przebiegu poszukiwań w Radomiu.

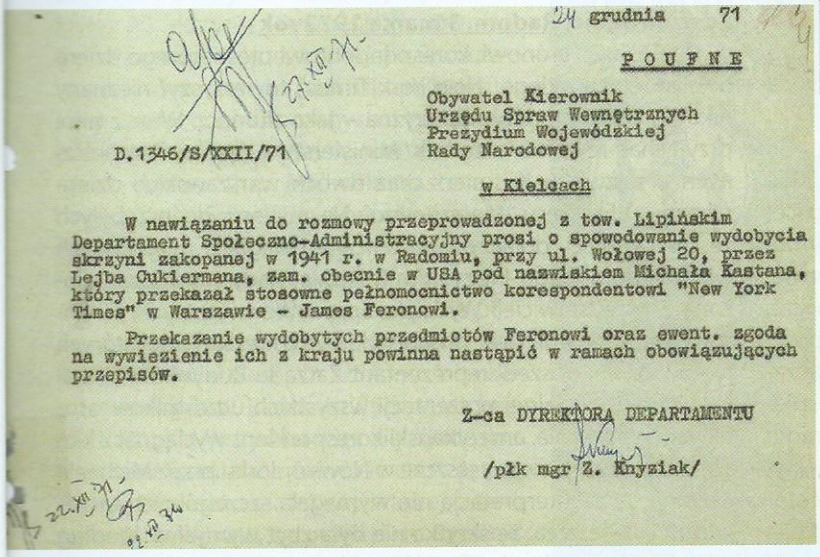

24 grudnia 71

POUFNE

D.1346/S/XXII/71

Obywatel Kierownik
Urzędu Spraw Wewnętrznych
Prezydium Wojewódzkiej
Rady Narodowej

w Kielcach

W nawiązaniu do rozmowy przeprowadzonej z tow. Lipińskim Departament Społeczno-Administracyjny prosi o spowodowanie wydobycia skrzyni zakopanej w 1941 r. w Radomiu, przy ul. Wołowej 20, przez Lejba Cukiermana, zam. obecnie w USA pod nazwiskiem Michała Kastana, który przekazał stosowne pełnomocnictwo korespondentowi "New York Times" w Warszawie - James Feronowi.

Przekazanie wydobytych przedmiotów Feronowi oraz ewent. zgoda na wywiezienie ich z kraju powinna nastąpić w ramach obowiązujących przepisów.

Z-ca DYREKTORA DEPARTAMENTU

/płk mgr Z. Knyziak/

Prośba, a właściwie nakaz z MSW, skierowany do USW w Kielcach.

Nikt nie lubi nacisków...

Kierownik Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach Włodzimierz Pałgan, był już tą sprawą od dawna poirytowany. Do tej pory jeszcze nikt nie poddawał go takim naciskom, jak tym razem. Najpierw dzwonił ważniak z Ministerstwa Kultury, następnie niejaki Kuśmierz, tym razem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ten ostatni nawet osobiście pofatygował się ze stolicy do Kielc. Argumentował możliwością propagandowego, jakże potrzebnego ojczyźnie wykorzystania sytuacji, przekonywał nęcąc nagrodą, wreszcie, zaczął straszyć niejakim towarzyszem Sikorą z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zaznaczył oczywiście, że wolałby go nie angażować, ale jak nadal będą problemy, to nie będzie miał wyjścia... Włodzimierz Pałgan jednak upierał się przy swoim. Sprawa wyraźnie wydawała mu się niejasna, a może po prostu nie lubił, jak ktoś go do czegoś zmuszał... Trzeba jednak przyznać, że miał sporo odwagi, ignorując sugestie pochodzące z aż tak wysokiego szczebla państwowego. W jego opinii wniosek Ferona nie spełniał warunków formalnych, budził także wątpliwości innej natury. Urzędnik ostatecznie poproszony o szczegółowe wyjaśnienia tłumaczył, że Amerykanin nie dołączył *„żadnych dokumentów stwierdzających, iż Cukierman-Kastan posiada prawo własności poszukiwanych przedmiotów".* Lecz nawet gdyby takowe posiadał, to i tak najwyraźniej na wiele by się to nie zdało. Zgodnie bowiem z obowiązującymi ówcześnie (jak i teraz) przepisami, jeżeli okazałoby się, że wewnątrz poszukiwanej skrzyni znajdują się rzeczy o wartości zabytkowej *„nie ma żadnej pewności, czy ewent. odnalezione przedmioty będą mogły być wydane".* Podejrzenia Włodzimierza Pałgana budził również fakt, *„że zainteresowany Cukierman udzielił pełnomocnictwa oraz udostępnił plan sytuacyjny umieszczenia poszukiwanych przedmiotów, przy czym, uczestniczyć w poszukiwaniach miałaby ograniczona ilość osób ze strony polskiej".* Kierownik USW w Kielcach, jako rzetelny i przewidujący urzędnik, podkreślał również, że *„otwarta pozostaje także kwestia pokrycia kosztów robocizny i ewent. szkód wynikłych z poszukiwań /np. zniszczenie murów budynku/".* Okazało się także, że inicjatywa eksploracyjna amerykańskiego dziennikarza, nie była pierwszą próbą wydobycia depozytu ukrytego w Radomiu przy ul. Wałowej. Kierownik Pałgan podkreślał, że *„w latach ubiegłych były czynione »ciche« próby odnalezienia w/w przedmiotów przez nieznane osoby działające bez wiedzy władz polskich".*

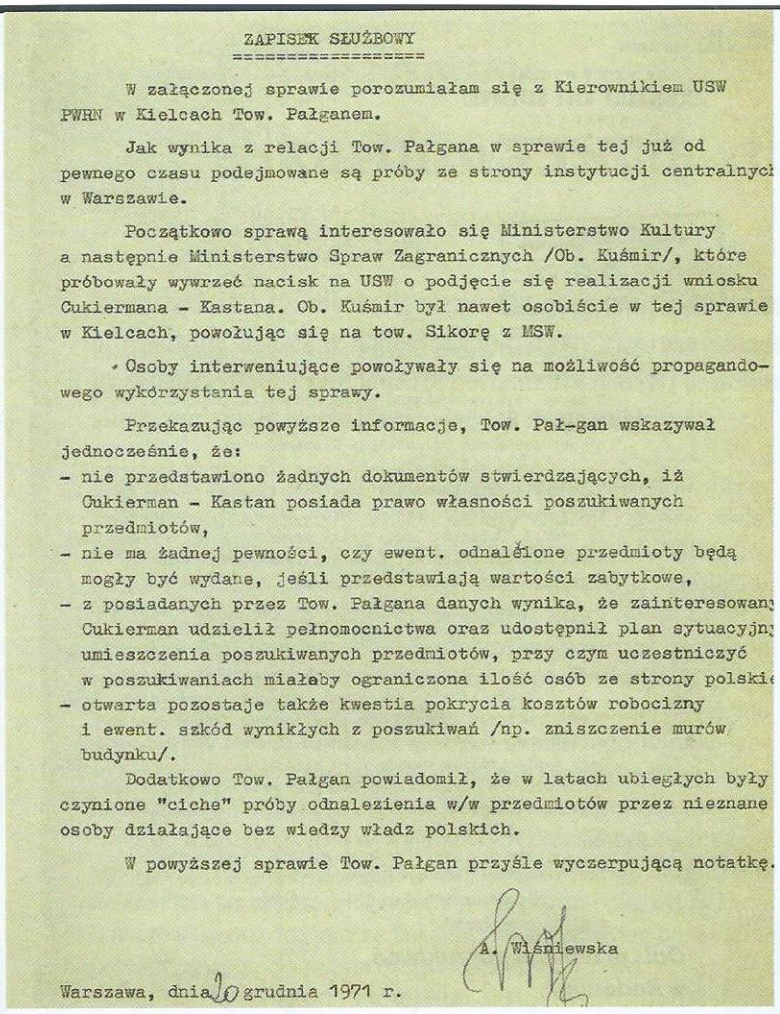

ZAPISEK SŁUŻBOWY

W załączonej sprawie porozumiałam się z Kierownikiem USW PWRN w Kielcach Tow. Pałganem.

Jak wynika z relacji Tow. Pałgana w sprawie tej już od pewnego czasu podejmowane są próby ze strony instytucji centralnych w Warszawie.

Początkowo sprawą interesowało się Ministerstwo Kultury a następnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych /Ob. Kuśmir/, które próbowały wywrzeć nacisk na USW o podjęcie się realizacji wniosku Cukiermana - Kastana. Ob. Kuśmir był nawet osobiście w tej sprawie w Kielcach, powołując się na tow. Sikorę z MSW.

Osoby interweniujące powoływały się na możliwość propagandowego wykorzystania tej sprawy.

Przekazując powyższe informacje, Tow. Pał-gan wskazywał jednocześnie, że:
- nie przedstawiono żadnych dokumentów stwierdzających, iż Cukierman - Kastan posiada prawo własności poszukiwanych przedmiotów,
- nie ma żadnej pewności, czy ewent. odnalezione przedmioty będą mogły być wydane, jeśli przedstawiają wartości zabytkowe,
- z posiadanych przez Tow. Pałgana danych wynika, że zainteresowany Cukierman udzielił pełnomocnictwa oraz udostępnił plan sytuacyjny umieszczenia poszukiwanych przedmiotów, przy czym uczestniczyć w poszukiwaniach miałaby ograniczona ilość osób ze strony polskiej
- otwarta pozostaje także kwestia pokrycia kosztów robocizny i ewent. szkód wynikłych z poszukiwań /np. zniszczenie murów budynku/.

Dodatkowo Tow. Pałgan powiadomił, że w latach ubiegłych były czynione "ciche" próby odnalezienia w/w przedmiotów przez nieznane osoby działające bez wiedzy władz polskich.

W powyższej sprawie Tow. Pałgan przyśle wyczerpującą notatkę.

A. Wiśniewska

Warszawa, dnia 20 grudnia 1971 r.

Pismo, w którym wyszczególnione zostały wątpliwości Kierownika USW w Kielcach.

Dziwne rozwiązanie

18 grudnia 1971 roku na biurku kierownika USW w Kielcach zadzwonił telefon. W słuchawce przedstawił się oficer Departamentu II MSW o nazwisku Sikora, który *„poinformował, że Departament II jest zainteresowany w szybkim załatwieniu sprawy, t.j. w szybkim zorganizowaniu grupy poszukiwawczej i dokonaniu poszukiwań wg planu znajdującego się w dyspozycji dziennikarza z »New York Times'a«"*. Czyżby więc oznaczało to, że peerelowska służba kontrwywiadu cywilnego wspierała inicjatywę, podlegającego w założeniach jej działaniom operacyjnym, amerykańskiego korespondenta w Polsce? Sytuacja co najmniej dziwaczna, z punktu widzenia zadań stojących przed Departamentem II. Dziwaczna jednak pozornie. Przy zaangażowaniu się resortu w sprawę, MSW mogło mieć dzięki takiemu posunięciu całkowitą kontrolę nad rozwojem wypadków, co było wartością dla służb samą w sobie. I była to tylko jedna strona medalu. A jest jeszcze druga. W dobie odprężenia w stosunkach między Wschodem a Zachodem i przyszłej współpracy gospodarczej z państwami kapitalistycznymi, w tym oczywiście ze Stanami Zjednoczonymi, gest jaki wykonała strona polska w stosunku do Jamesa Ferona miał swoje logiczne uzasadnienie. Również w obliczu planowanej na połowę roku 1972 wizyty w kraju amerykańskiego prezydenta Richarda Nixona. Przy tej okazji warto zastanowić się również nad wielokrotnie wymienianym już wymiarem propagandowego znaczenia tej sprawy, tak silnie eksponowanym przez MSZ. Wydaje się, że związany był z ewentualną publikacją relacji z poszukiwań w „New York Timesie", dzięki której upieczono by kilka pieczeni na jednym ogniu. Oto w państwie bloku wschodniego władze pozwalają amerykańskiemu obywatelowi przeprowadzić, w imieniu mieszkającego w USA Polaka żydowskiego pochodzenia, poszukiwania w celu odzyskania należącego do niego mienia, ukrytego jeszcze w czasie wojny. W obliczu zerwanych stosunków dyplomatycznych z Izraelem i wciąż żywych reperkusji wydarzeń roku 1968, a także zbliżenia ze Stanami Zjednoczonymi, byłoby to mistrzowskie posunięcie pijarowe. Na przeszkodzie genialnego planu stał jednak urzędnik z Kielc, skutecznie blokujący całe przedsięwzięcie. Aby go uspokoić, pracownik Departamentu II *„zaznaczył, że zależy mu bardzo na pośpiechu, ale poszukiwania powinny odbyć się w zgodzie z przepisami, a po odnalezieniu poszukiwanych przedmiotów powinny być poddane ocenie kompetentnych osób w kraju, czy mogą być wywiezione za granicę"*. Nie wiemy, czy ostatecznie argumentacja ta trafiła do Włodzimierza Pałgana. Wiemy, że jego zdanie przestało się liczyć po oficjalnej prośbie o *„spowodowanie wydobycia skrzyni zakopanej w 1941 r. w Radomiu"*, wystosowanej do Kierownika Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Kielcach przez z-cę Dyrektora Departamentu Społeczno-Administracyjnego MSW płk. Z. Knyziaka. Poleceniu służbowemu z centrali, na tym etapie, trudno było się sprzeciwić.

Poszukiwania, Radom, 3 marca 1972 rok

Jamesowi Feronowi, korespondentowi prestiżowego dziennika amerykańskiego „New York Times", towarzyszył nieznany nikomu bliżej brodaty mężczyzna – jako tłumacz. Wraz z nimi przyjechał również urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych o nazwisku Kuśmierz oraz dwóch warszawskich dziennikarzy z „Ekspresu Wieczornego". Na miejscu, do przybyłych ze stolicy gości, dołączyła dość liczna delegacja miejscowych władz radomskiego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej złożona z przedstawicieli Wydziału Spraw Wewnętrznych, Finansowego, Budownictwa, Urbanistyki i Architektury, do których nieco później doszedł reprezentant Zarządu Budynków Mieszkalnych. Po oficjalnej prezentacji wszystkich uczestników osobliwego spotkania, amerykański korespondent wyciągnął z kieszeni plan, rozrysowany jeszcze w Nowym Jorku przez Michaela Kastana. Jego interpretacja nie wymagała szczególnych umiejętności, zwłaszcza, że skrytka nie była zbyt wymyślna. Według szkicu *„miejsce ukrycia skrzyni znajdowało się na zapleczu prywatnego sklepiku, w komórce pod schodami"*. Gdy zainteresowani dotarli pod wskazany adres, okazało się, że wszystko się zgadzało z opisem. Właściciel sklepiku widząc gromadę elegancko ubranych mężczyzn, w towarzystwie kilku robotników budowlanych zmierzających w jego stronę, lekko się zmieszał i zaniepokoił. – *Pan się nic nie martwi, wszystko naprawimy, lokal nie zazna uszczerbku, pan nie pożałujesz!* – rzekł brodaty tłumacz Jamesa Ferona wręczając zdezorientowanemu właścicielowi 1000 złotych na pokrycie szkód, do jednej ręki, do drugiej oficjalną zgodę na pracę. Dary najwyraźniej usatysfakcjonowały sklepikarza, bowiem przestał nerwowo przestępować z nogi na nogę. Robotnicy zeszli do wskazanego pomieszczenie rozświetlonego słabo migającą żarówką. Zaczęli rozkuwać posadzkę, następnie chwycili za łopaty przekopując niewielkie pomieszczenie. Niestety, nie dało to żadnego rezultatu. Mimo planu precyzyjnie określającego miejsce ukrycia skrzyni… skrytka była pusta.

W tym wypadku nie była to już jednak tylko porażka eksploracyjna. James Feron stracił zapewne temat do ciekawego artykułu dla amerykańskich czytelników, musiał przekazać też Michaelowi Kastanowi smutną wiadomość. Przedstawiciele MSZ-u ominęła okazja do propagandowego szumu wokół niezwykłego zdarzenia, które chcieli upolitycznić. Zadowolony był chyba tylko kierownik Pałgan, który przynajmniej od tego momentu poczuł, że wreszcie będzie miał spokój.

Kastan vel Cukierman

Omawiana sprawa, dość nietypowa w skali dotychczas prezentowanych przypadków, okazała się wyjątkowa z jeszcze jednego względu. Każdorazowo staramy się prześwietlać bohaterów przedstawianych historii i natrafić na ich ślady w jakichkolwiek źródłach pisanych. Niestety, przeważnie się to nie udaje, z oczywistych przyczyn. Tym razem jednak było inaczej. Prześledzenie kariery i osiągnięć dziennikarza nie nastręcza zbytnio problemów, znalezienie jednak powiązań dziennikarza z mieszkającym w USA Michaelem Kastanem vel pochodzącym z Radomia Mojżeszem Lejb Cukiermanem proste już nie jest. Prosta nie była również próba prześledzenia jego historii. Z materiałów źródłowych MSW wiemy właściwie tylko tyle, że w 1941 r. ukrył w Radomiu przy ul. Wałowej 20 skrzynię. Pewne było również to, że przeżył wojnę, a po jej zakończeniu pod zmienionym nazwiskiem osiedlił się w Stanach Zjednoczonych. I tyle. Dość niespodziewanie udało się jednak natrafić na istotny trop Michaela Kastana… na kartach Szwedzko-Amerykańskiego Kwartalnika Historycznego wydawanego przez Uniwersytet North Park w Chicago. Tam oto znajdujemy, w artykule poświęconym emigracji Skandynawów po II wojnie światowej do USA, wzmiankę o urodzonym w Radomiu Żydzie Michaelu Kastanie! Wszystko więc się zgadzało, lecz nadal istniała możliwość zaistnienia zbiegu okoliczności. Tak czy inaczej, z treści notki wynikało, że przybył do Szwecji w 1946 roku, gdzie przyjął tamtejsze obywatelstwo. Po 15 latach jednak wyemigrował do Ameryki, tam się osiedlił i spędził resztę życia. Dzięki przypisowi do tej informacji, udało się ustalić dodatkowo, że uzyskano ją w 2007 roku od… syna Michaela Kastana. Okazał się nim być mieszkający w Szwecji Peter Pagin – profesor sztokholmskiego Uniwersytetu. Jakże wielkie było zaskoczenie, gdy odpisał na wysłany do niego list z opisem niniejszej historii: *„Szanowny Panie Maszkowski, cóż za niezwykła niespodzianka! W istocie jestem synem Michaela Kastana, niegdyś Mosze Cukiermana z Radomia (nie widziałem, że nosił również imię Lejb). Niestety, nie będzie Panu mógł już nic opowiedzieć – zmarł w sierpniu 2004 roku i jest pochowany na cmentarzu w Nowym Jorku. Faktycznie wspominał kiedyś o tym, że w czasie wojny wspólnie z przyjacielem ukryli przed Niemcami dwa zwoje Tory. Być może chowali coś jeszcze, lecz tego już nie zapamiętałem. Powiedział mi również, że po wojnie starał się je odzyskać, ale mu się to nie udało. Nie znam dokładnie jego wszystkich losów, lecz wydaje mi się, że pierwsze dwa lata po wojnie spędził w obozach przejściowych, m. in. w Austrii. W 1946 lub 1947 roku przyjechał z bratem do Szwecji, gdzie dołączyli do swoich dwóch sióstr, którym pod koniec wojny udało się wydostać z obozu koncentracyjnego »Białymi autobusami« hr. Bernadotte".*

Pan Pagin jest w posiadaniu spisanych przez ojca wspomnień z okresu wojny. Obiecał nam je udostępnić, jak również odpowiedzieć na szereg pytań, co być może pozwoli wyjaśnić i doprecyzować wiele kwestii dotyczących przedstawionej historii. Udało się z nim nawiązać kontakt właściwie w ostatniej chwili, tuż przed oddaniem gazety do druku, więc w jednym z kolejnych numerów z pewnością wrócimy do tego tematu. CDN.

REKLAMA

Broń wyrzucano wszędzie (zrzutowisko Kłodzko)

TEKST: WOJTEK STOJAK
ZDJĘCIA: ZBIORY WOJTKA STOJAKA

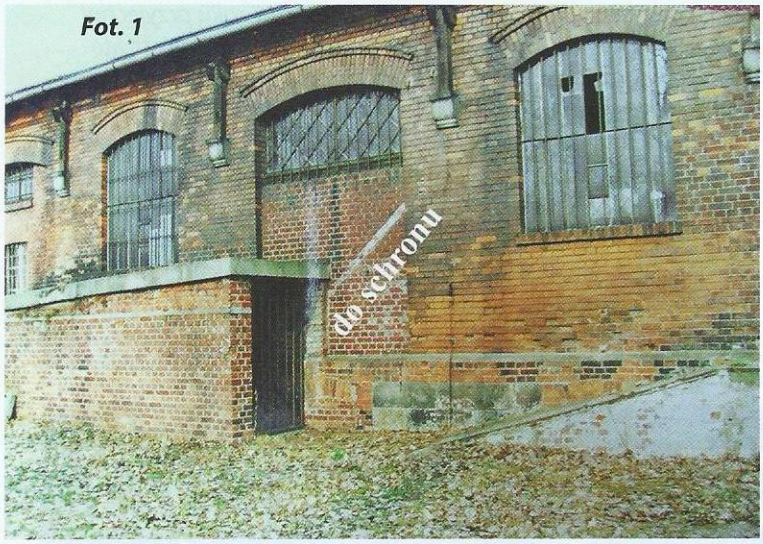

Fot. 1

To stara historia. Można ją datować na dwa lata przed i dwa lata po wielkiej powodzi 1997 roku. Dwa lata przed, bo wiedziałem wcześniej o tym miejscu, tylko nie bardzo wiedziałem jak je ruszyć, jako że to pobocze uczęszczanej drogi, i skarpa rzeki, i strach przed policją zawsze towarzyszący tego typu przedsięwzięciom. Mijały lata. Zrzutowisko ruszyła dopiero wielka powódź, która bezkarnie, nie pytając o zgody i zezwolenia, bez strachu przed policją wypłukiwała przydrożną skarpę, wypłukiwała broń, a rwący nurt rozciągał ją w korycie aż do mostu kolejowego, czyli prawie kilometr w dół rzeki. Rzeka tak narozrabiała, że ponoć nawet saperów wzywali bo zbyt wiele wojennych artefaktów wylazło na wierzch i coś z tym trzeba było zrobić (a przecież wystarczyło zawiadomić poszukiwaczy). Nie wiem, co saperzy stamtąd pozbierali, ja byłem dobre pół roku później. Ale od początku.

Co wiedziałem wcześniej? Niewiele właściwie. Że ponoć na tyłach stacji Kłodzko Główne znajdował się niemiecki magazyn z bronią. Że ponoć, jak Sowieci weszli do Glatz, to ten magazyn zlikwidowali. Jak? Najprościej jak można. Z budynku magazynowego, na którym widać jeszcze białą strzałkę do Luftschutzkeller (fot. 1) przenieśli wszystko przez drogę (fot. 2), zwalili na rzeczną skarpę, dodali smoły i podpalili. Gdy się już spaliło, przysypali trochę ziemią i było „pa wsiem". W tamtych latach nikt nie grzebał w jakichś zrzutowiskach, bo sprawna broń stała w każdym kącie. Mijały lata. Odchodzili świadkowie powojennych wydarzeń. Każdej jesieni żółte liście pokrywały coraz grubszą warstwą tajemnicę rzecznej skarpy. Na wierzchu nic nie było widać, choć żelastwo było bardzo płytko. Może 20, może 30 centymetrów. No, ale kto wiedział? Gdy byłem pierwszym razem, nic nie wskazywało na obecność żelaza płytko pod powierzchnią. Dopiero za drugim razem, gdy woda odsłoniła duży płat rdzawej, zażelazionej ziemi, z której mauserowski bagnet sterczał do góry na parę centymetrów, nie trzeba było zgadywać, pomiędzy którymi drzewami wszystko zrzucili. Z tą smołą też była prawda – znalazłem resztki. Zamieszczone fotografie pochodzą z drugiej wycieczki. Wyraźnie widać poszerzone i obsypane kamieniami brzegi koryta Nysy Kłodzkiej (fot. 3). A przed robotami przeciwpowodziowymi byli saperzy, czyli znowu się spóźniłem, bo jak przedtem, strach kopać w świeżo uporządkowanych skarpach, a co było na wierzchu, to wybrali oni albo miejscowi pasjonaci.

Fot. 2

Wyłowiony z Nysy.

Fot. 4
Po renowacji.

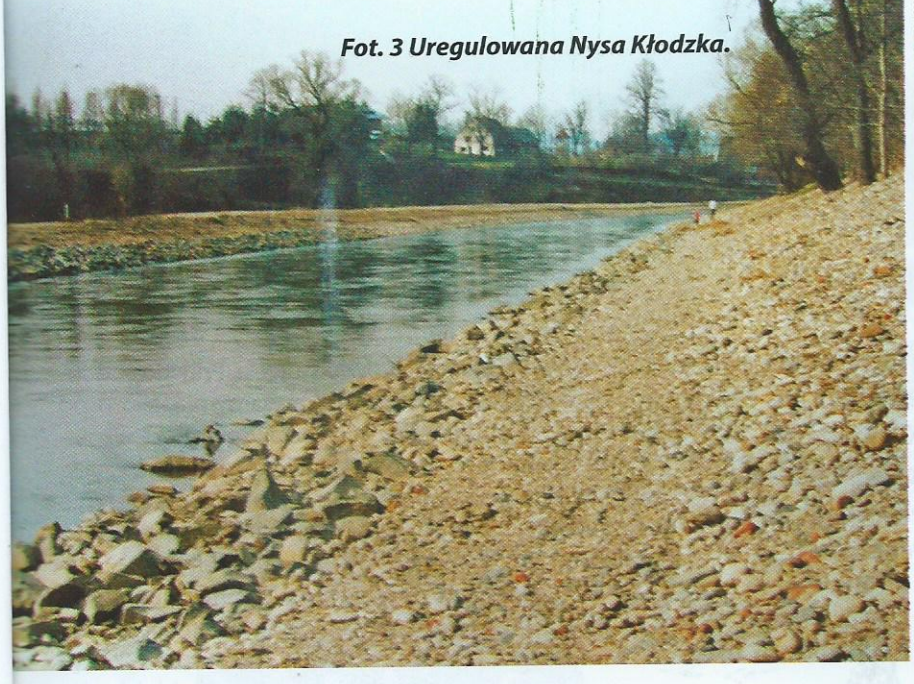

Fot. 3 Uregulowana Nysa Kłodzka.

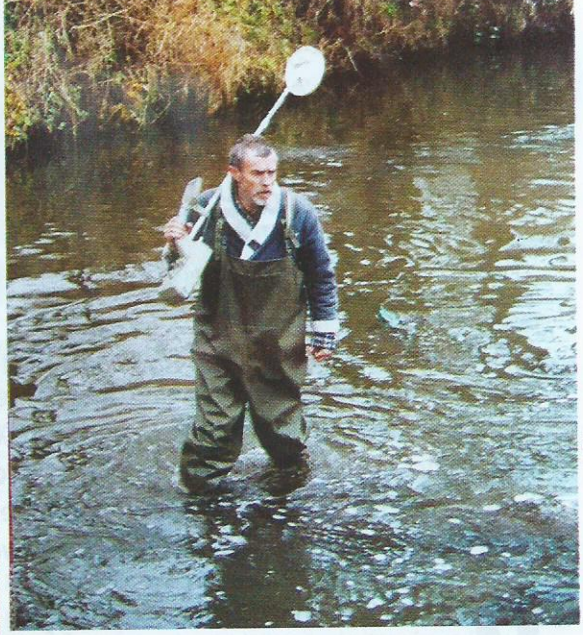

Brodzący w płytkiej wodzie poszukiwacz...

Okoliczności nie sprzyjały, ale i tak miałem szczęście. Na zdjęciach Nysa Kłodzka wydaje się wielką rzeką. Fakt, szeroka jest, ale przy niskich stanach głębokość najczęściej po kostki, najwyżej do kolan. No to poszedłem prawym, czyli tym po stronie zrzutowiska brzegiem, w nadziei, że może coś woda zniosła, że może coś w korycie, może w kamieniach przy brzegu, że może... Pomysł był trafny. Udało się! Jakieś 200 metrów poniżej, gdzie mniej było świeżej kamiennej obsypki, na styku wody i dawnych rzecznych kamieni zaczęły się pojawiać kawałki metalu. Znalazłem trzon zamka do MG, ten taki „motylek" co jest z tyłu G43, całą nasadkę na lufę do Mausera do strzelania garłaczami, łapkę od dwójnogu do MG i kawałek czegoś od starej broni, nie pamiętam co, ale że w magazynie były też starocie, potwierdził spotkany koło mostu kolejowego taki sam jak ja, brodzący w płytkiej wodzie poszukiwacz. Mówił, że były różne różności, i że właśnie tak szukali, w kamieniach na styku z wodą kiedy jeszcze skarpy nie były obsypane kamieniem i tłuczniem. – *Sporo było...* i westchnął. – *Najfajniejsze to dwa bagnety, nie wiem od czego, ale na mosiądzu była bita data tysiąc osiemset coś. Sprzedałem.* Nie chwaliłem mu się, że wcześniej, może 100 metrów w górę rzeki ja trafiłem swój najlepszy fant: pistolet maszynowy System Schmeisser 28 II o niskim numerze. Tą broń, którą najpierw miała Reichswehra, potem różne formacje pomocnicze i walczące w wojnie domowej w Hiszpanii, a przed wojną jeszcze policja, był Schmeisser 28 II. Podobno jeszcze podczas wojny wyprodukowano około 10 tysięcy sztuk. Niemniej, w porównaniu z MP 40 albo Sturmgewehrem jest to znalezisko rzadkie. Ciekawostką był dobry stan żelastwa z Nysy. To przecież czysta, dobrze natleniona woda, więc powinno rdzewieć, a wcale bardzo nie pordzewiało. Widocznie siarka, ścieki i wszystkie przemysłowo-gospodarcze świństwa są jednak gorsze. Ten Schmeisser leżał chyba ze dwa lata zanim się za niego wziąłem, bo ta broń to nie jest cienka blaszka, jak późniejsze konstrukcje. To gruba blacha i frezowane części. Wszystko sztywne i twarde jak cholera. Największym problemem było wyjęcie krzywej lufy z krzywej osłony. Ale co tam. Byle by złomy były, to damy radę. Nie śmiejcie się, naprawdę się namęczyłem i jestem jakby troszkę dumny z tej roboty. Z kolbą od pepeszy (fot. 4) prezentuje się całkiem nieźle mimo braku różnych części. Podziwiajcie! Tylko nie mówcie, że *„takie coś to ja w pół godziny"*.

Tel. 71 354 54 40

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

REKLAMA

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji (cz. 4)

Tragiczne dzieje zamku Podskale

TEKST: SZYMON WRZESIŃSKI, WSPÓŁPRACA: EUGENIUSZ BRANIEWSKI, MAŁGORZATA STANKIEWICZ

Kilka kilometrów od Gryfowa Śląskiego znajdują się skromne, acz malownicze ruiny. To pozostałość średniowiecznego zamku, którego właścicielem w pierwszej połowie XIX wieku był Iwan Dybicz, zdobywca Adrianopola. W historii Polski pozostał jednak bardziej rozpoznawalny jako rosyjski feldmarszałek, który dążył do stłumienia Powstania Listopadowego.

Początki kamiennej warowni, znajdującej się obecnie na krańcu wsi Rząsiny (niem. Welkersdorf), do dzisiaj nie zostały w pełni zbadane. Mimo iż pierwsze źródła pisane pochodzą z drugiej połowy XIV stulecia, tradycję wzniesienia zamku przesuwa się błędnie do pierwszej połowy XIII wieku. Miał go ufundować książę Henryk Brodaty w 1207 r., co jednak wydaje się mało prawdopodobne. Zwłaszcza, że w owym okresie dla ochrony odnogi szlaku handlowego, niecałe 2 km dalej funkcjonowała kamienno-drewniana warownia zwana Pirszyn (niem. Poitzenburg)[1]. Zamek ów miał zostać zdobyty i spalony podczas najazdu husytów w latach 20. XV stulecia. Prawdopodobnie Pirszyn był wówczas podupadającą warownią, skoro po jego zniszczeniu nie podjęto decyzji o odbudowie lecz wzniesieniu, nieopodal, murowanego zamku. Położone na szczycie skały (dochodzące miejscami do 25 m wysokości), skutecznie utrudniały potencjalne zdobycie nowej warowni, a ponadto rozciągał się stąd widok na znacznie większą okolicę.

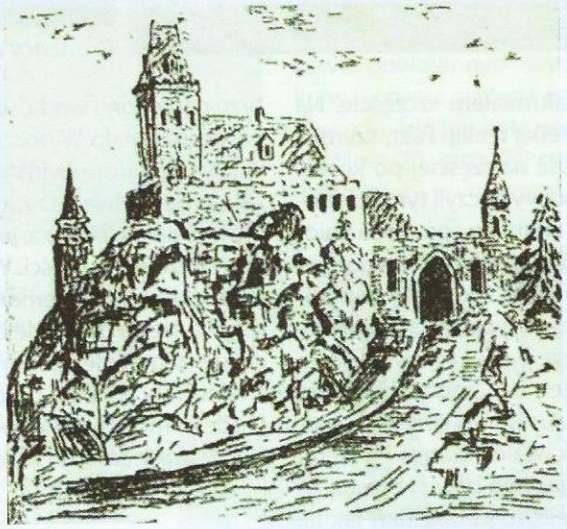

Hipotetyczny wygląd zamku Podskale przed jego zniszczeniem w 1479 r. Źródło: folder „700 lat Rząsin".

Pierwsza pisemna wiadomość o zapisie okolicznych dóbr dla nowej rodziny, pochodzi z księgi ziemskiej księstwa świdnicko-jaworskiego: *„Anna i Katherina* [von Zedlitz] *przekazały w roku 1367 swoim małżonkom Reinschowi i Nikolowi von Talkenberg wszystkie majątki, jakie posiadały w Rząsinach"*. Książę Bolko potwierdził tę darowiznę z zastrzeżeniem, że obie panie nie będą dokonywać zapisów na rzecz spadkobierców z rodu, z którego pochodzą. Jako rekompensatę bracia przekazali swoim małżonkom dożywotnią rentę z folwarków w Radostowie i Uniegoszczy. Nie wiadomo czy właśnie wtedy doszło do wybudowania niewielkiej warowni na skałach, ponieważ dopiero z 1431 r. pochodzi dokument, w którym Bernhard von Talkenberg mienił się jako osiadły na „Hohenstein". Z czasem, z połączenia nazwy rodu oraz miejsca wniesienia, zamek nazwano „Talkenstein". Po śmierci Bernharda von Talkenberga (ok. 1469 r.) folwark w Rząsinach i zamek Podskale przeszły w ręce synów: Bernharda i Christopha. W 1470 r. ten ostatni, w okresie walki o dominację nad Śląskiem, pod przysięgą zobowiązany został do zwerbowania półtysięcznego oddziału ciężkozbrojnej jazdy dla króla Macieja Korwina (dowódcą śląskiej konnicy został Gregor Unwirde). Nie wiadomo, po której ze stron stanął w kolejnych latach v. Talkenberg z Podskala. Jesienią 1474 r. na Śląsk skierowała się kilkudziesięciotysięczna armia polsko-czeska, która mimo wielu sukcesów i przewagi liczebnej nad Węgrami, nie potrafiła zdobyć wielu dobrze ufortyfikowanych miast. W związku z tym od 15 listopada pod Wrocławiem rozpoczęto pertraktacje z udziałem trzech mo-

Wieś Rząsiny i przysiółek Podskale na mapie z pocz. XX wieku. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

narchów: króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, króla czeskiego Władysława Jagiellończyka i króla węgierskiego Macieja Korwina. Ostatecznie, 8 grudnia zapadła decyzja o zawieszeniu broni. Ponadto ustalono, że do czasu kolejnych rozstrzygnięć, Czechy i hrabstwo kłodzkie przypadną Władysławowi Jagiellończykowi, zaś Śląsk, Morawy i Łużyce, Maciejowi Korwinowi. Jedną z podnoszonych wówczas kwestii, było rozwiązanie problemu 15 śląskich rycerzy, którzy dotąd trwali przy Jagiellończykach. Prawdopodobnie jednym z nich był Christoph von Talkenberg. Przybyłym tu feudałom dano szansę przeniesienia się do przeciwnego stronnictwa, dzięki czemu nie musieliby obawiać się zemsty ze strony węgierskiego monarchy. Pnący się po szczeblach kariery politycznej właściciel Rząsin i Podskala w 1477 r. pośredniczył w pertraktacjach pokojowych między królem Władysławem Jagiellończykiem, a przedstawicielami księstwa świdnicko-jaworskiego oraz uczestniczył we wrześniu, jako poseł stanów śląskich, w zawarciu rozejmu w Braunau. Za swe zasługi, jeszcze w tym samym roku, otrzymał stanowisko starosty Głogowa. Niestety, w kolejnych latach doszło tutaj do wojny o sukcesję spowodowaną tragiczną śmiercią księcia głogowskiego Henryka XI (1476 r.). Po dwuletnich zmaganiach między obozem Hohenzollernów brandenburskich, a krewnym zmarłego Janem II Szalonym, wspomaganym przez króla Macieja Korwina, zawarto rozejm.

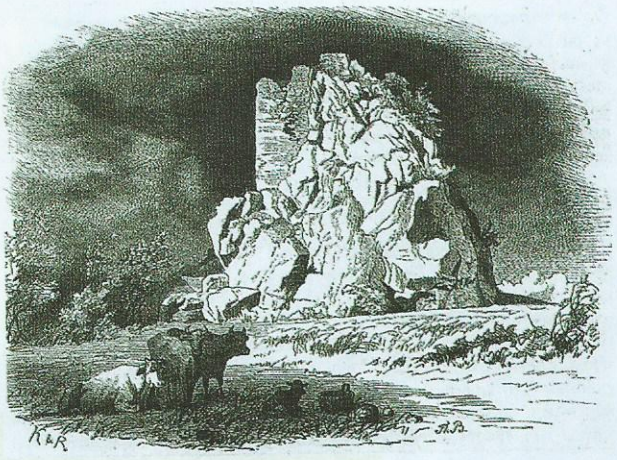

Ruiny zamku Podskale w latach 80. XIX wieku...

... i fragment jego ruin w roku 1906. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

Tymczasem Bernhard von Talkenberg z Podskala, korzystając z zawirowań polityczno-militarnych oraz rosnącego znaczenia swego brata Christopha, postanowił zająć się rozbójnictwem. Bazą wypadową stał się wówczas zamek Podskale, zaś łupionym obszarem okolice Kwisy i Bobru. Bandę Talkenberga stanowili zarówno feudałowie, jak i nisko urodzeni. Jedną z pierwszych akcji Bernhard przeprowadzić miał z zaprzyjaźnionym rycerzem z zamku Lenno nad Wleniem oraz z trzema braćmi von Ryme z Soboty. W 1476 r., po licznych pismach wysyłanych do stolicy Dolnego Śląska z poszkodowanych miast, Rada Miejska Wrocławia przygotowała specjalną skargę, którą złożono na dworze praskim. Wspomniano tam o rozbójniczych siedliskach na zamkach Książ, Wleń i Podskale. Po wielu miesiącach zwłoki, Maciej Korwin z końcem kwietnia 1479 r. udzielił zgody na zburzenie zamku v. Talkenbergów. Kilka tygodni później, a mianowicie 26 maja namiestnik królewski Georg von Stein przygotował dla Nicolausa Parchentera na zamku we Wrocławiu specjalne pismo, zawierające szczegółowe instrukcje dotyczące zdobycia siedziby raubritterów: *„Polecamy Wam, abyście ze Lwówka i Jeleniej Góry wszystkim murarzom i cieślom rozkazali, by poczynili oni* [w murach zamku] *całe wyrwy na dwa łokcie w górę, a do tego celu drewno spożytkowali z wielkich jodeł i świerków, które wsadzając w szczeliny* [muru] *mocno rozruszali w ostępach na jedną dłoń szeroko od drugiej szczeliny (...).* [Następnie macie im] *kazać także dwa naroża zruszyć oraz otwór z obu stron na dwa łokcie wykuć (...). Szarpać mają drewnem, a* [potem] *na zewnątrz i od środka nasypać prochu i podpalić to, co spowoduje rychło, że stojąc on na skale zapewne się zawali. Powiedźcie* [im] *(...), że przez to przysłużą się oni do ostatecznego zniszczenia siedziby Talkenbergów"*. Dalej w liście nakazano, by sprowadzić z Kowar 20 górników z „nieodzownym sprzętem". Utworzone oddziały miały ruszyć pod zamek rycerski, gdzie czekać ich będą dalsze instrukcje: *„Podkopcie mury, strzegąc się* [przed załogą zamku] *silnym drewnem* [tj. osłoną z pni], *po czym podpalcie podpory zamykające i po ich zwęgleniu rozpocznijcie atak"*. Ponieważ siedziba raubrittera stała na litej skale, w rzeczywistości zadanie przyjęło nieco inną formę. Podchodząc pod mury zamku, murarze i kamieniarze osłonięci przed ostrzałem specjalną, drewnianą osłoną, wykonali szereg otworów w dolnej partii murów. Dalej puszkarze, przybyli tu z Wrocławia pod dowództwem Jana Zeleni, wraz z kowarskimi górnikami podłożyli ładunki i wysadzili część obwarowań. Dopiero wówczas przeprowadzono atak, zakończony pełnym sukcesem. Dokładna data zburzenia zamku nie jest znana, choć zapewne wydarzenia miały miejsce z początkiem czerwca 1479 roku. Za udział w walce, 10 czerwca (lipca?), grunty pod zamkiem król Maciej Korwin podarował mieszkańcom „lwiego grodu" uroczystym dekretem: *„Jako, iż Bernhard v. Talkenberg z Talkenstein pod naszym miastem Lwówek, w naszych obu księstwach Świdnicy i Jawora, a także w lwóweckim dystrykcie położonym, znowu Nam, a także całemu Krajowi do szkody się przyczynił (...), a ze swymi kompanami i pomocnikami rabował, podpalał i morderstwem się trudnił, także przeciw Nam nieuczciwe zachowywał się (...) więc tego pobitego, zburzonego i zniszczonego* [majątku], *My tereny zamku z jego przynależnościami, lasami i folwarkami wraz z wioską Rząsiny miastu Lwówek po wsze czasy do dziedziczenia i na wieczność ze swej szczególnej łaski daru-*

Panorama z ruin zamku Podskale w 1907 r. Źródło: www.dolnoslaskie.fotopolska.eu

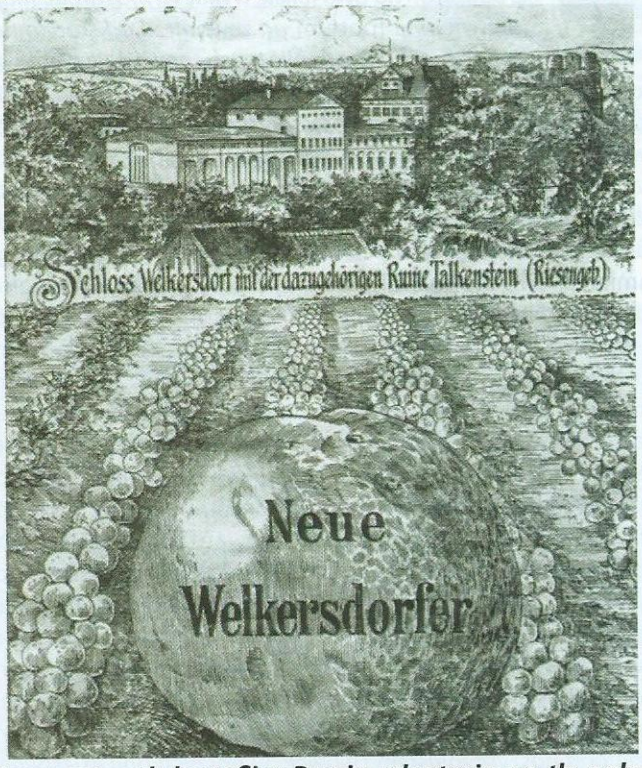

Nowy gatunek kartofli z Rząsin, plantacja na tle pałacu z folwarkiem oraz ruin zamku. Pocztówka ze zb. Sz. Wrzesińskiego.

jemy". Zadziwia brak wzmianki lub innego dokumentu o losie Bernharda. Wedle późniejszych przekazów miał zostać powieszony, a po dwóch tygodniach kat odciął ciało od stryczka zostawiając je na pastwę dzikich zwierząt. Tyle mówi legenda, jednak prawdopodobnie rycerz przeżył. W innym razie wiadomość o straceniu raubrittera byłaby dumnie rozpowszechniana. Niewykluczone, iż Bernhard zbiegł do innych dóbr rodowych położonych w Rakowicach nad Bobrem, bądź przeniósł się do nowego zamku swego brata znajdującego się w Dziewinie (niem. Dieban, cz. Devin)[2].

Brat raubrittera z Podskala nie zainterweniował, ponieważ był zajęty własną karierą oraz korzystał z przywileju zarządzania okazałym zamkiem położonym pod Ścinawą. Ponadto w tym ostatnim regionie nadal trwały działania polityczno-militarne o posiadanie księstw śląskich. Pozornie problem rozwiązało zawarcie pokoju w 1479 r. w Ołomuńcu, między Władysławem Jagiellończykiem i Maciejem Korwinem, gdzie potwierdzono warunki wcześniejszego zawieszenia broni. Ponadto stwierdzono, że Śląsk nie stanowi integralnej części „korony węgierskiej", lecz pozostanie pod władzą króla węgierskiego aż do jego śmierci. Problem pojawił się jednak wraz z interwencją trzeciego gracza – Brandenburgii. Po kilkuletnich walkach, 16 IX 1482 r. zawarto kolejny rozejm, pozornie kończący dalszy etap „wojny o sukcesję głogowską". Pozornie, bowiem sześć lat później (1488 r.) wznowiono działania militarne, w czasie których Christoph von Talkenberg dowodził kilkusetosobowym oddziałem jazdy. Ostatecznie, w trakcie potyczki pod Bolesławcem dostał się do niewoli. Definitywnie wojska Macieja Korwina siłą usunęły księcia Jana II z przyznanych mu wcześniej ziem, a księstwo głogowskie zostało przyłączone do „korony węgierskiej". Po powrocie na stanowisko starosty o v. Talkenbergu słyszymy w 1490 r., kiedy przyjmował w imieniu króla hołd miast księstwa głogowskiego. Ponieważ w tym samym roku zmarł Maciej Korwin i większość oddanych mu feudałów utraciła swe przywileje, dawny dziedzic Rząsin i Podskala postanowił powrócić w rodzinne strony i siłą

odebrać cały majątek. Jego powrót natychmiast przyczynił się do ostrego sporu z mieszczanami lwóweckimi, którzy zarządzali wspomnianymi dobrami. 15 II 1490 r. we Wrocławiu starosta księstwa Georg von Stein, pod wpływem perswazji Christopha von Talkenberga, napisał do Rady lwóweckiej, by ta, w myśl królewskiego rozkazu, zwróciła wieś Rząsiny rodowi v. Talkenberg. Rajcy oczywiście nie chcieli na to przystać, dlatego w lipcu 1491 r. wystosowali do króla czeskiego Władysława Jagiellończyka pismo z prośbą o pomoc w sporze z Christophem. Mimo, iż v. Talkenbergowi nakazano zwrócić Rząsiny, ten przygotował dodatkowe dokumenty i powołał nowych świadków. Wreszcie, po zawarciu 24 listopada wstępnego układu w Gryfowie w sprawie zwrotu wsi, 17 grudnia w Świdnicy starosta księstwa świdnicko-jaworskiego zatwierdził układ pojednawczy między rodziną von Talkenberg a rajcami. Christoph zdecydował, że zamiast odbudowy zamku Podskale przystąpi do wzniesienia dworu w Rząsinach, w którym przez pewien czas mieszkał z synem Ramfoldem oraz trzema synami swego starszego brata Bernharda, zmarłego w 1495 r. Christoph von Talkenberg pogodzony z nadbobrzańskim miastem zaczął wspierać darowiznami lwówecki kościół zakonny (ob. św. Franciszka z Asyżu). W zamian za wieloletnią charytatywną pomoc z wielką czcią i godnością pochowano go w tejże świątyni w 1525 roku. W późniejszych czasach tumba grobowa została uszkodzona. Mimo to zdecydowano się zachować piaskowcową płytę nagrobną z wizerunkiem rycerza. W drugiej połowie XIX w. ozdobny nagrobek został umieszczony w murze cmentarnym. Po kilkudziesięciu latach, na początku kolejnego stulecia, płytę umieszczono w północnej ścianie sieni ratusza obok klatki schodowej, gdzie spoczywa do dzisiaj. Postać zmarłego Christopha, wykonana przez nieznanego rzeźbiarza, uwieczniona została w pełnej zbroi płytowej (naramienniki, napierśnik, nakolanniki). Głowa w hełmie z uniesioną przyłbicą spoczywa na płaskiej poduszce z krótkimi narożnymi frędzlami. Uważny obserwator dostrzeże twarz ściągniętą, o wyrazistych rysach. W prawej ręce zmarłego jest klejnot herbu von Talkenberg, którego tarcza znajduje się poniżej, obok prawej nogi. Lewa ręka, mocno zgięta, trzyma miecz zawieszony u boku, a pod stopami widać skulonego psa z drobiazgowo oddaną fakturą sierści.

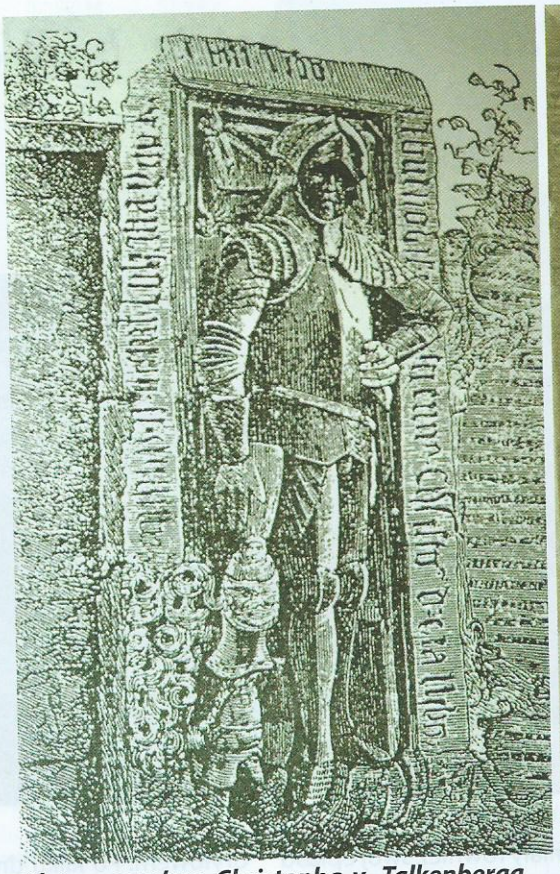

Płyta nagrobna Christopha v. Talkenberga z Podskala w murze lwóweckiego cmentarza pod koniec XIX w. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

Ta sama płyta nagrobna wmurowana obecnie w ścianę lwóweckiego ratusza. Fot. Sz. Wrzesiński.

Wracając do późniejszych losów zniszczonego zamku Podskale i przylegającej doń wsi Rząsiny wypada wspomnieć, iż na przełomie XVI i XVII stulecia w okolicy na pewien czas zamieszkał ród v. Hohberg, którego przedstawiciel w 1616 r. odsprzedał wieś wraz z ruinami zamku, Melchiorowi von Lest. Nowemu właścicielowi krótko dane było cieszyć się swym majątkiem, zmarł w 1620 roku. Zostawił po sobie córkę Elizabeth i syna Melchiora. Ten ostatni został postrzelony na drodze między Podskalem a Gryfowem w schyłkowym okresie wojny 30-letniej. Najprawdopodobniej zranili go szwedzcy żołnierze, którzy w tym czasie dokonywali uciążliwych kwaterunków i przemarszów po obu stronach Kwisy. Koniec 1644 r. przyniósł również opuszczenie Lwówka przez szwedzką załogę, która zapewne skierowała się w kierunku Gryfowa i dalej na Górne Łużyce. Po przewiezieniu v. Lesta do rodzinnego majątku, 28-letni dziedzic zmarł tam 28 I 1645 roku.

Kolejnym właścicielem okolicznych dóbr był Heinrich von Poser, który sprawował funkcję głównego poborcy podatkowego w księstwie świdnicko-jaworskim. Po śmierci Heinricha (1661 r.), wieś objął w posiadanie jego syn, także Heinrich, który przez długie lata pełnił podobną funkcję. Rząsiny i Podskale długo nie pozostały w rękach rodziny v. Poser, skoro już w 1676 r. dziedzicami byli przedstawiciele rodu v. Schweidnitz. Z nielicznie zachowanych przekazów nader interesujące są dokumenty z lat 1718-1720. Na ich podstawie wywnioskować można, że w składzie tzw. „Sądu Dwunastu" księstwa świdnicko-jaworskiego zasiadał Sebastian Heinrich von Schweidnitz z Welkersdorf i Talkenstein.

W toku kolejnych dekad wieś należała do kilku różnych właścicieli. Najsłynniejszym z nich był Hans Karl von Diebitsch-Sabalkansky, zwany przez Polaków Iwanem Dybiczem Zabałkańskim. Przyszły pogromca listopadowych powstańców przyszedł na świat w Wielkiej Lipie, położonej 30 km od Wrocławia. Młody v. Diebitsch, po ukończeniu szkoły kadetów w Berlinie i otrzymaniu zgody władz pruskich, wstąpił do gwardii rosyjskiej. Wiadomo, że w 1813 r. brał udział w koalicji

Widok ruin zamku Podskale na pocz. XX wieku. Zb. Sz. Wrzesińskiego.

antynapoleońskiej, której działania miały również swój epizod w okolicach Rząsin i ruin zamku Podskale. Otóż latem pod ruinami zamku założono tymczasowy obóz wojsk francuskich, który na przełomie czerwca i lipca został przeniesiony do Mirska. Kolejny raz założono obóz między Podskalem a Rząsinami miesiąc później. Decyzja o jego likwidacji zapadła 6 sierpnia, kiedy generałowie Freissinet i Gruner rozkazali zwinąć obozowiska znajdujące się nieopodal drogi do Gryfowa. Po dotarciu do miasta część żołnierzy rozpoczęła rekwizycje w kolejnych domach. Zdenerwowany komendant miasta Girard nakazał aresztować oficerów krnąbrnego pułku. Rankiem następnego dnia oddziały francuskie wymaszerowały z Gryfowa w kierunku Bobru. Z kolei 17 sierpnia w cieniu skał i murów zamczyska w Podskalu odpoczywali Włosi, odpierający wcześniej atak Kozaków pod Gryfowem. Po kilku dniach między ruinami a Rząsinami usadowiło się część formacji 31. Dywizji, którym dostarczano żywność i gorzałkę z Mirska. Ostatni epizod związany z kampanią napoleońską miał miejsce 29 sierpnia, kiedy w pobliskim lesie zatrzymali się generał Ledru z adiutantami, oficerami oraz dowódcą I Brygady generałem Freissinet. Dalszą podróż w kierunku Bobru wstrzymały obfite opady i zabłocone drogi, bardzo trudne do pokonania przez zwarte formacje. Nazajutrz pod Gryfowem pojawiło się kilkuset Kozaków oraz rosyjscy dragoni, stanowiący awangardę korpusu Saint-Priesta. Po nadejściu nocy w okolicy można było porównać liczbę wojsk po ilości ognisk oddziałów wartowniczych. O ile rosyjskie znajdowały się na wzniesieniach pod Bramą Jeleniogórską, to francuskie dało się dostrzec na wzgórzach Ubocza i Podskala. Po zakończeniu walk o Gryfów, wojska napoleońskie pokonały Kwisę i skierowały

Fragmenty murów zamku Podskale, stan z 2005 r. Fot. Sz. Wrzesiński.

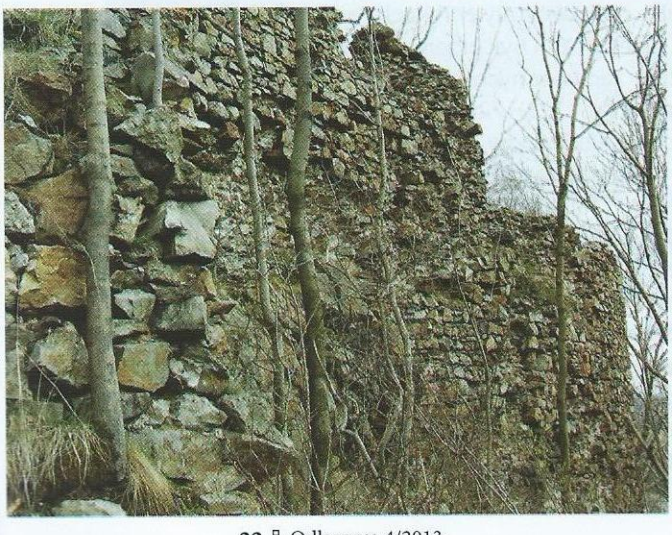

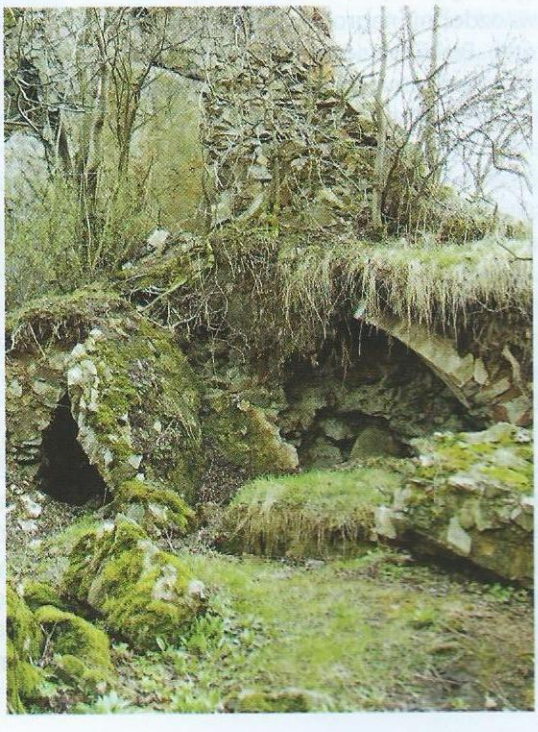

Obecnie zachowały się fragmenty tylko jednego przesklepionego pomieszczenia na zamku Podskale. Fot. Sz. Wrzesiński.

Przednia i zarazem najbardziej wysunięta część ruin zamku Podskale, stan X 2010 r. Fot. Sz. Wrzesiński.

się w okolice Leśnej i Lubania. W ślad za nimi ruszyły wojska koalicji. Niewykluczone, iż właśnie podczas wojen napoleońskich v. Diebitsch pojawił się w okolicy Gryfowa, skoro brał udział m.in. w bitwach pod Lutzen (2 maja), Budziszynem (20-21 maja) i Dreznem (26-27 sierpnia). Pierwsza pewna informacja o posiadaniu wsi Rząsiny i jej przysiółka Podskale, pochodzi dopiero z 1818 roku. Wspomniano wówczas, że v. Diebitsch zainterweniował wkrótce po tym, jak doniesiono mu o długotrwałej rozbiórce warowni Talkenstein przez okolicznych mieszkańców. Widzieli oni bowiem w kamieniu z zamku doskonały materiał na… wyrównanie i utwardzenie tutejszych dróg! Reakcja nowego właściciela przyczyniła się do ocalenia jedynie skromnych pozostałości średniowiecznego zamku. To, co przetrwało miało odtąd stanowić romantyczną ruinę. Zaintrygowany dziejami tego miejsca nakazał odnowić stary zwyczaj, by każdego ranka o godzinie 9. jeden raz uderzono w dzwon. Była to stara tradycja, upamiętniająca szturm na siedzibę raubritterów. Kiedy bowiem podkładano proch pod mury zamku Podskale, na wieży w Rząsinach bito w dzwony.

Rosyjski oficer o śląskich korzeniach traktował Rząsiny i Podskale jako miejsce tymczasowego odpoczynku, bowiem nadal służył w armii carskiej. Po śmierci bliskiego mu Aleksandra I, zaskarbił sobie łaski kolejnego cara Mikołaja I doprowadzając do aresztowań wielu dekabrystów. Jego najwybitniejszym okresem było pokonanie Turków na Bałkanach w 1829 r. oraz zmuszenie sułtana do zawarcia pokoju (14 września). Za co otrzymał stopień feldmarszałka i tytuł hrabiego wraz z przydomkiem „Zabałkański". Nie powinno zatem dziwić, że uznano go na wzór godny naśladowania, a nawet bohatera dwóch narodów, pruskiego i rosyjskiego. Po wyczerpującej kampanii v. Diebitsch postanowił odpocząć i nabrać nowych sił w swym dolnośląskich majątku. O jego przyjeździe do Podskala i Rząsin, pisała nawet „Gazeta Warszawska" (artykuł był przedrukiem tekstu z berlińskiego dziennika) w lipcowym wydaniu z 1830 roku: *„Dnia 5 bieżącego miesiąca spełniły się życzenia tutejszej gminy powitania uwielbianego bohatera czasu Hrabiego Dybicza Zabałkańskiego. Przybył on (…) przez Löwenberg z Lüben* [czytaj: Lwówek Śl. oraz Lubin]. *Ile dozwalała możność gminy, uczyniono wszystko, aby bohaterowi dać przynajmniej słaby dowód naszego szacunku. Część mieszkańców wyjechała konno naprzeciw niego (…), a Feldmarszałek uprzejmie dziękując dozwolił orszakowi temu połączyć się z powozem. Na granicy pola wystawiono bramę triumfalną. Tam zgromadziły się tłumy ludu z Welkersdorf* [czytaj: Rząsin] *i z okolicy, tudzież nauczyciele, młodzież szkolna i chór muzyki. Skoro Feldmarszałek postrzegł kapłana miejscowego przy bramie triumfalnej, wysiadł z powozu, i pieszo, uprzejmie witając, szedł wśród zgromadzonych do mówcy wyrażającego uczucia szacunku dla dostojnego gościa, wielbiąc Wszechmogącego, który wielkomyślne zamiary bohatera, dla błogosławieństwa milionów ludzi, pomyślnym skutkiem uwieńczył. Przyjąwszy Feldmarszałek z widocznym wzruszeniem to proste powitanie gminy Welkersdorf, oświadczył, iż mniema tylko widzieć dobrych Ślązaków, i że go cieszy, iż także jest Ślązakiem. Przy okrzykach tłumu wsiadł na powrót do powozu, i przejechał powoli przez wieś pod kilku bramami triumfalnymi. W pałacu przy bardzo gustownej bramie triumfalnej, stali najbliżsi krewni Feldmarszałka, tudzież 45 młodych dziewcząt, oznaczających lat liczbę jego. Rozrzewniające było powitanie rodzeństwa, i radość byłaby zupełna, gdyby Hrabia oraz rodzina jego, nie byli ponieśli bolesnej straty przez śmierć jego małżonki. Po przywitaniu się z rodzeństwem i innymi bliskimi krewnymi, jedna z dziewcząt podała Hrabiemu wieniec wawrzynowy i* [zarecytowała] *wiersze. Z jawnym rozczuleniem przyjął to wszystko Feldmarszałek; potem dwie jego siostry zaprowadziły go do pokojów. Wkrótce jednak wyszedł na dziedziniec pałacowy, mówił z kilkoma wojskowymi i innymi mieszkańcami gminy, a na koniec przy powszechnym okrzyku* [zgromadzonych tutaj] *radości powrócił do pałacu"*. Po zakończeniu urlopu v. Diebitsch udał się z tajną misją do Berlina celem nakłonienia króla pruskiego do wojny z Francją. Ponieważ w międzyczasie wybuchło w Królestwie Polskim Powstanie Listopadowe, feldmarszałek otrzymał roz-

REKLAMA

Ruiny zamku Podskale w 2005 r. Fot. Sz. Wrzesiński.

kaz natychmiastowego powrotu do armii, ponieważ mianowano go głównodowodzącym. Choć von Diebitsch obiecał szybko stłumić powstanie, walki ciągnęły się przez kolejne miesiące. Kilkakrotnie jego wojska, mimo znaczącej przewagi, nie zdołały definitywnie złamać ducha Polaków. Dopiero pod Ostrołęką (26 V 1831 r.) Rosjanie odnieśli zwycięstwo. Wkrótce po tej batalii głównodowodzący v. Diebitsch zachorował na cholerę. Zmarł 10 czerwca we wsi Kleszczewo pod Pułtuskiem. Mimo, iż wyraźnie zaznaczył gdzie chce być pochowany, nie uszanowano jego woli. Zamiast w Rząsinach, znajdujących się poza granicami Rosji, bohatera narodowego złożono do tymczasowego grobu w Dłutowie. Miesiąc później cynową trumnę ze zwłokami feldmarszałka przewieziono do Petersburga i tam pochowano go ze wszelkimi honorami 14 września na cmentarzu Wołkowskim, obok grobów ojca i żony. Po śmierci v. Diebitscha dobra w Rząsinach przez kilka lat należały do jego siostry.

W toku kolejnych dekad majątek miał rozmaitych właścicieli, z których część traktowała Rząsiny jako drugą rezydencję – miejsce wypoczynku, z dala od zgiełku wielkich miast. Bywało, że mieszkali tu bardzo kreatywni dziedzice. Jednym z nich był porucznik Hermann Brause, który nabył okoliczne dobra w 1874 roku. Spory rozgłos przyniosła mu w kraju… wyhodowana we wsi odmiana ziemniaków, którą nazwał „Welkersdorfer". Po śmierci porucznika przez pewien czas majątek dzierżył jego syn Herman. Po sprzedaży majątku w Rząsinach i Podskalu rodzinie von Prittwitz (1905 r.), nowi właściciele korzystali z uroków tego miejsca aż do przełomu lat 1943 i 1944. Wówczas to w tutejszym dominium ulokowano, przeniesiony z Berlina, tajny ośrodek Luftwaffe prowadzony przez prof. Hubertusa Strugholda (opisany w „Odkrywcy", nr 11 i 12 z 2011 r.).

Zimą przednia część ruin zamku Podskale tworzy niezwykły obraz. Fot. Sz. Wrzesiński.

Warto nadmienić, iż latem 1938 r. w rząsińskim pałacu kwaterowało dowództwo jednostek Wehrmachtu uczestniczących w manewrach wojskowych w okolicznych lasach. Oddziały te jesienią wkroczyły do Czech. Po wybuchu II wojny większość tutejszych mężczyzn powołano do wojska, zwłaszcza w latach 1942-1943. Ponieważ we wsi pozostawiono głównie starców i młodzież, wkrótce dostarczono robotników przymusowych i cudzoziemców. W ostatnich tygodniach wojny starosta powiatu nakazał opuszczenie wsi przez rodowitych mieszkańców. W Rząsinach i Podskalu pozostały jedynie cztery rodziny i oddział mężczyzn, którzy mieli posterunek na Górze Wiatracznej. Zdaniem niemieckich autorów (H. Gerber, W. Krause, R. Seidel, „Chronik unserer alten Heimat Welkersdorf"), byli to „dyżurni" z Flugmelde, czyli służby obserwującej loty samolotów, a dokładniej ruchy lotnictwa nieprzyjaciela. Niewykluczone, że dla ochrony dwóch tajnych ośrodków Luftwaffe, przez pewien czas wzmocniono w okolicy niemiecką obronę przeciwlotniczą. Podobno nawet miała ona zestrzelić jeden z sowieckich samolotów, który rozbił się w przysiółku wsi, tuż pod ruinami zamku Podskale. Być może w przyszłości wrak zostanie odnaleziony lub uda się dotrzeć do osób, które widziały zniszczony samolot po wojnie i znają jego późniejsze losy…

Wykorzystane cytaty pochodzą z „Gazety Warszawskiej" z 23 VII 1830 r. oraz z pozycji B. G. Sutoriusa, „Die Geschichte von Löwenberg aus Urkunden und Handschriften gesammlet", Bunzlau 1784.

Militarne epizody dolnośląskich rezydencji: cz. 1 – „Odkrywca" nr 1/2013; cz. 2 – „Odkrywca" nr 2/2013; cz. 3 – „Odkrywca" nr 3/2013.

Przypisy:

[1] Obecnie w miejscu zniszczonego tzw. zamku przejściowego znajduje się niewielkie wzniesienie z widocznym zarysem dawnych wałów. Całość otoczona jest lasem przylegającym do wsi Gradówek.

[2] W powojennej literaturze błędnie uznano, że Christoph v. Talkenberg otrzymał zamek Devin w Czechach, co wynikało z podobnego nazewnictwa.

Szymon Wrzesiński

Historyk i publicysta. Napisał m.in.: „Hitlerjugend na Śląsku", „Tajne badania Luftwaffe na Dolnym Śląsku", „Podziemne tajemnice III Rzeszy" oraz „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki. Tajne fabryki, ośrodki szkoleniowe i eksterminacja w okresie III Rzeszy". Obecnie w przygotowaniu do druku jego najnowsza książka, pt. „Napoleon nad Bobrem i Kwisą. Szlakiem bitew, skarbów i zabytków wojny 1813 roku".

Tragedia „Stuttgartu”

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

Storpedowany „Wilhelm Gustloff” tonął w ciemnościach mroźnej, styczniowej nocy, a jego pasażerowie masowo umierali w lodowatych wodach Bałtyku. Tragedia trafionego bombą „Stuttgartu” rozgrywała się na oczach setek ludzi podczas ciepłego, październikowego dnia w porcie gdyńskim. Zatopienie „Gustloffa” wielu uważa za zbrodnię wojenną, chociaż zgodnie z prawem międzynarodowym nie była to zbrodnia. Z tego samego punktu widzenia zbombardowanie „Stuttgartu” było zbrodnią wojenną, chociaż nigdy za taką nie zostało oficjalnie uznane.

Korzystając z ciepłej, niemal letniej pogody tamtego październikowego dnia, grupa gdyńskich nastolatków bawiła się na wzgórzach Oksywia, które Niemcy przemianowali na Oxhöft. W pewnej chwili rozległy się dźwięki syren przeciwlotniczych. Alarm! Chłopcy nie szukali schronów. Zwyciężyła ciekawość, a tego, co wtedy widzieli, nie dane im było zobaczyć już nigdy więcej. Ze szczytu oksywskiego wzgórza rozciągała się bowiem panorama na port i Zatokę Gdańską, które nagle – ku ich przerażeniu – zaczęły znikać. Budynki, dźwigi, nabrzeża i cumujące w porcie okręty pochłaniała błyskawicznie rozprzestrzeniająca się sztuczna mgła. Nim zakryła wszystko, na Oksywie spadły pierwsze bomby. Była sobota, 9 października 1943 roku. Okrutny los nie oszczędzi tym dzieciom niczego. Gdy odlecą amerykańskie bombowce, a sztuczna mgła opadnie, zobaczą coś, co przez następne lata śnić im się będzie po nocach.

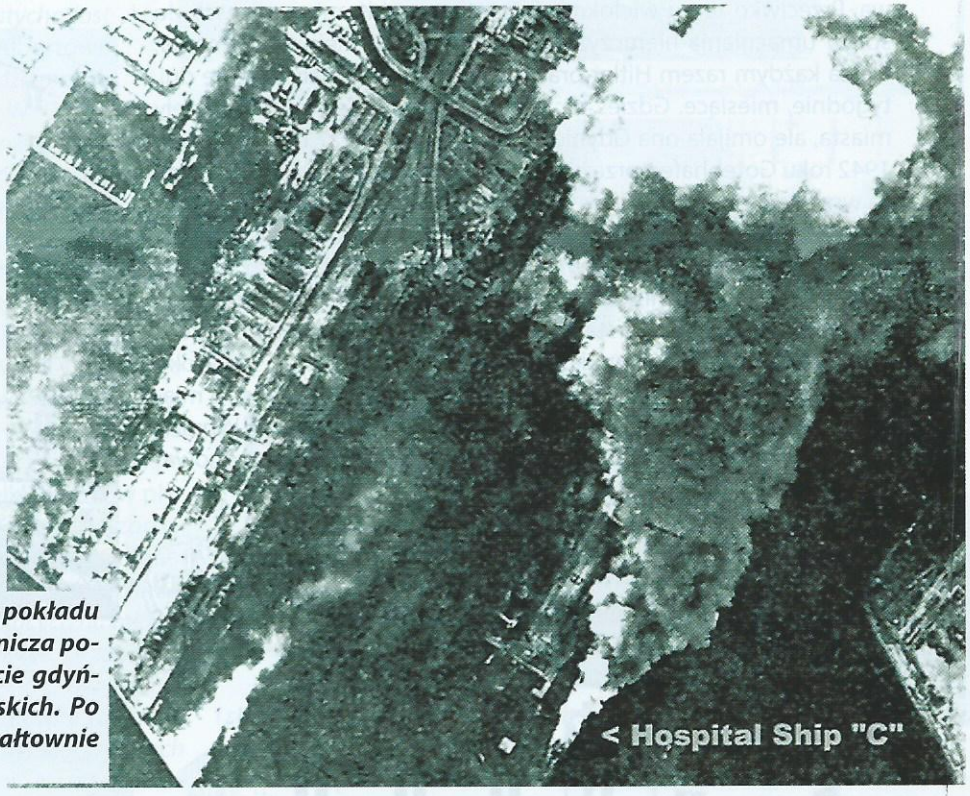

Zdjęcie płonącego „Stuttgartu” wykonane z pokładu amerykańskiego bombowca. Fotografia lotnicza pokazuje fragment bazy Kriegsmarine w porcie gdyńskim tuż po nalocie samolotów amerykańskich. Po prawej stronie, u dołu, widać palący się gwałtownie okręt szpitalny „Stuttgart”.

Inwestycja w trolejbusy

Nie można sobie było pozwolić na żadne ryzyko. Liczyło się przede wszystkim bezpieczeństwo Führera, więc i podjęte środki musiały być nadzwyczajne. Na kilka godzin ze znacznej części Gdyni, którą Niemcy nazywali Gdingen, trzeba było wysiedlić tysiące Polaków, by 21 września 1939 roku na pilnowane przez żołnierzy Wehrmachtu puste ulice miasta mogła ze sporą prędkością wjechać kolumna opancerzonych, trzyosiowych mercedesów, eskortowanych przez lekkie samochody

Amerykańskie zdjęcie wykonane po nalocie na montażownię samolotów Focke-Wulf w Marienburgu 9 X 1943 roku.

pancerne. To Adolf Hitler ze swą świtą przyjechał na inspekcję dopiero co zdobytego przez Niemców miasta. Wojskowi pokazali Führerowi miejsca niedawnych walk, a następnie, w centrum miasta, przed gmachem byłego Komisariatu Rządu RP ogłosił on światu, że od tej pory Gdingen będzie niemieckim Gotenhafen.

Jak w dziesiątkach innych miejscowości byłego województwa pomorskiego, tak i przez Gdynię przetoczyła się fala antypolskich represji: aresztowań, egzekucji i w końcu wysiedleń do Generalnego Gubernatorstwa. Gdy umilkły echa strzałów plutonów egzekucyjnych, a wielu prominentnych Polaków zagoniono do budowy obozu karnego koło rybackiej wioski Stutthof (od 1942 roku obozu koncentracyjnego), kierowana przez gauleitera NSDAP Alberta Forstera administracja Okręgu Rzeszy Danzig-Westpreussen (Gdańsk-Prusy Zachodnie) zaczęła prowadzić dość łagodną politykę narodowościową. Przeciwko temu wielokrotnie protestował Komisarz Rzeszy do spraw umacniania niemczyzny, Reichsführer SS Heinrich Himmler, ale za każdym razem Hitler brał stronę Forstera. Mijały kolejne dni, tygodnie, miesiące. Gdzieś toczyła się wojna, ginęli ludzie, płonęły miasta, ale omijała ona Gdynię. Jedynie w nocy z 27 na 28 sierpnia 1942 roku Gotenhafen przeżyła nalot bombowców RAF. Brytyjczycy za wszelką cenę chcieli dopaść i zatopić nieukończony lotniskowiec „Graf Zeppelin", który od 1940 roku – z przerwą w połowie 1941 – cumował w Gdyni. Nalot nie wyrządził praktycznie żadnych poważniejszych szkód, a lotniskowiec nie został nawet draśnięty. Rządzona przez nadburmistrza Horsta Schlichtinga Gdynia rozwijała się dość dynamicznie, jak na warunki proklamowanej późną zimą 1943 roku wojny totalnej. Rozwijała się stocznia, rozbudowywano port, a miasto zafundowało sobie nowy rodzaj komunikacji miejskiej. Wprawdzie ze względów oszczędnościowych w Gotenhafen zrezygnowano z trakcji tramwajowej, której budowa pochłonęłaby tysiące ton stali na szyny torowisk, znaleziono za to pieniądze na komunikację trolejbusową. Na Adolf Hitler-Strasse (ul. Świętojańska) i ulicach wiodących na główny dworzec kolejowy, i dalej w kierunku Kielau (Chylonii), ustawiono słupy, zawieszono sieć trakcyjną i 18 września 1943 roku pierwszy trolejbus pokonał kilkukilometrową trasę od gmachu obecnego Urzędu Miasta do dworca kolejowego Gdynia-Chylonia.

Bomby na cele militarne

W tym czasie wydany był już wyrok na obiekty wojskowe i przemysłu zbrojeniowego nie tylko w Gotenhafen, ale także w Danzig i niedalekim Marienburgu (Malborku).

... i widok na tę sama ulicę we współczesnej Gdyni.

Przemianowana na Adolf Hitler-Strasse ulica Świętojańska w centrum Gdyni na kolorowym zdjęciu z jesieni 1939 roku ...

Specjaliści z 8. Floty Powietrznej USA studiowali zdjęcia lotnicze tych miast, wybierając cele, które w najbliższych dniach trzeba będzie zniszczyć. W nalocie na północno-wschodnie ziemie ówczesnej Rzeszy, przeprowadzonym wczesnym popołudniem w sobotę 9 października 1943 roku, wzięło udział 378 samolotów amerykańskich, w tym bombowce B-17 i B-24. 163 maszyny zbombardowały cele w Gdańsku i Gdyni, a pozostałe poleciały nad Malbork, gdzie obróciły w perzynę 90 procent tamtejszej montażowni samolotów Focke-Wulf. W tamtą sobotę 8. Flota Powietrzna USA straciła 28 bombowców.

Zniszczenie malborskiego zakładu zbrojeniowego było ewidentnym sukcesem Amerykanów. Naczelny dowódca Luftwaffe, marszałek Rzeszy Hermann Göring, piekli się: *„Dłużej tak być nie może! Należy natychmiast przekazać odpowiednie wytyczne ministrowi* [Albertowi] *Speerowi, żeby rozpoczął budowę sześciu podziemnych fabryk produkujących samoloty myśliwskie"*. W Gdańsku i Gdyni takich sukcesów jak w Malborku nie było, chociaż w strefie portowo-przemysłowej Gotenhafen zniszczono lub poważnie uszkodzono wiele ważnych obiektów – od końcowego odcinka magistrali kolejowej Śląsk-Gdynia po dawną Stocznię Gdyńską, która jako Alte Werft spełniała rolę stoczni remontowej. Amerykańskie bomby zatopiły 7 statków handlowych, a 5 poważnie uszkodziły. Wśród nich były także jednostki szwedzkie, fińskie i duńskie. Całkowicie zniszczono okręt-bazę U-Bootów, holownik, ścigacz i pływający dok o wyporności 25 tys. BRT. Nie zniszczono żadnego ważnego okrętu Kriegsmarine, chociaż w tym czasie było ich w porcie gdyńskim siedem. Bomby nie spadły też na żaden z wielkich doków pływających. W książce „Gotenhafen" Izabela Żukowska, w zbeletryzowanej formie, tak opisała amerykański nalot na Gdynię: *„Najpierw pojawił się dźwięk. Jak napływająca z zachodu chmura. Niski, dudniący łomot setek silników nadlatujących na miasto sprawił, że ziemia pod stopami zaczęła lekko drżeć. Drzewa zaszeleściły, brązowiejące liście zaczęły opadać gęsto z suchych gałęzi. Dźwięk był coraz bliższy i coraz głośniejszy. Powoli zagłuszał wszystko, co słychać było dotąd. Zagłuszał odgłosy stoczniowych prac i wycie syren, które rozległy się nad miastem"*. Miastem, które powoli chowało się pod białą pierzyną sztucznej mgły. I nad nią wkrótce pojawiły się samoloty. *„Leciały* – pisała dalej Izabela Żukowska – *w równym szeregu, wynurzając się znad wzniesienia, które opadało w zamgloną dolinę kryjącą port i miasto, przesuwały się majestatycznie po słonecznym niebie, którego ponad Gotenhafen nie zasnuwały żadne chmury. To niebo robiło się coraz ciemniejsze, coraz bardziej znaczone sylwetkami bombowców, które obniżając pułap, zawisły nad ukrytym we mgle miastem i w końcu rozpoczęły atak. W białą chmurę runęły bomby, lecące jak ciężkie krople listopadowego deszczu. Uwalniane z luków bombowych wpadały w tę sztucznie stworzoną pierzynę, spod której rozbrzmiewał huk, przerywany dobiegającymi spod niej krótkimi seriami działek artylerii przeciwlotniczej. (...) Kolejne bomby spadały na Gotenhafen, które dusiło się teraz własnym dymem, unoszącym się coraz wyżej ponad sztuczną mgłą"*.

Ksiądz Klemens Przewoski, proboszcz z Oksywia, tak skutki tego nalotu opisał we wspomnieniach opublikowanych przez „Rocznik Gdyński" z 1991 roku: *„Spustoszenie w Gdyni było straszne, ulice zawalone rumowiskiem. Na ulicach trupy, części ludzkich ciał, które Niemcy natychmiast kazali zbierać i składać do skrzyń"*. Ksiądz proboszcz przesadził w opisie skutków bombardowania, jednostkowe przypadki rozciągając na całą Gdynię. Amerykanie wszak znakomicie wiedzieli, że bombardują polskie miasto zamieszkałe w większości przez Polaków. I z tego względu do zniszczenia wybrali tylko cele militarne związane z bazą Kriegsmarine, przemysłem wojennym i komunikacją kolejową. Sztuczna mgła wprawdzie utrudniła to zadanie, ale zniszczenia w samym mieście były minimalne.

Dwa zdjęcia statku szpitalnego „Stuttgart" zamieszczone podczas wojny przez ilustrowany magazyn niemiecki.

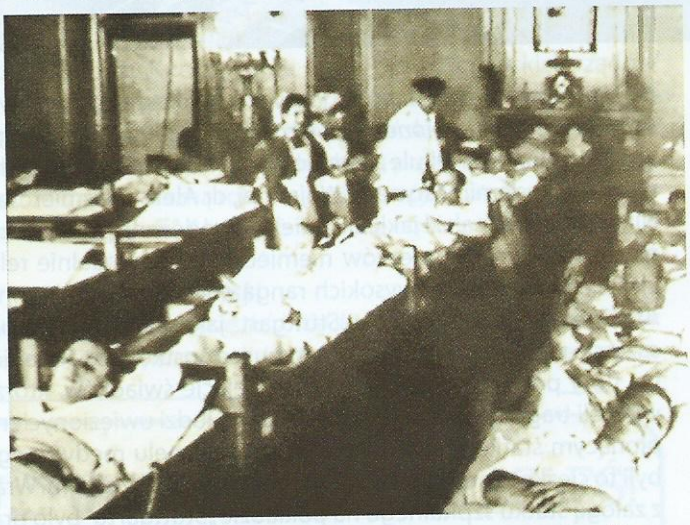

Kłębowisko ludzkich głów i rąk

Amerykanie mieli zniszczyć wybrany obszar Gotenhafen, więc nikt z załóg B-17 i B-24 nie bawił się w jakieś precyzyjne celowanie. Otwierali luki i bomby leciały w dół. Przede wszystkim na port. Jedna z nich spadła na dawny statek pasażerski „Stuttgart", który z chwilą wybuchu wojny stał się pływającym szpitalem. Wprawdzie Lazaretschiff C pomalowany był na biało, a jego nazwa widniała w wykazie statków szpitalnych, to jednak podczas postoju w Gotenhafen „Stuttgart" częściowo osłonięto siatkami maskującymi. Ten fakt do dzisiaj wyciągają zwolennicy spiskowej teorii dziejów, którzy uważają, że była to zakamuflowana baza okrętów podwodnych. *„Załadowany torpedami, amunicją i paliwem był gotowy do wyjścia na Atlantyk. Gdy wybuchł na nim pożar, w obawie przed nieobliczalny-*

Fragment portu wojennego na Oksywiu w Gdyni na zdjęciu z połowy lat 90. XX wieku. To tu 9 X 1943 roku płonął statek szpitalny „Stuttgart".

To kolorowe zdjęcie z jesieni 1939 roku przedstawia groby poległych na Oksywiu żołnierzy polskich. Ale także port gdyński, z tej perspektywy, z jakiej widzieli go Waldemar Kohnke i jego koledzy podczas amerykańskiego nalotu.

mi skutkami dla całego portu i miasta, pospiesznie wyholowano go na redę i zatopiono" – na łamach „Rocznika Gdańskiego" w 1991 roku, w artykule „Samoloty nad Gotenhafen", pisał historyk z Akademii Marynarki Wojennej, dr Aleksy Kaźmierczak. Nikt nigdy nie znalazł jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie tych słów: dokumentów niemieckich i ewentualnie relacji świadków z grona wysokich rangą oficerów Kriegsmarine. Abstrahując już od tego, że „Stuttgart" jako dawny statek pasażerski nie nadawał się na tego typu jednostkę zaopatrzeniową floty podwodnej, zachowały się relacje świadków, którzy widzieli tragedię ginących na ich oczach ludzi uwięzionych na płonącym statku szpitalnym. Oprócz personelu medycznego byli to ciężko ranni weterani walk w Związku Radzieckim. Wraz z załogą statku szpitalnego na pokładzie „Stuttgartu" było prawie 1000 osób. Tylko jakiś fantasta może wyobrazić sobie niebezpieczny rejs na Atlantyk z zaopatrzeniem dla U-Bootów z prawie 500 ciężko rannymi żołnierzami na pokładzie. Wszak tego faktu nawet w III Rzeszy nie dałoby się ukryć, a rodziny rannych rozszarpałyby za to dowództwo Kriegsmarine...

Siostra Czerwonego Krzyża z Hamburga w liście do przyjaciółki tak opisała tamtą październikową sobotę w Gotenhafen: *„W trakcie obiadu zawołano dwie pielęgniarki, aby poszły na salę operacyjną. Kto by pomyślał, że nigdy już ich nie ujrzę. Wkrótce ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Wszystkie pielęgniarki zostały na swoich miejscach. Byłyśmy przekonane, że oznakowany statek szpitalny nie będzie atakowany. Stało się coś strasznego. Zostaliśmy trafieni kilkoma bombami i statek został mocno uszkodzony. Jeden z pocisków wybuchł w sali szpitalnej. Lekarze nie przerwali operacji podczas nalotu. Wszyscy, którzy tam byli, zginęli na miejscu"*. Los autorki listu świadczy, że część z obecnych na pokładach „Stuttgartu" w chwili rozpoczęcia bombardowania uratowała się. Miała bardzo dużo szczęścia, bo niemieckie publikacje zgodnie podkreślają, że prawie wszyscy zaokrętowani na tej jednostce zginęli. Dotyczy to przede wszystkim pacjentów. Pożar, który wybuchł na statku, rychło odciął drogi ucieczki. Poza tym ciężko ranni nie mogli sami chodzić. Do okien dotarli tylko najsilniejsi lub pielęgniarki, które przerażająco wołały na pomoc. Bulaje zaś były za małe, by się przez nie przecisnąć i ratować skokiem do wody. Waldemar Kohnke miał wówczas 10 lat i agonię „Stuttgartu" oglądał z bliska. W 2008 roku tak wspominał w artykule opublikowanym w trójmiejskim wydaniu „Gazety Wyborczej": *„Zbiegliśmy zaciekawieni z góry, bo gdy odleciały samoloty, zobaczyliśmy smolistą smugę. Na dole zrozumieliśmy, co się dzieje. Wycie ludzi roznosiło się po zmasakrowanym bombami porcie. Skamieniali staliśmy wpatrzeni w białą burtę, w wielki czerwony krzyż. Olbrzymi słup ognia strzelający z nadbudówki na rufie sięgał nieba, a mniejsze jęzory omiatały cały pokład. Z otwartych bulajów wystawało kłębowisko ludzkich głów i rąk. I ten krzyk o pomoc: »Hilfe!, Hilfe«! Jeszcze dziś widzę płonący pokład i białe łokcie, które próbują przez za małe bulaje wydostać się na wolność. Tego nie można zapomnieć"*.

Wkrótce na rozkaz komendanta gdyńskiej bazy, kontradmirała Joachima Platha, holowniki wyprowadziły płonący statek szpitalny z portu na redę, gdzie został zatopiony ogniem z 88-milimetrowych dział dozorowców Kriegsmarine. Stało się tak nie dlatego, że obawiano się eksplozji torped lub paliwa dla U-Bootów, bo na „Stuttgarcie" ich nie było, ale z powodu paliwa, jakim był on napędzany. A był to mazut, który w wysokiej temperaturze eksploduje niemożliwą do ugaszenia substancją oblewając wszystko wokół. Gdyby „Stuttgart" wybuchł w porcie, zniszczenia byłyby prawdopodobnie większe niż te, które spowodowały amerykańskie bomby.

Wyrok na Gotenhafen

W następnych dniach rozgorzała niemiecko-amerykańska wojna propagandowa na temat przyczyn zbombardowania „Stuttgartu". Ostatecznie Niemcy odstąpili od oskarżenia Amerykanów o zbrodnię wojenną. W piśmie Naczelnego Dowództwa Kriegsmarine do Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy z 30 grudnia 1943 roku czytamy m.in.: *„Dane rządu amerykańskiego wskazują, że w sąsiedztwie »Stuttgartu« znajdowały się także inne jednostki pływające. I pożałowania godne trafienie było efektem ataku na tamte okręty wojenne. Temu nie możemy zaprzeczyć. Do tego dochodzi to, że »Stuttgart« był w kamuflażu od strony morza. Więc Amerykanie przy dalszej wymianie not dyplomatycznych mogliby podnieść argument, że ich lotnicy nie mogli rozpoznać »Stuttgartu«. Przy tym stanie faktycznym i prawnym celowe wydaje się odstąpienie od dalszej wymiany not. Tym bardziej, że efekt propagandowy już osiągnięto i rzecz stała się głośna w prasie międzynarodowej"*. Gdy przed-

ostatniego dnia 1943 roku powyższe pismo oficer Kriegsmarine dostarczał do gmachu MSZ przy Wilhelmstrasse w Berlinie, w Gotenhafen w najlepsze trwało usuwanie szkód po październikowym bombardowaniu. W marcu 1944 roku wszystkie gdyńskie zakłady przemysłu zbrojeniowego w poziomie produkcji wróciły do stanu sprzed amerykańskiego nalotu.

Jesienią 1944 roku dla nikogo nie było tajemnicą, że ziemie przedwojennej Polski wpadną w ręce Rosjan. I że wśród wielu innych miast zajmą oni także Gdynię z jej rozbudowanym przez Niemców przemysłem stoczniowym. Czy u podstaw decyzji o brytyjskim nalocie na Gotenhafen leżała chęć zniszczenia tej nadbałtyckiej bazy Kriegsmarine, by nie dostała się ona jako łup wojenny Armii Czerwonej? A może – bo i tego wykluczyć nie można – Brytyjczycy obawiali się, że w ostatnich miesiącach wojny nastąpi powrót morskiej potęgi Rzeszy, do którego to powrotu walnie przyczyni się Gdynia z jej rozbudowaną infrastrukturą wojenną? Prawdopodobnie na oba pytania trzeba udzielić odpowiedzi pozytywnej... W każdym razie 236 bombowców Królewskich Sił Powietrznych wyrok na Gotenhafen wykonało w nocy z 18 na 19 grudnia 1944 roku. W upiornej scenerii, przy migoczącym świetle opadających na spadochronach flar, zwanych „choinkami", brytyjskie bomby spadały na najważniejsze cele: dwa duże doki pływające i kilka mniejszych, na stoczniowe hale produkcyjne, magazyny i warsztaty, a także na tory kolejowe i drogi łączące port z miastem. Bomby zapalające spadły m.in. na stary pancernik „Schleswig-Holstein", którego strzały oznajmiły światu wybuch II wojny światowej. Na okręcie wybuchł pożar. Eksplozje bomb burzących spowodowały zawalenie się dużego schronu przeciwlotniczego na terenie stoczni. W ułamku sekundy zginęło wielu wykwalifikowanych niemieckich inżynierów – kierownicza kadra gdyńskiej bazy Kriegsmarine. Do końca hitlerowskich rządów w Gotenhafen nie odbudowano już najważniejszych obiektów produkcyjnych tejże bazy. I tylko gdyński port w dniach wielkiej ucieczki Niemców ze wschodnich prowincji Rzeszy odegra jeszcze bardzo ważną rolę. To stąd w swój ostatni rejs wypłynie „Wilhelm Gustloff". Ale to już inna i na ogół znana historia.

Statek s/s „Stuttgart" został zbudowany, jako statek pasażerski, w 1923 r. w szczecińskiej stoczni Vulcan, na zlecenie niemieckiego armatora Norddeutscher Lloyd z Bremen. Od 1930 r. pływał na liniach dalekowschodnich. W 1938 roku został zakupiony przez organizację „Siła przez Radość" (KdF) działającą w ramach założonego w 1933 r. Niemieckiego Frontu Pracy (DAF). „Stuttgart" pływał pod sztandarem tej organizacji obok takich jednostek jak „Wilhelm Gustloff" czy „Robert Ley". W obliczu zbliżającej się wojny „Stuttgart" został wcielony do niemieckiej marynarki wojennej i przebudowany na okręt szpitalny znany pod nazwą Lazarettschiff „C". Jako jednostka szpitalna „Stuttgart" mógł przyjąć na pokład 485 chorych i 138 osób personelu sanitarnego. Los okrętu dopełnił się w 1943 roku podczas nalotu na Gdynię.

Leszek Adamczewski

Dziennikarz, pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS Optima

Wykrywacz projektowany
bez kompromisów.
Ściśle specjalizowany
do biżuterii, monet
i innych drobnych obiektów.
Wyjątkowo szybki, głęboki,
bardzo skuteczny.

* Częstotliwość pracy 16 kHz regulowana w 5 skokach
* Automatyczne strojenie do gruntu
* Możliwość ręcznej korekty automatu
* Identyfikacja cyfrowa
* Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza
* Możliwość konfiguracji ilości tonów: 1 ton, 3 tony, 2 programy użytkownika
* Praca dynamiczna i jednoczesna
* Regulacja sygnału wiodącego
* Filtr kamieni magnetycznych

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

Gleiwitz – miejsce, gdzie dwukrotnie „Umarła Babka", czyli rzekoma operacja „Himmler"

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA

Niby wszystko wiadomo. Hitler potrzebował pretekstu do rozpoczęcia wojny, stąd pomysł napadu przez rzekomych polskich żołnierzy na niemiecką radiostację w Gliwicach i nadanie w eter fałszywego komunikatu w języku polskim. Dla nieobeznanych z przebiegiem przedwojennej polsko-niemieckiej granicy Gliwice (niem. Gleiwitz) leżały w III Rzeszy. Napad sfingowano, kogoś zabito, podrzucono ciała w mundurach polskich żołnierzy, i na tym właściwie wiedza się kończy. Aha. No i oczywiście z tego powodu wybuchła II wojna światowa.

Nie tak dawno w książce opisującej losy Krystyny Skarbek autorstwa Madelein Masson wyczytałem, że ataku na radiostację w Gliwicach dokonało około 100 ludzi przebranych w polskie mundury, i wszystkich ich niebawem zabito. Nie pierwszy to raz zetknąłem się z zupełnym przeinaczeniem faktów dotyczących rzekomej operacji „Himmler". Piszę rzekomej, bo tak naprawdę nigdy nie nadano jej takiego kryptonimu. W internecie można spotkać wiele „ciekawych" wersji tych wydarzeń, jak chociażby atak Naujocksa na czele dużej grupy uzbrojonych w polskie mundury więźniów na budynek radiostacji. Spróbujmy więc raz jeszcze przyjrzeć się tym wydarzeniom podkreślając to, co jeszcze dzisiaj możecie Państwo zobaczyć.

Na początek parę ważnych faktów. 29 X 1923 r. w Berlinie niemiecka poczta oddała do użytku pierwszą radiostację. Specjalna europejska komisja przydzieliła Niemcom 21 różnych długości fal, najwięcej w całej Europie. W grudniu 1925 r. w Niemczech działało już 18 stacji radiowych. Jedna z nich była we Wrocławiu. W owym czasie w niemieckiej części Górnego Śląska zarejestrowano 476 słuchaczy, natomiast w polskiej części 227. Wynalazek był kosztowny. Miesięczny abonament wynosił 2 marki (przeciętny niemiecki robotnik zarabiał w tym czasie 100-120 marek miesięcznie), a radiowe aparaty lampowe były niesamowicie drogie. Dlatego skonstruowano tanie aparaty sprzedawane w częściach, które można było samemu złożyć (koszt 3,75 marek). Produkowało je wiele firm, w tym także kilka w Gliwicach.

Rozgłośnia radiowa we Wrocławiu funkcjonująca pod nazwą „Schlesische Funkstunde AG" (SFAG) była prywatna. Powstała w 1924 r. z inicjatywy niemieckiego fizyka, profesora uniwersytetu we Wrocławiu Otto Lummera (1860-1925), który był przewodniczącym jej rady nadzorczej. Należała do Towarzystwa Radiowego Rzeszy (niem. Reichs-Rundfunk-Gesellschaft). Dla potrzeb górnośląskich słuchaczy nieco wzmocniono siłę jej nadawania. Okazała się jednak niewystarczająca, aby skutecznie objąć swoim zasięgiem cały obszar Górnego Śląska, który musiał mieć własną stację nadawczą. Chęć posiadania jej na swoim terenie zgłosiły miasta: Bytom (niem. Beuthen O.S.), Zabrze (niem. Hindenburg O.S.) i Gliwice. Był to prestiż, o który warto było stoczyć bój. Prof. Lummer nie doczekał otwarcia nowej radiostacji w Gliwicach (zmarł w kwietniu 1925 r.), jednakże przed śmiercią zdążył jeszcze wskazać optymalną lokalizację nowej górnośląskiej radiostacji – wybór padł na leżące w pobliżu Gliwic Pyskowice (niem. Preiskretscham). Po jego śmierci zadecydowano, że będą to jednak Gliwice.

Pierwsze prace nad budową gliwickiej radiostacji ruszyły 15 VI 1925 roku. Przeprowadzono je bardzo sprawnie, gdyż zostały zakończone już 15 listopada tego samego roku. Prowadzono je wg projektu architekta Junga, będącego jednocześnie właścicielem firmy budowlanej wykonującej prace. Urodzo-

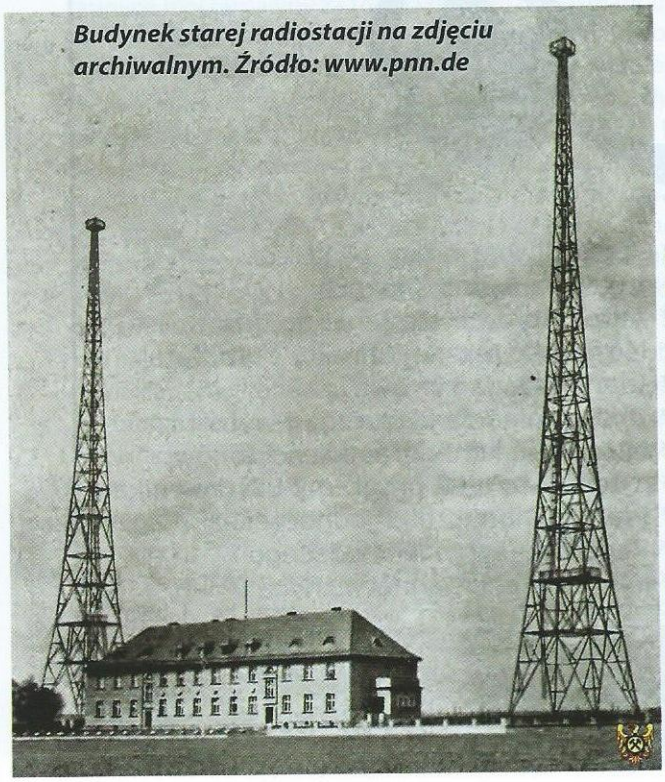

Budynek starej radiostacji na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.pnn.de

... i jego stan obecny. Fot. Autor.

Eugen Hadamowsky. Źródło: www.ru-wikipedia.org/wiki

ny we Wrocławiu w 1875 r. Jung miał swoje biuro architektoniczne w Gliwicach (od 1893 r.). Zaprojektował istniejący do dzisiaj monumentalny budynek liceum im. Josepha von Eichendorffa w Gliwicach, fabrykę w Będzinie i budynek dyrekcji chorzowskiej huty „Batory". Budowę radiostacji nadzorował miejski radca budowlany Karl Schabik (1882-1945) wraz ze swoim pomocnikiem, mistrzem budowlanym Hennkiem. Urodzony w Głubczycach Schabik w latach 1919-45 był gliwickim radcą budowlanym, a wg jego projektu powstała jedna z najsłynniejszych gliwickich budowli, czyli monumentalny, istniejący do dzisiaj, mocno przebudowany, gmach „Haus Oberschlesien" (stary doszczętnie spalił się w 1945 roku). Budynek radiostacji wzniesiono przy obecnej ul. Radiowej, zaraz za koszarami gliwickich ułanów. Samej budowli nadano ciekawą formę architektoniczną, a także artystyczną. Artysta-rzeźbiarz J.K. Kiunka zaprojektował 6 ozdobnych rozet (nieistniejących), które umieszczono pomiędzy środkowymi oknami na ścianie frontowej budynku. W tamtych czasach na parterze urządzono biura administracji, pomieszczenie nadajnika, studia radiowe i maszynownie. Na wyższej kondygnacji znajdowały się 4 komfortowe mieszkania dla pracowników radiostacji i Urzędu Telegraficznego. Gmach posiada dwie kondygnacje, rozbudowany strych i jest podpiwniczony (istnieje do dzisiaj, obecnie mieści się w nim szpital). W ten sposób powstał jeden z największych budynków radiowych w całych Niemczech. Połączono go napowietrznym przewodem telefonicznym z radiostacją wrocławską. W 1927 r. owe połączenie zastąpiono kablem podziemnym, którego sygnał po drodze wzmacniały stacje przekaźnikowe w Koźlu (niem. Cosel) i Skorogoszczy (niem. Schurgast). Gliwicka radiostacja została wyposażona w nowoczesny sprzęt, który miał usprawnić jej funkcjonowanie. Aby zapewnić dobre połączenie komunikacyjne z resztą miasta, przekonano dyrekcję gliwickich tramwajów by przedłużyć o jeden przystanek linię tramwajową, która dotąd kończyła się przy koszarach. Oficjalnego otwarcia budynku gliwickiej radiostacji dokonano 15 XI 1925 r. przy licznym udziale gliwickich notabli (sekretarz stanu dr Bredow, nadburmistrz Gliwic dr Geissler, nadprezydent prowincji dr Proske i starosta Harbig). Główne techniczne wyposażenie budynku to dwie stalowe wieże, które stanęły po jego bokach. Obydwie miały wysokość 75 m. Dzieliła je odległość 94 metrów. Pomiędzy nimi rozciągnięto antenę nadawczą. Wewnątrz budynku zainstalowano nadajnik o mocy 0,25 kW. Wcześniej, w dniach 1-2 VIII 1925 r. ów nadajnik zaprezentowano wszystkim zainteresowanym na „Wystawie letniej radiosłuchaczy" urządzonej w gliwickim lunaparku. Zamontowany nadajnik dość szybko okazał się niewystarczający, więc miasto pozyskało nowy (firmy „Telefunken") o mocy 1,5 kW, za pomocą którego retransmitowano program radiowy z Wrocławia. Pracował on od 15 XI 1925 do 30 III 1928 r. na fali 253,4 m (później przekazano go do Świnoujścia, gdzie działał do 1929 roku). Gdy i ten okazał się niewystarczający, zainstalowano nowy nadajnik o mocy 5 kW, który pracował do 1935 roku. Pierwszą próbę radiową przeprowadzono 7 XI 1925 r. pomiędzy godz. 16:00 a 17:00, kiedy to nadawano komunikat: „Achtung, hier Welle 251" oraz muzykę katarynkową.

W 1927 r. w efekcie konkursu przeprowadzonego w gliwickim „Haus Oberschlesien" spikerem radiowym gliwickiej stacji została pani Grötzinger. W sierpniu 1927 r. na kierownika artystycznego wyznaczono Paula Kanię (urodzony w 1901 r. w Zabrzu górnośląski pisarz i dramaturg), którego wspierał Hans Schadewald (były szef redakcji gazety „Morgenpost" w Bytomiu). Osobą zarządzającą radiostacją od 1925 r. był Anton Wawrzik. Sygnałem, którym codziennie rozpoczynano program radiowy była górnicza pieśń „Glück auf, der Steiger kommt". Gliwicka radiostacja transmitowała wiele audycji nadawanych przez radiostację wrocławską, już wkrótce jednak dysponując własnym studiem radiowym zaczęła tworzyć swoje programy. Poruszano w nich problemy polityczne i społeczne Górnego Śląska, realizowano reportaże, nadawano muzykę, którą często nagrywano we własnym studiu radiowym. Radiostacja coraz bardziej się usamodzielniała, ale generowało to

Podwórko nowej gliwickiej radiostacji na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.pnn.de

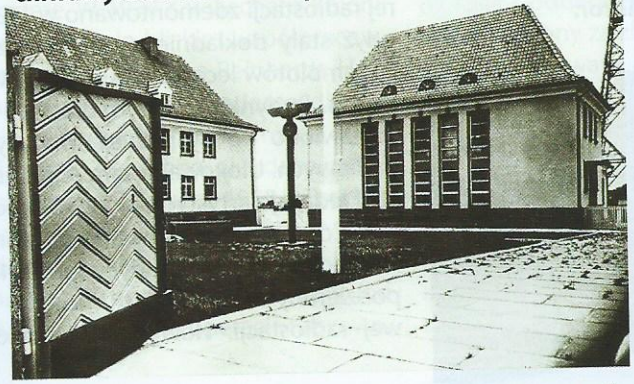

Podwórze gliwickiej radiostacji dzisiaj. Fot. Autor.

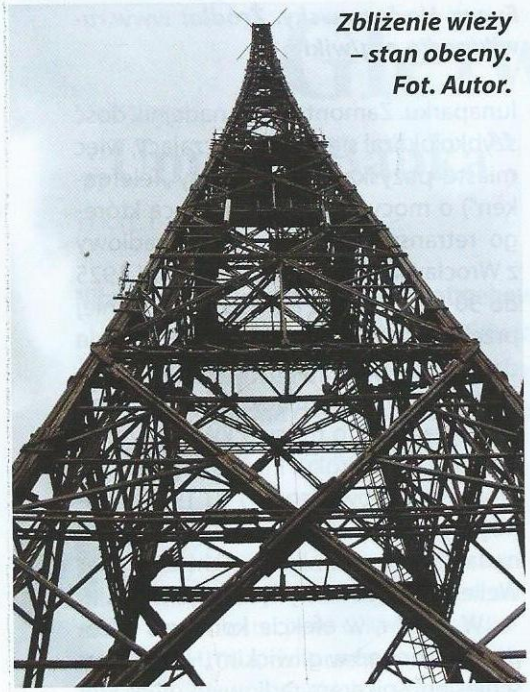

Zbliżenie wieży – stan obecny. Fot. Autor.

również coraz większe koszty zatrudnionego personelu. W 1927 r. pojawił się spory problem. W niedalekich Katowicach-Brynowie Polacy uruchomili własną, niezwykle silną stację radiową dysponującą nadajnikiem o mocy 12 kW, która zagłuszała sygnał gliwickiej radiostacji. Władze miasta Gliwice 17 V 1927 r. wysłały do kierownictwa radiostacji wrocławskiej oficjalne pismo ze skargą na Polaków. Pod uwagę brano nawet interwencję w Genewie, ale zrezygnowano z niej, gdyż władze polskie obiecały zmniejszyć siłę katowickiego nadajnika – czego zresztą nigdy nie uczyniły. Zastanawiano się nad podniesieniem mocy gliwickiego nadajnika do 12 kW i zmianie fali na 329,7 m. Tym samym gliwicka radiostacja stałaby się jedną z najsilniejszych w całych Niemczech. Do tej modernizacji jednak nigdy nie doszło. W pierwszej połowie 1929 r. na podstawie tzw. decyzji brukselskich z 1928 r. zadecydowano, że Gliwice otrzymają nową długość fali 326,4 m (dotąd zarezerwowaną dla miasta Królewiec). Od tego momentu radiostacja była doskonale słyszalna w różnych krajach Europy. Pod koniec 1927 r. Gliwice otrzymały swój własny program radiowy, całkowicie uniezależniając się od Wrocławia.

Gdy w Niemczech do władzy doszli naziści, posypały się ataki na dyrekcję gliwickiej radiostacji. W 1933 r. gauleiter Górnego Śląska Helmuth Brückner zarzucił Paulowi Kani lewicowe poglądy, wspieranie miejscowych lewicowych działaczy oraz Żydów. Kanię usunięto ze stanowiska, a jego miejsce zajął Hubert Emanuel Kotzias[1], który był kierownikiem artystycznym gliwickiej radiostacji do 1936 roku. Narodowi socjaliści wiedzieli, jak ważne jest radio i na czym polega jego siła, a gliwicka radiostacja ciągle nie spełniała ich oczekiwań. Zadecydowano więc, że w tak trudnym rejonie jakim był Górny Śląsk, należy wybudować nową radiostację o znacznie silniejszym zasięgu. Wybrano parcelę przy obecnej ul. Tarnogórskiej (wówczas Tarnowitzer Landstrasse), która była najwyższym punktem miasta. Budowę głównego budynku zlecono gliwickiemu mistrzowi budowlanemu Borsdorffowi. Obok budynku radiostacji wzniesiono domy mieszkalne dla personelu, które wybudował zabrzański mistrz budowlany Bogatzki. Techniczny nadzór nad budową zlecono Erichowi Nittritzowi. Obok budynku postawiono charakterystyczną, istniejącą do dzisiaj drewnianą wieżę. Wiele osób nadal uważa, że to stalowa konstrukcja, tymczasem jest ona wykonana z nieimpregnowanego drewna modrzewiowego. Śruby łączące drewniane elementy wieży wykonano z mosiądzu, a jest ich 16.100 sztuk. Wieża miała 111 m wysokości i była doskonale widoczna, dlatego wkrótce stała się symbolem miasta, jak paryska wieża Eiffla. Jej budową zajęła się berlińska firma „Lorenz AG". Prace przy jej wznoszeniu rozpoczęto w 20 V 1935 roku. Wkrótce jednak natrafiono na wody gruntowe, co stało się znacznym utrudnieniem. Podstawę wieży stanowią cztery betonowe fundamenty, każdy o wadze 87,5 tony. Antena była wykonana z liny miedzianej o grubości kciuka, zwisającej pionowo ze szczytu wieży. Pomiędzy wieżą a nowym budynkiem radiostacji znajdował się dość duży teren, który wykorzystano na piękne ogrody dla personelu radiostacji. W odległości około 60 m od wieży umieszczono dwie obracające się lampy, ostrzegające samoloty lądujące lub startujące z gliwickiego lotniska. Cały teren ogrodzono i otoczono reflektorami. To właśnie ten budynek, a nie gmach starej radiostacji, stał się w 1939 r. celem prowokacyjnej akcji Niemców.

Nadajnik nowej radiostacji firmy „Lorenz AG" miał moc 8 kW i pozwalał na odbiór nadawanych z Gliwic audycji radiowych od Częstochowy aż po Cieszyn. Była to również stacja przekaźnikowa wrocławskiej radiostacji. Pracowała na fali 243,7 m i podobno była słyszalna nawet w Nowej Zelandii. Jej sygnałem była emitowana już wcześniej pieśń górnicza „Glück auf, der Steiger kommt". Nadawanie z nowej wieży rozpoczęto 22 XII 1935 roku. W tym samym dniu na uroczystości otwarcia nowej gliwickiej radiostacji pojawiło się wielu notabli, m.in. Kurt Machner – prawdopodobnie ówczesny kierownik radiostacji, burmistrz Gliwic dr Badenhoop i Bytomsky – dyrektor gliwickiego Urzędu Telegraficznego, a także sam minister propagandy III Rzeszy dr Joseph Goebbels. Nowym kierownikiem artystycznym został ulubieniec Goebbelsa, wpływowy nazista i ówczesny kierownik Towarzystwa Radiowego Rzeszy Eugen Hadamowsky (1904-1945). Urządzenia starej gliwickiej radiostacji zostały zdemontowane i przewiezione do Gdańska, gdzie je ponownie uruchomiono. Dwie wieże starej radiostacji zdemontowano w 1937 r., gdyż stały dokładnie na trasie przelotu samolotów lecących z Gliwic do Wrocławia. Budynki dawnej radiostacji pozostawiono do dyspozycji Towarzystw Radiowych. Ulokowano tam administrację i redakcję artystyczną gliwickiego radia. Co ważne, realizowane w starych studiach radiowych audycje przesyłano podziemnym kablem do budynku nowej radiostacji. Nowym kierownikiem

Budynki radiostacji. Widok od strony wieży, stan obecny. Fot. Autor.

Pomysłodawca akcji SS Brigadeführer i szef bawarskiej policji Reinhard Heydrich w swoim biurze. Monachium 1934 r. Źródło: Bundesarchiv Bild 152-50-10.

Heinrich Müller. Źródło: www.en.wikipedia.org/wiki

gliwickiej radiostacji w 1936 r. został Górnoślązak Erwin Jakutek, były pracownik bytomskich władz. Chcąc podkreślić propagandowy charakter radiostacji, 20 VII 1937 r. na trawniku przed głównym budynkiem uroczyście odsłonięto kolumnę o wysokości 4,5 m, z nazistowskim orłem na szczycie, która stanęła w miejscu doskonale widocznym z ulicy. Autorem tej wykonanej w gliwickiej hucie kolumny był Hannes Breitenbach, miejscowy rzeźbiarz i artysta. Dzisiaj pozostała sama kolumna. Stale rosła liczba górnośląskich słuchaczy gliwickiej radiostacji (kwiecień 1937 – 13 961, 1940 – 18 908 osób). Wybierając to miejsce na arenę przygotowanej akcji prowokacyjnej, naziści doskonale wiedzieli co robią. Takie wydarzenie musiało się odbyć szerokim echem w całym świecie.

Sturmbannführer SS Alfred Naujocks urodził się 20 IX 1911 r. w Kolonii, w rodzinie o litewskich korzeniach. Dlaczego wybrano właśnie jego? Odpowiedź wydaje mi się prosta. Był wiernym człowiekiem perfekcyjnego, bardzo niebezpiecznego Reinharda Heydricha (szefa Głównego Urzędu SD) i jego współpracownika, nie mniej groźnego Heinricha Müllera (późniejszego szefa Gestapo, zwanego „Gestapo-Müllerem"). Naujocks w młodości pracował jako mechanik. W 1931 r. wstąpił do SS, rozpoczynając tym samym swoją nazistowską karierę. W 1934 r. wyjechał z Kolonii i wkrótce stał się bliskim współpracownikiem arcyzbrodniarza Reinharda Heydricha. Właściwie nie wiadomo dlaczego. Nagle zaczął realizować różne misje specjalne: 1934 – Praga, nieudana próba zabicia Ottona Strassera, 1935 – Czechosłowacja, niezbyt udana misja porwania współpracownika Strassera, 1939 – Venlo, porwanie brytyjskich agentów, od 1939 – niezbyt udana operacja fałszowania pieniędzy „Andreas". Naujocks był zamieszany także w sprawę „Salonu Kitty" (w 1944 r. oddał się w ręce Amerykanów i został uznany za zbrodniarza wojennego). Podejrzewam, że Heydrich, bardzo czuły na tle doboru swoich współpracowników, zauważył w nim jakiś talent, a także totalne posłuszeństwo. Szczerze mówiąc, Naujocks nie był najlepszym agentem do zadań specjalnych i daleko mu do filmowego Jamesa Bonda. Zazwyczaj mu się nie udawało. Wiele osób związanych z aparatem władzy III Rzeszy twierdziło, że był na to zbyt prymitywny. Podejrzewam, że Heydrich dobrze o tym wiedział. Mało tego, zdawał sobie sprawę z faktu, iż nie jest to koronkowa robota dla perfekcyjnego agenta, ale prymitywna akcja, która po prostu musi się odbyć. Nic więcej. Dlatego właśnie Heydrich wybrał Naujocksa. No cóż, wybrał doskonale.

Na początku sierpnia 1939 r. Heydrich znalazł się w Gliwicach, gdzie w sali tanecznej hotelu „Haus Oberschlesien" spotkał się z grupą wysokich oficerów SS. Przekazał im informację o po-

„Haus Oberschlesien" na zdjęciu archiwalnym...

... obecnie. Fot. ze zbiorów Autora.

Sturmbannführer SS Alfred Naujocks. Źródło: www.pnn.de

Oberführer SS dr Emanuel Schäfer. Źródło: www.en.wikipedia.org/wiki

Franciszek Honiok, jedyna znana ofiara prowokacji gliwickiej. Źródło: www.2.bp.blogspot.com

Główny budynek nowej radiostacji gliwickiej – dzisiaj. Fot. Autor.

trzebie Führera posiadania dobrego pretekstu do wybuchu wojny z Polską. Efektem spotkania była decyzja o sfingowaniu „polskich" napadów na budynek niemieckiego urzędu celnego w Rybniku-Stodołach (niem. Hochlinden), na leśniczówkę Byczyna (niem. Pitschen) i rozgłośnię radiową w Gliwicach. Wśród zebranych w hotelu funkcjonariuszy SS kluczową rolę miał odegrać szef opolskiej placówki Gestapo Oberführer SS dr Emanuel Schäfer (1900-1974). Oczywiście przekazane informacje objęto klauzulą ścisłej tajemnicy państwowej. Prawdopodobnie już w trakcie samej akcji Heydrich przebywał w Opolu, osobiście nadzorując wszystkie przygotowania. Wiadomo także, że w tym czasie Heinrich Müller był na Górnym Śląsku. W opublikowanym wcześniej artykule o obozie w Sławięcicach („Odkrywca" nr 12/2012) wspominałem, że w tamtejszym pałacu przebywała grupa SS-manów przeznaczona do wykonania co najmniej jednego z wyznaczonych tajnych zadań, m.in. Hauptsturmführer SS i zbrodniarz wojenny Josef Grzimek (1905-1950) oraz Oberführer SS Hans Trummler (1900-1948). 10 VIII 1939 r. Heydrich wezwał do swojego berlińskiego biura Naujocksa i rozkazał mu zorganizowanie akcji w Gliwicach, która miała być częścią większej operacji[2]. Jednocześnie przekazał Naujocksowi, że zamierza wybrać grupę 200 więźniów z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, 50-ciu z nich zabić zastrzykami z trucizną, a następnie przebrać w polskie mundury, podziurawić kulami i podrzucić w różnych miejscach po niemieckiej stronie granicy. Podobno Müller „przygotował" 12-13 takich więźniów, ale nie wiadomo dokładnie, ilu zwłok użyto podczas akcji w Gliwicach (mowa jest o dwóch, nie licząc Honioka). Dla świata miał to być niepodważalny dowód, że Polacy dokonali zbrojnych napadów na obszar III Rzeszy. Przyjęło się jednak, że „prowokacja gliwicka" była głównym atutem w rękach Hitlera usprawiedliwiającym jego agresję na Polskę. Pamiętajmy, że pomysłodawcą tej akcji z rozkazu Himmlera był Reinhard Heydrich, a Naujocks jedynie posłusznym wykonawcą jego wytycznych. Nie pozostał żaden rozkaz na piśmie. Nic. To jednak nie dziwi. W tego typu akcjach nie zostawia się żadnych śladów[3]. Naujocks sam dobrał sobie ludzi. Nie wiadomo kogo wybrał, bo przy takiej robocie nie ujawnia się nazwisk. Prawdopodobnie było ich siedmiu. Wiadomo jednak, że na potrzeby tych akcji, w szkole szermierskiej SS w Bernau, przeszkolono grupę SS-manów w sile kompanii. Prawdopodobnie wszyscy byli pracownikami SD i członkami SS. 15 VIII 1939 r. znaleźli się w Gliwicach i czekali na rozkaz. Naujocks zapewne dokonał rekonesansu terenu akcji, zrobił to jednak dość nieudolnie. Żaden z jego ludzi nie był związany z gliwicką radiostacją, o czym świadczy pewien istotny fakt. Ludzie Naujocksa i on sam nie wiedzieli, że w budynku nowej radiostacji nie ma studia radiowego, a audycje przekazywane są na żywo z budynku starej radiostacji. Nie było tam nawet mikrofonu, przez który można było nadać prowokacyjny komunikat. Ich doradca Otto Ulitz znał Gliwice, ale nie był zaznajomiony ze szczegółami technicznymi radiostacji. To miało zaważyć na przebiegu akcji. Wkrótce, podobno 31 VIII 1939 r., zgodnie z obietnicą, do czekającego w Gliwicach Naujocksa nadeszła „przesyłka". Co w niej było, po wojnie sam ujawnił przesłuchującym go Amerykanom: *„Naujocks twierdził, że ciała dostarczono na miejsce w skrzyniach oznakowanych jako »przetwory«. Część ofiar jeszcze żyła, bo podano im za słabe zastrzyki, i trzeba było je dobić, zanim można było użyć ich ciał zgodnie z planem"* (UK National Archives, KV2/279). Więźniów obozów koncentracyjnych przebranych w polskie mundury pogardliwie nazywano „konserwami". Nie wiadomo dokładnie ilu ich „przygotowano". Prawdopodobnie na początku były to tylko trzy osoby[4]. Hasłem do rozpoczęcia operacji były słowa „Babka Umarła" (niem. „Grossmutter gestorben"), które po raz pierwszy wypowiedziano wieczorem 25 VIII 1939 r. (w związku z pierwotnym terminem uderzenia Niemiec na Polskę, czyli dniem 26 VIII), jednakże wkrótce rozkaz odwołano i rozkazano czekać. Kiedy Naujocks po raz drugi usłyszał umówione hasło, maszyna została wprawiona w ruch. 31 sierpnia około godz. 20:00 Naujocks oraz pięciu lub sześciu uzbrojonych napastników wtargnęło na teren nowej gliwickiej radiostacji. Weszli przez tylne drzwi i dostali się do sali nadajnika. Wszyscy byli po cywilnemu[5]. Heinrich „Gestapo" Müller zadbał o to, aby łączność została przerwana. W tym czasie przebywało tam trzech etatowych,

niemieckich pracowników, którzy o niczym nie wiedzieli (jednym z nich był inż. Foitzik). Zaskoczeni nie stawiali żadnego oporu (podobno jeden z nich został ogłuszony). Wszystkich skrępowano, czy też zakuto w kajdanki, i umieszczono w piwnicy. Podobno napastnicy cały czas wydawali komendy w języku polskim. Przyszedł czas na nadanie komunikatu, który został wcześniej przygotowany i prawdopodobnie miał taką treść: *„Uwaga! Tu Gliwice. Rozgłośnia znajduje się w rękach polskich… My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor"*. Treść przygotowanego komunikatu uderza swoim podobieństwem do słynnego przemówienia ministra Józefa Becka z maja 1939 roku. Zapewne komunikat był o wiele dłuższy, ale nie ma to większego znaczenia[6]. Dlaczego? Przecież nie było mikrofonu, do którego można było go odczytać. Podobno szukano go przez 10 minut, z wiadomych jednak przyczyn nie znaleziono. Przyprowadzono z piwnicy jednego z Niemców (być może Foitzika), który przekazał, że w budynku nowej radiostacji znajdował się jedynie nieprofesjonalny, tzw. mikrofon burzowy służący do emisji krótkich komunikatów o konieczności wyłączenia anteny w trakcie burzy. Nie było wyjścia. Trzeba było go użyć. Pracownik szybko go podpiął, a jeden z ludzi Naujocksa rozpoczął odczytywanie komunikatu. Jednakże słuchacze usłyszeli tylko kilka pierwszych słów, a po nich już tylko szumy i trzaski. Podejrzewa się, że pracownik, którego zapewne zmuszono do podłączenia mikrofonu, niepostrzeżenie go wyłączył, czego nie zauważyli napastnicy (jeden z ludzi Naujocksa nadal czytał treść komunikatu). Słuchacze usłyszeli również strzały, które oddano w sufit by uwiarygodnić toczącą się w budynku walkę. Nadawany komunikat, prawdopodobnie z powodu niedostrojenia urządzeń, nie dotarł nawet do Berlina. A przecież godzinę przeprowadzenia akcji wybrano nieprzypadkowo. O tej porze wszyscy słuchali codziennych wiadomości transmitowanych z Wrocławia. Wkrótce po opuszczeniu budynku przez ludzi Naujocksa na miejscu pojawili się funkcjonariusze policji, którzy w asyście wezwanych lekarza i przedstawicieli prasy otoczyli budynek radiostacji, a następnie weszli do środka. Tam oczywiście znaleźli porzucone zwłoki… Około godz. 23.00 gliwicka radiostacja odezwała się ponownie.

Właściwie całkowita klapa, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Akcja się odbyła i to było najważniejsze. Jej uczestnicy spokojnie wrócili do hotelu w centrum Gliwic. Żaden z nich nie zginął i prawdopodobnie nie odniósł żadnych obrażeń. Zapewne byli zadowoleni z jej przebiegu. Ich entuzjazm nieco jednak opadł, gdy okazało się, że byli bardzo mało słyszalni, i to przez krótką chwilę. Po wojnie Naujocks twierdził, że jeszcze przez 2 tygodnie pozostał w Gliwicach, a następnie powrócił do Berlina, mijając po drodze transporty wojskowe szykujące się do uderzenia na Polskę. Coś mu się pomyliło, bo wojna wybuchła na drugi dzień po jego akcji. Co najmniej trzech uczestników „prowokacji gliwickiej", w tym sam Naujocks, przeżyło wojnę, a ich zeznania pojawiły się na procesie norymberskim. Wtedy świat dowiedział się o prawdziwym obliczu „śmierci babki". W dniu wybuchu wojny Gestapo aresztowało wielu Polaków mieszkających na Opolszczyźnie, czyli po niemieckiej stronie granicy. Kilku osobom postawiono nieprawdziwy zarzut udziału w akcji w Gliwicach (m.in. Marcinowi Głucha) i następnie ubranych w mundury polskich powstańców prowadzono ulicami Gliwic, narażając na gniew tłumu. To miało uwiarygodnić sfingowany napad.

Treści komunikatów informujących o „polskiej prowokacji" były już przygotowane. 31 VIII 1939 r. o godz. 22:00 niemieckie radio nadało komunikat o treści: *„Około godziny 20 grupa polskich powstańców dokonała napaści na radiostację w Gliwicach i zajęła ją przejściowo. Polacy wdarli się siłą do studia, gdzie zdołali odczytać odezwę po polsku i częściowo w języku niemieckim, jednak już po kilku minutach intruzi zostali obezwładnieni przez policję, którą zaalarmowali gliwiccy radiosłuchacze. Policja musiała jednak użyć broni, tak że napastnicy ponieśli straty w zabitych. Napad na rozgłośnię był prawdopodobnie sygnałem do generalnego ataku powstańców polskich na ziemię niemiecką"*. O rzekomym napadzie trąbiła Niemiecka Agencja Informacyjna, co nie pozostało bez echa w świecie, nawet w USA. Brytyjskie radio BBC podało wiadomość o ataku, oczywiście mówiąc o polskim napadzie. Niemiecka „Völkischer Beobachter" opublikowała duży artykuł pt. „Niesłychany bandycki atak na radiostację w Gliwicach". Podobnie zrobiły poczytne na Śląsku gazety „Der Oberschlesische Wanderer" czy „Oberschlesische Volksstimme". Wiadomości poszły w świat. O to właśnie chodziło. Na drugi dzień wybuchła II wojna światowa. Podczas swojego przemówienia informującego Niemców o ataku na Polskę, Hitler jedynie wspomniał o wydarzeniach w Gliwicach. Według jego słów, wypowiedzianych w Reichstagu 1 IX 1939 r., Polacy mieli gwałtem wedrzeć

Pomieszczenie, w którym rozegrały się wydarzenia na zdjęciu archiwalnym. www.pnn.de

… i jego obecny wygląd. Fot. Autor.

się do budynku gliwickiej radiostacji i w języku polskim oraz niemieckim nadać obelżywe dla Niemców komunikaty. *„Dziś w nocy Polska po raz pierwszy na naszym terytorium kazała strzelać do nas swym regularnym żołnierzom. Od godziny 5:45 odpowiada się im strzałami, a od tej chwili na bombę odpowie się bombą"*. I to wszystko. Naujocks wykonał robotę i był szczęśliwy. Himmler, Heydrich i Müller zacierali ręce, a Hitler miał swój pretekst. O nic więcej przecież nie chodziło. Tak naprawdę „prowokacja gliwicka" nie była przyczyną rozpoczęcia wojny z Polską. Konflikt był postanowiony i nic nie było już w stanie go odwołać. Führerowi chodziło raczej o to, aby rzekoma akcja zrodziła w głowach brytyjskich i francuskich polityków pytanie, czy warto wypełniać wobec Polski sojusznicze zobowiązania. Jak pokazał czas, nie trzeba było do tego „prowokacji gliwickiej". Nasi sojusznicy i tak nie mieli zamiaru umierać za Polaków. Chodziło więc o polityczną izolację Polski na arenie międzynarodowej. Nie można więc mówić, że „prowokacja gliwicka" była pretekstem, czy tym bardziej powodem wybuchu II wojny światowej.

Na napastnikach nie było żadnych polskich mundurów. Pamiętajmy, że radiostacja gliwicka leżała w odległości kilku kilometrów od polskiej granicy. Kto by uwierzył, że w tym czasie, przez teren naszpikowany szykującymi się do uderzenia na Polskę jednostkami regularnej niemieckiej armii, spokojnie przechodzi granicę grupa ludzi w polskich mundurach? To po prostu niemożliwe. Wszyscy, czyli napastnicy i Honiok, byli ubrani po cywilnemu. Wydaje się jednak, że ludzkie „konserwy" odziano w polskie mundury, aby pokazać zagranicznym obserwatorom zdjęcia, co zrobiono 1 IX 1939 r., gdy trwała już wojna. Korespondenci, nieobeznani z dokładnym przebiegiem granicy, nie bardzo interesowali się skąd nagle w Gliwicach wzięli się polscy żołnierze. Widzieli dwa lub trzy ciała w polskich mundurach i uwierzyli, że to żołnierze, którzy polegli podczas tej akcji. O „prowokacji gliwickiej" nakręcono dwa filmy: „Der Fall Gleiwitz" (produkcja NDR z 1961 r.) wyświetlany w Polsce pt. „Tu Radio Gliwice" oraz „Operacja Himmler" (produkcja polska z 1979). Ten drugi film przyczynił się do kolejnego zniekształcenia, gdyż powszechnie przyjęto, że operacji nadano kryptonim „Himmler", którego ona nigdy nie nosiła. Nie wiem skąd wzięli informację o jej nazwie ci, którzy ją w ten sposób nazywają. Spotkałem się już nawet z określeniem nazwy akcji jako „Konserwa". Co więcej, w 1990 r. ukazała się w Polsce książka Alfreda Spiessa „Akcja »Tannenberg«. Pretekst do rozpętania II wojny światowej", która wprowadziła kolejne mylne informacje, często powielane do dzisiaj. Teoretycznie właśnie tu zaczęła się II wojna światowa, choć niemieckie prowokacje nadgraniczne trwały już na Górnym Śląsku od tygodnia. Obecnie na jednym z budynków gliwickiej radiostacji znajduje się tablica upamiętniająca wydarzenia z roku 1939, a zabudowania radiostacji są częścią Muzeum Gliwic. Radiostacja jest wpisana do rejestru zabytków pod numerem 694/64. Obecnie w kategorii wysokości budowli drewnianych wieża gliwickiej radiostacji zajmuje pierwsze miejsce na świecie i jest obiektem kandydującym do zaszczytnego miana nowego cudu Polski w rankingu National Geographic Traveller. I taka to dziwna historia, o której należy mówić i mówić...

Przypisy:

[1] Urodzony w 1892 r. w Chorzowie. Uczestnik I wojny światowej. W latach 1919-1921 członek Freikorpsu; nauczyciel z Łagiewnik, Bytomia i Mikulczyc. Organizator i kustosz Oddziału Przyrodniczego Muzeum Krajowego w Bytomiu; członek NSDAP i Obersturmführer SS (oficer Fussstandarte 23 z Bytomia).

[2] Podobno planowano przeprowadzenie około 200 takich akcji; Himmler zażądał od szefa Abwehry Wilhelma Canarisa wydanie około 150 polskich mundurów, które miały być użyte w prowokacjach nadgranicznych; niektórzy piszą, że były to mundury WP, inni twierdzą, że paramilitarnych oddziałów powstałych na bazie kombatantów powstań śląskich; podejrzewa się, że Niemcy chcieli sprowokować Polaków do działania przeciwko niemieckiej mniejszości narodowej mieszkającej w Polsce, na czym Hitlerowi z przyczyn propagandowych bardzo zależało. Często można spotkać informację, że ciała porzucone w polskich mundurach w różnych niemieckich prowokacjach granicznych to kryminaliści z niemieckich obozów koncentracyjnych; nie wiem skąd u piszących taka pewność.

[3] Jako zamieszanych w akcję wymienia się również Heinza Josta i Herberta Mehlhorna (powieszony w Polsce w 1947 r.). Wiadomo, że Mehlhorn nadzorował akcję w Stodołach; Naujocks twierdził, że w planowanie operacji zamieszany był przewodniczący mniejszości niemieckiej w Polsce Otto Ulitz (1885-1972), który od 1933 r. współpracował z SD; Ulitz doskonale znał Gliwice, więc miał pełnić funkcję doradcy. O operacji powiadomiony był admirał Canaris, gen. Erwin Lahousen (kier. Wydziału II Abwehry; dostarczył polskie mundury, ekwipunek i książeczki wojskowe) i szef OKW gen. Wilhelm Keitel. Abwehra zgodnie z taktyką Heydricha nie była zaznajomiona ze szczegółami tych akcji; podobno Canaris był przeświadczony, że wybranym więźniom obozów koncentracyjnych kazano się przebrać w polskie mundury i dokonać napadu na gliwicką radiostację.

[4] Jednym z nich był 43-letni Franciszek Honiok, były powstaniec śląski; stał się pierwszą ofiarą II wojny światowej; mieszkał we wsi Łubie (niem. Hohenlieben) niedaleko Pyskowic, po niemieckiej stronie granicy. 30 VIII 1939 r. został aresztowany przez SS; prawdopodobnie po 20:00 odurzonego środkami przewieziono do budynku gliwickiej radiostacji (co świadczy o większej liczbie uczestników akcji) i zabito strzałem w tył głowy (prawdopodobnie przed wejściem do gmachu radiostacji); martwego sfotografowano w reżyserce na tle maszynowni, a ciało porzucono; jego personalia udało się ustalić dopiero w latach 90. Przed budynkiem podobno sfotografowano jeszcze dwie martwe osoby, najprawdopodobniej w polskich mundurach.

[5] Różne opracowania podają, że byli w polskich mundurach, jedynie Ryszard Kaczmarek twierdzi, że mieli cywilne ubrania, uszyte przez polskich krawców z Łodzi, co widać było na metkach; mieli również przy sobie polskie banknoty i inne przedmioty wskazujące na polskie pochodzenie.

[6] Dubiel podaje, że komunikat odczytywany był w ciągu 4 min. Gdyby tak było, właściwie powinien zostać odczytany w całości, co nie miało miejsca; podobno komunikat urywał się na słowach „Niech żyje Polska!" i odgłosach wystrzałów. Nie wiadomo, czy owa wersja wydarzeń nie powstała już po wojnie.

Literatura:

1. Praca zbiorowa, red. E. Chojecka, „Sztuka Górnego Śląska od średniowiecza do końca XX wieku", Katowice 2004
2. R. M. Dederichs, „Heydrich. Twarz zła", Wydawnictwo Dolnośląskie
3. P. Dubiel, „Wrzesień 1939 na Śląsku", Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1960
4. R. Gehlen, „Sensacyjne wspomnienia szefa wywiadu", Warszawa 1993
5. R. Kaczmarek, „Górny Śląsk podczas II wojny światowej", Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2006
6. L. Kessler, „Heydrich posłaniec śmierci", Warszawa 2000
7. W. Kozaczuk, „Wojna w eterze", Warszawa 1982
8. H. Racki, „Śląski wrzesień", Wydawnictwo MON, Warszawa 1970
9. A. Ramme, „Służba bezpieczeństwa SS", Warszawa 1984
10. W. Schellenberg, „Wspomnienia", Wrocław 1987
11. J. Schmidt, „Historia gliwickich radiostacji. Gospodarcze i kulturalne znaczenie tej instytucji dla rozwoju Gliwic oraz Ziemi Gliwickiej", Gliwice 2009

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium"

„Wojna dorszowa"

Pogromca fregat z Gdyni

TEKST: KRZYSZTOF KUBIAK
ZDJĘCIA: INTERNET

Historia budownictwa okrętowego i dzieje wojen morskich dostarczają wielu przykładów zmiany głównego przeznaczenia jednostek pływających rozmaitych klas i typów, z komercyjnych na wojenne i *vice versa*. Przykładowo: po zakończeniu I wojny światowej amerykański pancernik Kearsage przeistoczył się w pływający dźwig, niemieckie pancerniki obrony wybrzeża: Frithjof, Odin, Aegir w motorowce do przewozu ciężkiej drobnicy, zaś kadłuby niedokończonych niemieckich U-Bootów stały się elementami konstrukcji niemieckich zbiornikowców Oberschlesien i Ostpreussen. Podobny proces zachodził po zakończeniu II wojny światowej. Na statki pasażerskie i frachtowce przebudowywano lotniskowce eskortowe (budowane zresztą w większości na kadłubach jednostek handlowych). Do nowych zadań przysposobiono również część, zbędnych po zakończeniu działań, mniejszych okrętów i nieukończonych lekkich jednostek, które koniec wojny zastał na stoczniowych pochylniach. Z tego źródła kilka jednostek pozyskała również polska flota handlowa, np. znany w latach 50. i 60. statek białej floty „Panna Wodna" był przebudowanym niemieckim trałowcem M 259, zaś inną jednostkę wycieczkową – „Julię" budowano początkowo jako niemiecki ścigacz torpedowy. Przez krótki czas, do momentu przejęcia przez Polską Marynarkę Wojenną, cywilną służbę jako promy, barki i pomocnicze jednostki taboru portowego pełniły byłe amerykańskie małe okręty i kutry desantowe dostarczone Polsce w ramach dostaw UNRR-y oraz zdobyczne niemieckie i włoskie środki desantowe. O ile przebudowa okrętów na cywilne jednostki miała zazwyczaj miejsce po zakończeniu wojen, kiedy floty przechodząc na organizację czasu pokoju wyzbywały się zbytecznych jednostek, proces odwrotny, to jest adaptacja statków cywilnych do wykonywania zadań bojowych, zachodził zwykle bezpośrednio przed lub bezpośrednio po wybuchu wojny. W epoce flot żaglowych statki adaptowane były na okręty korsarskie. Później wielkie statki pasażerskie i duże frachtowce przystosowywano do wykonywania zadań w ochronie żeglugi własnej lub do zwalczania komunikacji przeciwnika. Były to tzw. krążowniki pomocnicze. Mniejsze jednostki, zwłaszcza rybackie, dysponujące dużą dzielnością morską przekształcane były w eskortowce i okręty trałowe. Szczególnym przypadkiem wykorzystywania statków handlowych było przebudowywanie ich na tzw. statki pułapki oraz zabudowywanie na ich kadłubach atrap ciężkich okrętów (ten ostatni sposób dezinformowania przeciwnika z powodzeniem zastosowali Brytyjczycy zarówno podczas I jak i II wojny światowej). „Bojowe" epizody nie ominęły również statków budowanych w okresie powojennym w polskich stoczniach. Jednym z najciekawszych, a jednocześnie mniej znanych epizodów tego rodzaju, jest służba trawlera Baldur w islandzkiej Straży Wybrzeża.

W cywilnej szacie – „Panna Wodna", czyli były niemiecki trałowiec M 259.

W czasie kryzysu międzynarodowego, którego przyczyną było rozciągnięcie przez Islandię swojej wyłącznej strefy rybołówstwa na 200 mil morskich, co z kolei skutkowało odcięciem rybaków brytyjskich od ich tradycyjnych łowisk, doszło do konfrontacji między islandzką Strażą Wybrzeża (będącej *de facto* cywilną formacją policyjną), a brytyjską Royal Navy. Marynarka brytyjska skierowała bowiem na wody islandzkie fregaty z zadaniem ochrony własnych trawlerów. W czasie trwania konfliktu, na północnych wodach operowało łącznie 30 fregat, które spędziły tam 89 tygodni. Mimo, że mający miejsce na Północnym Atlantyku wzrost napięcia nazywano w mediach „wojną dorszową", w jego trakcie sporadycznie jedynie dochodziło do użycia broni, zaś podstawowym „środkiem walki" było niszczenie narzędzi połowowych – przecinanie lin holowniczych włoków za pomocą specjalnych, holowanych przez islandzkie patrolowce, ostrzy. Powszechne było też prowokowanie kolizji między okrętami brytyjskimi a islandzkimi patrolowcami. Oba antagonistyczne państwa unikały przy tym sytuacji mogących prowadzić do zbrojnych incydentów, np. na okrętach brytyjskich chroniących jednostki rybackie nie wolno było obracać armat i wyrzutni rakietowych w kierunku islandzkich patrolowców. Wypadki ostrzelania brytyjskich holowników przez jednostki islandzkie miały charakter jednostkowy, a i wówczas używano pocisków

Lodowe wzmocnienia kadłuba i solidna część rufowa były głównymi atutami Baldura w konfrontacji z brytyjskimi fregatami.

Nadbudówka Baldura sfotografowana z pokładu brytyjskiej fregaty. Zdjęcie pozwala uzmysłowić, jak ekstremalnie blisko manewrowały okręty podczas „wojny dorszowej".

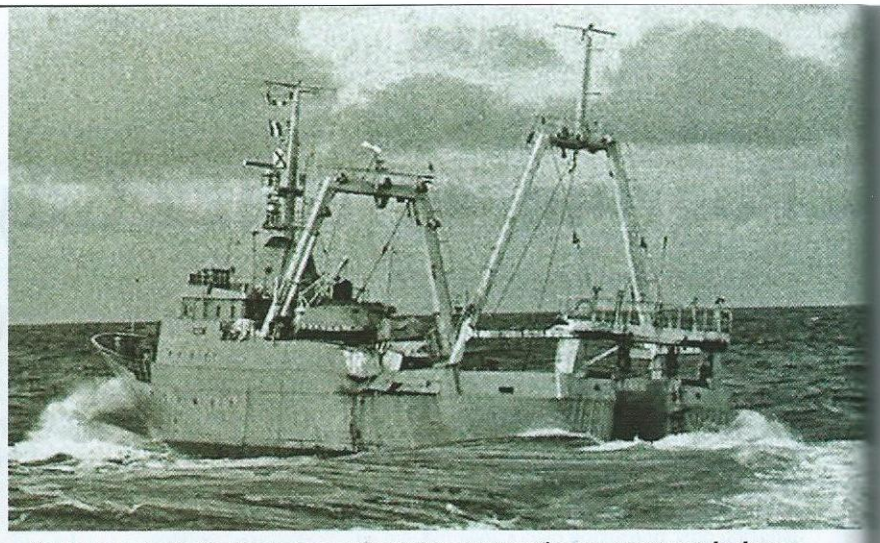

Baldur w trakcie ciasnego zwrotu po zerwaniu, za pomocą holowanego przecinaka, lin holowniczych włoka brytyjskiego trawlera.

litych, a nie, znacznie groźniejszej, amunicji eksplodującej. Podstawowym sposobem walki było – jak już wspomniano – takie manewrowanie patrolowców islandzkich i brytyjskich fregat, w trakcie którego okręty brytyjskie starały się odciąć Islandczykom dostęp do zajętych połowem trawlerów, a nawet swoista „walka kadłubem". Wielokrotnie dochodziło wówczas do kolizji. Łącznie Royal Navy zanotowała w trakcie „wojny dorszowej" 46 takich przypadków. Prowokowanie kolizji przez Islandczyków wzmogło się po wejściu do służby patrolowca Baldur. Był on szczególnie predestynowany do takiego sposobu działań. Dysponując mocną konstrukcją ze wzmocnieniem lodowym oraz wzmocnioną rufą, nie obawiał się dziobów brytyjskich fregat. Solidna konstrukcja rufy umożliwiała mu nawet stosowanie bardzo specyficznej taktyki, która spędzała sen z powiek oficerom wachtowym na brytyjskich okrętach. Baldur mianowicie zbliżał się do chroniącej trawlery fregaty, po czym kładł się na kurs kolizyjny w taki sposób, by linie kursów przecinały się pod kątem 60-70°. Kiedy patrolowiec znajdował się przed dziobem brytyjskiego okrętu, wykonywał gwałtowny zwrot, ustawiając się do niego rufą i stopował maszyny lub znacznie zmniejszał prędkość. Fregata nawet jeżeli zdołała zastopować maszyny lub nawet przesterować siłownię na pracę wstecz, posuwała się jeszcze przez jakiś czas siłą bezwładności i uderzała dziobem w wyjątkowo solidną rufę Baldura. Islandzki patrolowiec nie odnosił zwykle w trakcie takiego *randevouz* poważniejszych uszkodzeń, zaś na fregatach sytuacja wyglądała różnie. Uderzenie czyniło zazwyczaj spustoszenia w rozmieszczonych w części dziobowej, delikatnych i kosztownych systemach hydroakustycznych, niekiedy konieczna była wymiana poszycia w części dziobowej. W dwóch przypadkach okręty odniosły uszkodzenia tak poważne, że musiały odejść na remont dokowy, w jednym po kolizji stwierdzono uszkodzenia linii wałów.

Baldur, ten najskuteczniejszy z islandzkich patrolowców, prawdziwy „pogromca fregat" zbudowany został w Polsce. Był jednym z siedmiu trawlerów rufowych projektu B-425 (typ Vigri), zbudowanych w latach 1972-74 w Stoczni im. Komuny Paryskiej z przeznaczeniem na eksport. Statek o nośności 460 ton i pojemności brutto 775 jednostek[1] (pojemność netto 250 jednostek), miał stalowy kadłub (ze wzmocnieniami lodowymi) o wymiarach: długość – 59,45 m; szerokość – 11,33 m; wysokość – 5 m. Zanurzenie – 4,6 m. Napędzany był jednym silnikiem wysokoprężnym o mocy 2 200 KM, zapewniającym mu prędkość 14,7 węzła. Załogę tworzyło 28 ludzi. Pierwszym amatorem statku było islandzkie przedsiębiorstwo połowowe Adalsteinn Loftsson z Dalvik. W 1974 roku został on wyczarterowany (a następnie prawdopodobnie kupiony) przez islandzką rządową agendę zajmującą się badaniami na rzecz rybołówstwa. W 1975 r. został przekazany islandzkiej Straży Wybrzeża. Wówczas to jednostka uzbrojona została w 57 mm armatę oraz najskuteczniejszą broń tej „wojny" – umieszczone na dziobie ostrze służące do przecinania lin holowniczych włoków brytyjskich trawlerów. Po zakończeniu „wojny dorszowej" Baldur powrócił do swoich cywilnych zajęć zaś roczniki flot przestały wykazywać go w składzie islandzkiej Straży Wybrzeża. W kolejnych latach był eksploatowany przez islandzkie firmy połowowe Erlingur oraz Thorhallur Danielsson. Ostatecznie, około roku 1992 trafił do Nowej Zelandii, gdzie po zakończonych fiaskiem próbach wykorzystania go zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, przebudowany został na kabotażowiec z możliwością przewozu żywych zwierząt. W lipcu 2011 r. nadal znajdował się w stanie zdatnym do żeglugi. Zauważyć przy tym można, że Baldur był jedynym statkiem rybackim zbudowanym w Polsce, który trafił pod banderę sił morskich lub formacji policyjnych innych państw.

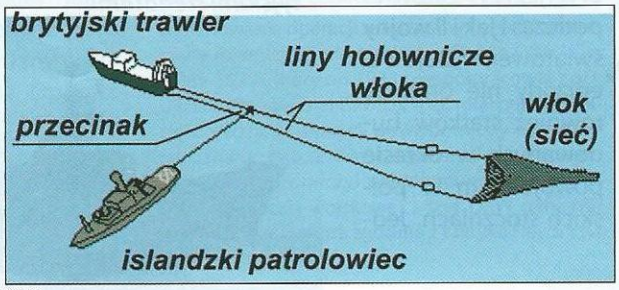

Niszczenie narzędzi połowowych brytyjskich trawlerów poprzez przecinanie lin holowniczych włoków (sieci).

Przypis:
[1] Jednostka pojemności, dawniej stosowano określenie „tona rejestrowa" to 2,83 m³ (100 stóp sześciennych)

Krzysztof Kubiak
Komandor, porucznik rezerwy, dr hab. prof. Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu. Pasjonują go wojny i konflikty zbrojne po II wojnie światowej, ale niekiedy – zwłaszcza w odniesieniu do zmagań morskich – ryzykuje również penetrowanie innych obszarów.

Anatol Sawicki – ostatni komendant lwowskiej Polski Podziemnej

Rozkazuję milczeć!

TEKST: JANUSZ SKOWROŃSKI
DOKUMENTY ZE ZB. RODZINNYCH P. ANNY PERLICEUSZ
ZDJĘCIA: ZB. RODZINNE, IPN O/WROCŁAW, AUTOR

Znany jako Jerzy Zarębski i Anatol Dębski. A także pod pseudonimami: „Chopin", „Cybulski", Dąb", „Józef", „Konar", „Kordecki", „Korona", „Kowalski", „Mars", „Matejko", „Młot", „Siwy", „Tarcza" i „Wiktor". To Anatol Sawicki, jeden z żołnierzy wyklętych. Człowiek, o którego po latach upomniała się historia.

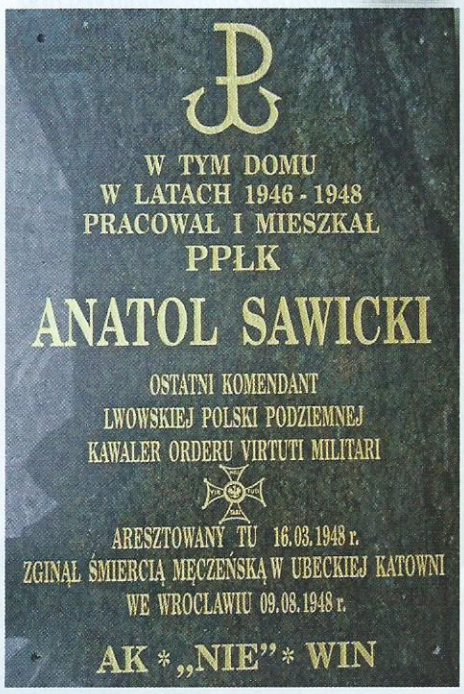

Jesień 1947 roku. Lubański Rynek z ulicą Szkolną łączą Tkacka, Mikołaja, i ta trzecia, w samym narożniku. Dziś o nazwie Zaułek, wtedy Łąkowa. Do zakładu fotograficznego L. Górczyńskiego na Łąkowej 1 wchodzi niespełna 50-letni mężczyzna. Ani on, ani fotograf nie wiedzą, że zdjęcie legitymacyjne, które za chwilę powstanie, będzie ostatnim tego typu wykonanym na wolności. Fotografowany mężczyzna nazywa się Anatol Sawicki i od pół roku pracuje jako księgowy w miejscowym Banku Gospodarstwa Spółdzielczego. To jego prawdziwe nazwisko. Wcześniej używał dwóch innych, a także czternastu konspiracyjnych pseudonimów. Dużo, jak na jedną osobę. To dowódca podziemnego Okręgu Lwowskiego AK-WiN, który nie złożył broni. Na Dolnym Śląsku odtwarza eksterytorialne struktury V. Dywizji Lwowskiej AK. Jest w stopniu podpułkownika. Wśród odznaczeń ma ten najważniejszy – przyznany przez dowództwo AK – Krzyż Orderu Virtuti Militari.

Biografia Anatola Sawickiego jest pełna sprzeczności. W konspiracji silnie działała tzw. komórka legalizacyjna AK, zmieniająca nie tylko dokumenty, także tożsamość oficerów podziemia i ich rodzin. Przyjmuje się, że urodził się 14 X 1898 r. w Warszawie, choć niekiedy podaje się rok wcześniejszy, a jako miejsce urodzenia Odessę. Ale tam urodził się Wiktor, jeden z pięciu braci Anatola. Rodzina Sawickich pochodziła z Zaklikowa, gdzie posiadała niewielki majątek ziemski. Leon Sawicki, ojciec, był z zawodu architektem. W Odessie Anatol ukończył 4 klasy szkoły podstawowej (1905-1909) i 8 klas III Gimnazjum Państwowego (1909-1916). Od VIII 1916 do III 1918 r. służył w armii rosyjskiej, w 48. Zapasowym Pułku Piechoty, potem w I. Korpusie I. Pułku Saperów. Od XI 1918 r. był w Kijowie członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Na okres XI 1918 – II 1919 przypada służba w zbrojowni twierdzy modlińskiej, a następnie (do VII 1919) w Szkole Podoficerskiej Artylerii w Rembertowie. W 1919 bierze udział w obronie Lwowa przed Ukraińcami, a 1920 w wojnie polsko-bolszewickiej. Za bitwę pod Zamościem odznaczony zostaje Krzyżem Walecznych (część źródeł podaje, że odznaczenie to otrzymał za obronę Lwowa). Maturę zdaje w II Państwowym Gimnazjum we Lwowie (VII 1921) i służy w 10. Pułku Artylerii Konnej. W latach 1922-1924 studiuje w Oficerskiej Szkole Artylerii w Bydgoszczy (wg innych źródeł – w Toruniu), którą kończy w stopniu podporucznika. Zostaje skierowany do 22. Pułku Artylerii Lekkiej w Rzeszowie, gdzie służy na różnych stanowiskach. W 1926 r. awansuje na porucznika. Choć nie wspomina o tym żadna biografia, w życiu Sawickiego pojawia się jeszcze jedna miejscowość – Gródek Jagielloński. Niedaleko, bo w Rodatyczach 10 V 1908 r. na świat przyszła Emilia Ostrowska, późniejsza Sawicka. *„Szkołę średnią ukończyłam w Gródku Jagiellońskim. Za mąż wyszłam 8 lutego 1929 roku za porucznika W.P. stacjonującego w Gródku Jagiell.*[ońskim] *Anatola Sawickiego. Stąd mąż został przeniesiony do 28 P.A.L. do Zajezierza k/ Dęblina. Tam mieszkaliśmy do wybuchu wojny 1939 r."* – wspominała Emilia Sawicka[1]. W 1936 roku Sawicki awansuje na kapitana. W kampanii wrześniowej, jako dowódca dywizjonu artylerii Podlaskiej Brygady Kawalerii, walczy z Niemcami w rejonie Warszawy. Trafia do niewoli. *„Pod koniec 1939 r. spotkałam się z mężem, który uciekł z niewoli niemieckiej. Razem wyjechaliśmy do wsi Płonka woj. lubelskie, gdzie mąż występował w charakterze kupca i usiłował handlować art. włókienniczymi. Tutaj też rozpoczęła się nasza praca konspiracyjna"* – pisała dalej Sawicka. Anatol Sawicki vel Jerzy Zarębski wstąpił na początku 1940 r. do Związku Walki Zbrojnej, organizując oddziały dywersyjne w rejonie Krasnegostawu i obejmując funkcję komendanta obwodu. Ta działalność dała się we znaki Niemcom. *„Po pewnym czasie mąż został przeniesiony do Krasnegostawu a następnie do Radomia. W tym czasie był już przez Niemców poszukiwanym. Nazywali go »wściekłym psem«, a za jego głowę wyznaczona była wysoka nagroda pieniężna. Dodatkowo rozpoznawany był przez obecność z nami naszej nieletniej córki Anny, którą zmuszeni byliśmy ulokować u mojej matki*[2]*. Sami dalej działaliśmy w konspiracji. Mąż został komendantem Inspektoratu ZWZ-AK w Chełmie. W 1943 roku przeniesiono nas do Lwowa".* Była to decyzja Komendy Głównej AK, bo wokół Sawickiego robiło się niebezpiecznie i w każdej chwili mogło dojść do aresztowania. Komendant Okręgu AK Lwów ppłk Adolf Galinowski („Andrzej") powierzył Sawickiemu funkcję komendanta Inspektoratu AK Lwów-Południe, będącego w fazie organizacji. *„Ja też nieprzerwanie pracowałam w konspiracji* – pisała żona. – *Między innymi przenosiłam pocztę z punktów kontaktowych (Kurkowa 27, Łyczakowska 4, Żulińskiego) dla Komendy Inspektoratu AK. Także pomagałam mężowi w pracach*

W roku 1924 ppor. Sawicki został skierowany do 22. Pułku Artylerii Lekkiej w Rzeszowie (zb. rodzinne).

konspiracyjnych zgodnie z jego wytycznymi (...)". O Anatolu Sawickim pisał jeden z jego podkomendnych: *„(...) poznałem* [go] *w styczniu 1943 r. w dowództwie Inspektoratu AK Lwów Południ.--Wschód, jako komendanta Inspektoratu na odprawie w sprawie organizacji oddziału Kedywu w Obwodzie AK Przemyślany. Od tej pory, jako oficer operacyjny, później d-ca oddziału, składałem systematyczne meldunki o działalności oddziału. Od czerwca 1944 r. do końca lipca 1944 r. jako oficer do zadań specjalnych V--tej Dywizji AK Zgrupowania Wschód, którego dowódcą był mjr/ppłk Anatol Sawicki, spotykałem się z nim prawie codziennie*[3]*".* Już w III 1943 r. w porozumieniu z Komendą Okręgu Sawicki zorganizował oddział Kedywu[4] w lasach Hanaczowa i Świrza (I. kompania 40. pp). Oddział przeprowadzał liczne akcje dywersyjne na posterunki policji, wysadzał transporty kolejowe ze sprzętem wojskowym, głównie na linii Lwów-Podhajce pod Ładohowem, niszczył transporty samochodowe (pod Słowitą). Sawicki wydał rozkaz organizacji samoobrony ośrodka Hanaczów, gdzie przed bandami nim nadeszły wojska radzieckie, oddziały dowodzone przez niego wyzwalały rejony Starego Sioła, Świrza i Bóbrki. Ratował z opresji okrążony oddział radziecki pod Wodnikami. Poczynania NKWD i rozbrajanie jednostek polskich w rejonie Starego Sioła, zmusiły Sawickiego do wycofania części oddziałów na zachód, za San, i oczekiwaniu dalszych rozkazów. On sam, po wkroczeniu wojsk sowieckich nie ujawnił się. Mimo rozwiązania przez gen. Władysława Filipkowskiego podległych sobie oddziałów AK, Sawicki podjął jeszcze bardziej zakonspirowaną działalność w Organizacji „NIE" (Niepodległość), gdzie został szefem sztabu Okręgu Lwów, a na przełomie sierpnia i września 1944 r. komendantem Okręgu Lwów „NIE". Zabezpieczał archiwa i magazyny broni, organizował siatkę łączności, zaprzysięgał ludzi do nowej konspiracji. 16 IV 1945 r. Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie awansował go do stopnia podpułkownika i odznaczył Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. W październiku 1945 r. został komendantem całego Obszaru Południowo-Wschodniego „NIE" (w skład którego wchodziły byłe Okręgi AK, później „NIE" – lwowski, tarnopolski i stanisławowski). Po wydaniu rozkazów demobilizacyjnych zorganizował i przeprowadził ewakuację części żołnierzy lwowskiej AK do Polski. Sam tropiony przez NKWD 7 XII 1945 r. ewakuował się ze Lwowa do Polski w wagonie z grupą ojców franciszkanów. Zamieszkał (jako Anatol Dębski) w Krakowie przy Szpitalnej 34. Od tego czasu (XII 1945) szef Sztabu PSZ na Zachodzie gen. Stanisław Kopański powołał Sawickiego na komendanta I. Brygady Eksterytorialnego Okręgu WiN Lwów z siedzibą w Krakowie. Formalnie była to I. Brygada Kadrowa V. Dywizji Lwowskiej, składająca się z trzech pułków i 13-osobowego sztabu. *„2 listopada 1946 roku, po przekazaniu poczty z Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, zostałem przedstawiony podpułkownikowi Anatolowi Sawickiemu ps. »Cybulski«.*

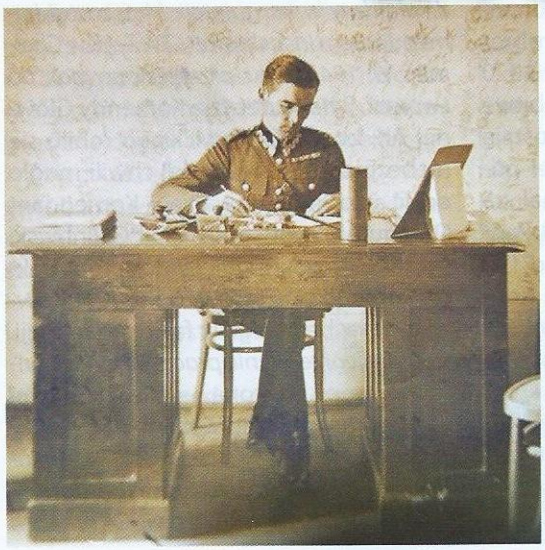

Gródek Jagielloński, 1929. Tu A. Sawicki poznał swoją żonę. Na zdjęciu u góry – rok 1932, z Emilią w Dęblinie (zb. rodzinne).

UPA obroniło się ok. 2500 Polaków. Kiedy nie było możliwości skutecznej obrony przed Niemcami i UPA, zarządzał ewakuację do większych ośrodków. W XI 1943 r. Anatol Sawicki rozkazem Bora-Komorowskiego otrzymał awans na stopień majora AK. Podczas Akcji „Burza", w lipcu 1944 został dowódcą zgrupowania „Wschód". Za-

Wtedy też zostałem przez niego mianowany na stanowisko komendanta Rejonu WiN Wielopolska. Spotykałem go kilkakrotnie na odprawach we Wrocławiu i okolicy Wrocławia" – pisał jeden z oficerów Polski Podziemnej[5]. Pod koniec 1946 r. w konspiracji podległej Sawickiemu działało już ponad 1100 ludzi. Zachodziło realne niebezpieczeństwo dekonspiracji, wokół dochodziło do licznych aresztowań. Z Krakowa, gdzie w międzyczasie ukończył kurs księgowego, wyjechał na Dolny Śląsk. Chcąc „spalić" adres krakowski, podziemna komórka legalizacyjna zameldowała go w Sobieszowie koło Jeleniej Góry. Z takim „meldunkiem" Sawicki przybył z Krakowa wprost do Lubania, było to 17 IV 1947 roku. Tu, w banku, podjął pracę księgowego. Nadal utrzymywał w gotowości całą strukturę organizacyjną Eksterytorialnego Okręgu Lwowskiego AK-WiN, głównie przez punkty kontaktowe we Wrocławiu, na Dolnym i Górnym Śląsku. Nie bez znaczenia był wybór miejsca zamieszkania, w okolicy osiedliło się wielu podkomendnych Sawickiego, znanych jeszcze z Hanaczowa.

Lubań. 16 III 1948 r. komendant Sawicki zostaje aresztowany w swoim miejscu pracy. Jego bank mieści się na Magistrackiej 9b. Nad bankiem, na piętrze ma mieszkanie, gdzie czeka żona i córka. Ale Sawicki już tam nie dociera. Justyna Uryga (ps. „Maria") i jej mąż Wojciech (ps. „Wojcio") także znani byli Sawickiemu jeszcze z Hanaczowa na Kresach. Teraz mieszkali po sąsiedzku na Magistrackiej 7, gdzie zorganizowano punkt kontaktowy dla całego Okręgu. Wojciech pracował w banku jako palacz, jego żona była w tym samym banku sprzątaczką. Justyna Uryga tak zapamiętała sam moment aresztowania: *„Przyszłam do banku jak zawsze około godz. 16:30 i zatrzymałam się w holu banku, w którym było jeszcze kilkoro ludzi. Po kilku minutach do holu weszło sześciu oficerów. Jeden zamknął drzwi na zasuwkę, bo nie było klucza. Dwóch legitymowało zatrzymanych ludzi, a jeden, chyba najważniejszy, słabo mówiący po polsku, stał pod oknem i wszystko obserwował.*[6] *Piąty podszedł do okienka kasowego i rozmawiał z kasjerem, którego później aresztowali. Po wylegitymowaniu wszystkich zwolniono, mnie nie legitymowali, powiedziano mi żebym szła do domu, a sprzątać będę później i żebym nikomu nic nie mówiła. Jak wyszłam z holu, widziałam, że przy schodach prowadzących na piętro też stało dwóch żołnierzy z bronią".*

W banku, na kawałku papieru Sawicki kreśli kilka słów i podaje ubekowi. To prośba do żony o spakowanie niezbędnych na drogę rzeczy. *„Kochanie! wydaj buty, ciepłe skarp.*[ety], *ręcznik, mydło, grzebień, papierosy i zapałki. Wszystko zapakuj. Całuję Was gorąco Tolek".* Jedyne słowo „gorąco" jest umieszczone nienaturalnie z boku podpisu. Emilia Sawicka wtajemniczona od lat w sprawy konspiracji męża, natychmiast zauważa, że to ostrzeżenie. Ma złe przeczucia. W mieszkaniu nad bankiem pozostają ubecy. Trzech ludzi przez 4 godziny przeprowadza szczegółową rewizję. *„W tym czasie byłam w mieszkaniu ze swoją mamą* – zapisała córka Anna. *– Zabrali wszystkie zdjęcia przedwojenne i z okresu wojny oraz dokumenty, w tym dużo fałszywek. Na moją prośbę zostawili kasetkę z kilkoma zdjęciami. Mnie udało się ukryć jedną fałszywkę dokumentu ojca".* Jeden z ubeków zabezpieczających klatkę schodową nie dopuszcza, aby ktokolwiek z rodziny miał kontakt z Sawickim i sam znosi na dół przygotowane przez żonę rzeczy. W nich powraca na dół napisana „gorąca" kartka. Sawicki ją zatrzymuje.

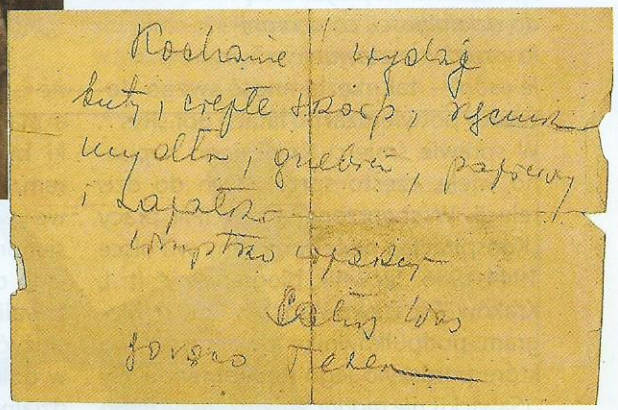

Ostatnie przed aresztowaniem zdjęcie Anatola Sawickiego, wykonane w Lubaniu i napisana w dniu aresztowania prośba do żony o wydanie ciepłej odzieży i innych osobistych rzeczy (zb. rodzinne).

Dotychczasowa biografia pułkownika podaje, że natychmiast po aresztowaniu został przewieziony do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Ale to nieprawda. Przeczy temu... odwrotna strona kartki Sawickiego o wydanie rzeczy. Na niej kolejny zapisek pułkownika: *„Stwierdzam, że od urzędnika Urzędu Bezp.*[ieczeństwa] *otrzymałem 500 zł i 2 paczki papierosów. Tolek 23.III.48".* I poniżej, już innym atramentem, dopisek do córki: *„Tuśka całuję Cię i mamę serdecznie".* Nie należy wykluczyć, że czas aresztowania pomiędzy 16 a 23 marca Sawicki spędził w lubańskim więzieniu UB. Potwierdza to jego córka[7]. W każdym razie, po pewnym czasie ubek powrócił z kartką na Magistracką 9b w Lubaniu, by oddać ją żonie. Pewnie nie bezinteresownie, może Sawicki zapłacił mu otrzymanymi pieniędzmi? We Wrocławiu bezpieka robi mu trzy zdjęcia – z profilu, z przodu, w płaszczu i kapeluszu. Są ostatnimi zdjęciami pułkownika. Wszystko oznacza wspólną sygnaturą: „WUBP 214/48".

Pięć miesięcy później lwowski komendant Polski Podziemnej zostaje zamordowany we Wrocławiu. Krótko przed śmiercią, po kolejnym dniu ciężkich przesłuchań, na korytarzu ubeckiej katowni do rozpoznanej szefowej łączności, kierowniczki swojej kancelarii z konspiracji, Zofii Orliczowej, zdąży wypowiedzieć zaledwie dwa słowa: *„Rozkazuję milczeć!".*

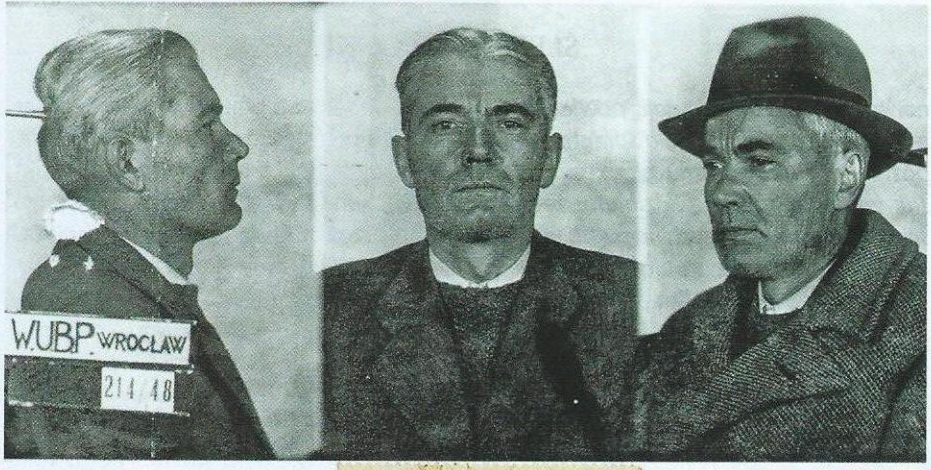

Zdjęcia Sawickiego po aresztowaniu wykonane przez WUBP we Wrocławiu i notatka żony o śmierci i pogrzebie (zb. IPN, zb. rodzinne).

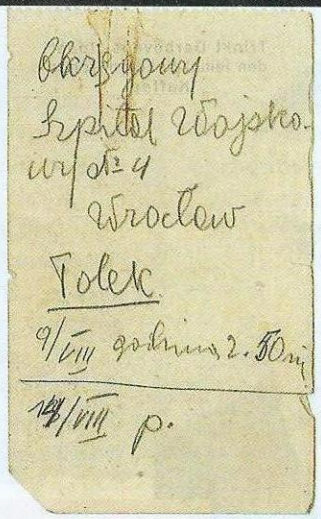
Okręgowy
Szpital Wojsko.
wr. nr 4
Wrocław
Tolek
9/VIII godzina 2.50 m
14/VIII p.

„Jako komendant Eksterytorialnego Okręgu WiN Lwów z siedzibą początkowo w Krakowie, a następnie we Wrocławiu, działał w kierunku rozszerzenia terytorialnego i kadrowego podległej mu organizacji. Właściwego działania jednostek i dobrego wyszkolenia żołnierzy wchodzących w ich skład. Aresztowany i maltretowany w czasie śledztwa nie przyznał się do działalności, co uchroniło przed aresztowaniem wiele osób" – tak niezłomność swego dowódcy potwierdzał po latach por. „Ryś"[8]. W sprawie śmierci Sawickiego napisano wiele, często sprzecznych do dziś relacji. W stworzonej przez IPN pracy „Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944-1956. Słownik biograficzny" (t. I, Kraków-Warszawa-Wrocław 2002) biogram podpułkownika zawiera zdanie, które poruszyło jego podkomendnych: „[Sawicki] *nie mogąc znieść dalszych tortur wykorzystał nieuwagę przesłuchujących i wyskoczył przez okno z III piętra na dziedziniec budynku"*. Czy był w stanie wyskoczyć, skoro świadkowie relacjonowali, że był zawsze tak skatowany, iż strażnicy wlekli go po schodach do celi? No a przede wszystkim każdy, kto ma pojęcie o więzieniach śledczych tamtych lat wie, że wszystkie okna były w nich okratowane i dodatkowo zabezpieczane siatką, a plac na dole wybetonowany. Sawicki był zbyt uzdolnionym konspiratorem, który przez lata wojny nie dał się we Lwowie złapać ani Niemcom, ani Rosjanom. Taki czyn byłby zaprzeczeniem jego osobowości i honoru – argumentowali podkomendni. Okno musiało posłużyć oprawcom z UB za „argument" w dokumentacji, by uniknąć odpowiedzialności za śmierć przesłuchiwanego w czasie śledztwa więźnia. 8 VIII 1948 r. przesłuchiwano go szczególnie okrutnie. Podczas tortur miał pęknięty staw nadgarstka prawej ręki i trzy żebra wbite w wątrobę, co musiało być skutkiem kopania po jamie brzusznej, rany po obcasach butów na klatce piersiowej i zadrapania prawego policzka. 10 sierpnia Emilia Sawicka zawiadomiona została przez UB w Jeleniej Górze (mieszkała wówczas u rodziny w Sobieszowie), że ma natychmiast stawić się w Prokuraturze Wojskowej we Wrocławiu. Po przybyciu poinformowano ją o śmierci męża. Zachowana w rodzinnych zbiorach notatka żony podaje precyzyjnie miejsce i czas zgonu: *„Okręgowy Szpital Wojskowy Nr 4 Wrocław. Tolek 9/VIII godzina 2:50 min."*. Zaś pod kreską zaplanowaną datę pochówku: *„14 p.*[ogrzeb]". Pierwotnie pogrzeb miał się odbyć 13 VIII, jednak dopiero tego dnia USC we Wrocławiu wystawił akt zgonu. Sawicka w wielkiej tajemnicy dowiedziała się od lekarza wykonującego obdukcję, jakich obrażeń doznał jej mąż. W trakcie przygotowywania zwłok do pochówku, rodzina nie stwierdziła żadnych złamań kończyn i uszkodzeń czaszki, co przeczy wersji o samobójczym skoku przez okno, czy wyrzuceniu przez nie ciała już po śmierci[9].

Lubań, 1 III 2013. W Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych Anna Krekora i Jerzy Perliceusz, wnukowie Anatola Sawickiego, odsłonili pamiątkową tablicę.

12 sierpnia Emilia i Anna Sawickie odebrały ciało męża i ojca. Było już w lekkim rozkładzie, ubrane w marynarkę i sweter. Te same, które widnieją na ostatnich, wykonanych w WUBP zdjęciach podpułkownika. Odzież nosiła ślady zakrzepłej krwi. W kieszeni marynarki obie kobiety znalazły różaniec wykonany z chleba i nitek wyprutych z odzieży. Był także zakrwawiony. Przez lata rodzina była nieustannie inwigilowana i szykanowana. Sawicki spoczął na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu. – *W czasie pogrzebu ona* [córka] *i Emilia Sawicka były śledzone, zakazano im mówienia na ten temat i nie podano przyczyny, z powodu której zginął Sawicki* – mówił w czerwcu 1965 roku adwokat T. Chronowski, gdy przed wrocławskim sądem rozpoczynał się proces rehabilitacyjny komendanta. Chichot historii odezwał się ledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy to Zarząd Główny Związku Bojowników o Wolność i Demokrację przesłał do… Anatola Sawickiego pismo, w którym zawiadamiał go *„o zweryfikowaniu odznaczenia V.*[irtuti] *M.*[ilitari] *V kl.*[asy] *nadane Obywatelowi w okresie okupacji przez D-two AK. (…) O terminie wręczenia legitymacji zostanie Obywatel powiadomiony oddzielnym pismem"*.

Gdy 19 XI 1987 roku ekshumowano Anatola Sawickiego na cmentarz w Wieluniu, przyjrzano się jego szczątkom. Kości uległy już rozkładowi, zachowała się jedynie w całości czaszka, bez żadnych

uszkodzeń, z czupryną siwych włosów. Co potwierdzało wcześniejszą obdukcję i przeczyło tezie o samobójczej śmierci pułkownika. Kilka miesięcy po śmierci Sawickiego, w styczniu 1949 r. Zofia Orlicz, która usłyszała jego ostatni rozkaz, w procesie działaczy Okręgu Lwowskiego AK-WiN otrzymała wyrok 12 lat więzienia. Szef garnizonu Okręgu – mjr Marian Jędrzejewski – trzykrotną karę śmierci, zamienioną dopiero przez Bieruta w wyniku „aktu łaski" na dożywotnie więzienie (3 V 1949), a Gerard Mościcki, płatnik Okręgu, wyrok 15-lat więzienia. 11 XI 2006 r. Prezydent RP Lech Kaczyński nadał pośmiertnie Anatolowi Sawickiemu Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Ostatni komendant lwowskiej Polski Podziemnej został upamiętniony w Lubaniu. Na budynku domu, gdzie pracował, mieszkał i został aresztowany Anatol Sawicki (dziś ul. Bankowa 9b) w obecności rodziny uroczyście odczytano apel poległych i odsłonięto tablicę pamiątkową, ufundowaną przez Stowarzyszenie Miłośników Górnych Łużyc. Po Wrocławiu, Zielonej Górze i Wieluniu to już czwarta, poświęcona Sawickiemu, tablica. Bodaj ta najważniejsza. Uroczystości miały miejsce 1 marca, podczas obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Dnia przywracania pamięci…

Przypisy:

[1] Rękopis życiorysu w posiadaniu Autora.

[2] Z tego okresu zachował się obrazek pierwszokomunijny córki na nazwisko Anna Dębska (Krasnystaw, 1941).

[3] Antoni Wojtowicz (por. „Darling", „Hanka"), oświadczenie świadka – kopia w posiadaniu Autora.

[4] Kedyw – skrót od: **Kie**rownictwo **Dyw**ersji Komendy Głównej AK – wydzielony pion organizacyjny AK do zadań dywersyjnych i sabotażowych.

[5] Jan Kudła (por. „Ryś"), oświadczenie świadka – kopia w posiadaniu Autora.

[6] Wywiad Okręgu AK-WiN poprzez swego informatora w WUBP szybko ustalił, że był to doradca NKWD w stopniu ppłk. Natychmiast zarządzono zmianę punktów kontaktowych dla oficerów sztabu Okręgu i ograniczono kontakty w dowództwie. Raport o aresztowaniu Sawickiego niezwłocznie przekazano do Londynu.

[7] Por. Anna Perliceusz: „W sprawie błędów w biogramach Anatola Sawickiego" [w:] „Zeszyty Historyczne WiN-u", nr 22/2004. Co ciekawe, zachowane dokumenty z pierwszych przesłuchań Sawickiego noszą sygnatury IPN-Kr. Nie należy wykluczyć, że mogły one odbywać się w Krakowie, skąd już jesienią 1946 roku wyszły pierwsze zagrażające całej oficerskiej konspiracji lwowskiej aresztowania. Wymaga to z pewnością dalszych badań.

[8] Jan Kudła, oświadczenie świadka – kopia w posiadaniu Autora.

[9] Niestety, wersja ta ciągle jest przypominana. Choć z niekonsekwencją w powoływaniu się na materiały UB, gdyż wcześniej podawano… wyższe piętro. *„8 sierpnia 1948 r. około godziny 16.30 z okna na II piętrze WUBP we Wrocławiu wyskoczył na wewnętrzny dziedziniec więzień zmasakrowany w śledztwie trwającym pięć miesięcy. W stanie agonalnym został odwieziony do Polikliniki UB, a następnie do szpitala. Umieszczono go w izolatce pod strażą ubowców. »Nieprzytomny, sińce, tętno miarowe, oddech powierzchowny, klatka piersiowa po lewej stronie zapadnięta« – odnotowano w dokumentacji lekarskiej. »Znajdując się w Szpitalu Wojskowym usiłował zerwać bandaże, którymi została unieruchomiona jego klatka piersiowa, po czym kiedy doktor spytał, dlaczego targnął się na swoje życie, Sawicki Anatol odpowiedział, że tak chciał« – napisał w raporcie specjalnym Kazimierz Cessanis, ubowiec, który jako ostatni przesłuchiwał więźnia. Zmarł on 9 sierpnia 1948 r. o godz. 2.50 w nocy".* Por. Tomasz Balbus: „Niezłomny do końca" [w:] „Rzeczpospolita" z 30.03.2011, seria „Żołnierze wyklęci". Szkoda, że T. Balbus nigdy nie odniósł się do podważających tę wersję krytycznych uwag Antoniego Wojtowicza (oficera da zadań specjalnych ze sztabu Sawickiego) i Anny Perliceusz (córki), opublikowanych na łamach „Zeszytów Historycznych" WiN-u, nr 22/2004.

Janusz Skowroński

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny, w tym najnowszej „Zapomniane tajemnice Karkonoszy".

REKLAMA

Legenda nie całkiem prawdziwej pustyni (cz. 2)

TEKST: TOMASZ RZECZYCKI
ZDJĘCIA: AUTOR, IWONA I PIOTR STERA

Pustynia Błędowska wykorzystywana była nie tylko jako poligon. Postrzegano ją również jako potencjalną, ogromną kopalnię odkrywkową piasku. Na schematycznej mapce zamieszczonej w przewodniku Piotra Przesmyckiego z 1908 r., zaznaczona jest bocznica kolejowa odchodząca od stacji Łazy, omijająca łukiem Niegowonice i prowadząca w rejon Błędowa i Skałbani, czyli w stronę północno-zachodniej części pustyni. Być może tą bocznicą armia niemiecka dowoziła na pustynię sprzęt wojskowy, sprawdzany tu przed wyprawą do Afryki. Od dawna bocznica nie istnieje, a sporym fragmentem jej śladu prowadzi szosa Łazy-Niegowonice. Można przypuszczać, że bocznicą tą transportowano piasek, kto wie, czy nie na potrzeby huty szkła w Zawierciu?

Spory apetyt na błędowskie piaski miało górnictwo węgla kamiennego, i to jeszcze w czasie przejściowego panowania Rosjan na tym obszarze. Piasek był jednym z najpowszechniejszych surowców używanych w kopalniach do zapełnienia pustek poeksploatacyjnych, co miało zapobiegać zapadaniu gruntu i szkodom górniczym. W 1910 r. powstało Towarzystwo Górniczo-Przemysłowe „Będzin-Olkusz". Jednym z głównych jego zadań miała być budowa normalnotorowych linii kolejowych z terenu dzisiejszego Sosnowca w rejon Olkusza i Kluczy, czy do Pustyni Błędowskiej. W 1913 r. na zlecenie tegoż Towarzystwa powstał projekt zbudowania linii kolejowej łączącej szyb „Ostatek" – wchodzący w skład kopalni „Renard" (późniejsza KWK „Stalin") – z okolicą wsi Klucze. Linia miała liczyć 42 km długości. Projekt, który przygotowała warszawska firma, zakładał budowę 54 obiektów inżynierskich, w tym trzech kamiennych mostów. Przewidywano budowę linii normalnotorowej z możliwością przebudowy na szerokotorową. Nie zrealizowano jej z powodu wybuchu Wielkiej Wojny w 1914 roku. Po wojnie nadal istniały plany eksploatacji Pustyni Błędowskiej. Jednak żadne z prywatnych przedsiębiorstw ich nie zrealizowało. Nie zrobiło tego Towarzystwo Eksploatacji Piasku z siedzibą w Czeladzi, jak również kolej piaskowa Towarzystwa „Hrabia Renard" nie dotarła w okolice Błędowa. Owszem, właściciele tej ostatniej kolei wespół z Towarzystwem Górniczo-Przemysłowym „Będzin-Olkusz" przymierzali się do eksploatacji piasku w okolicy Olkusza, ale w grę wchodziła Pustynia Starczynowska, położona między Olkuszem a Bukownem. W 1922 r. zawarta została nawet umowa z Zarządem Okręgowym Lasów Państwowych w Radomiu. W tym momencie możemy tylko snuć przypuszczenia, czy po ewentualnym podjęciu eksploatacji Pustyni Starczynowskiej sięgnięto by po piaski błędowskie, czy też nie. Wybuch II wojny światowej przekreślił te rachuby. Także Niemcom w trakcie ich krótkiego panowania nad pustynią nie udało się takich zamiarów sfinalizować.

Fikcyjna magistrala

Wkrótce po II wojnie światowej postanowiono, po raz kolejny, sięgnąć po zasoby piasku spoczywające między Kluczami a Błędowem. Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął 14 V 1946 r. uchwałę, w której zarezerwował dla potrzeb górnictwa węgla kamiennego tereny piaskonośne zajmujące powierzchnię 313,67 km kw., w tym Pustynię Błędowską o powierzchni 165,4 km kw. Badania geologiczne złoża przeprowadzono w latach 1946-1947. Należy zwrócić uwagę, że w literaturze funkcjonowało pojęcie tzw. Wielkiej Pustyni Błędowskiej, obejmującej znacznie szerszy teren niż właściwa Pustynia Błędowska, licząca około 32 km kw. W 1956 r. zasoby Wielkiej Pustyni Błędowskiej szacowano na 2,5 mld m sześc. piasku. Ponieważ trudno sobie wyobrazić ile to jest dwa i pół miliarda metrów sześciennych, prościej będzie uzmysłowić sobie, że oznacza to 2,5 km sześc. piasku. W ówczesnej prasie znaleźć można propagandowe wzmianki na temat planowanego wykorzystania pustyni: *„Jej piasek jest wyjątkowo potrzebny do zamułki niezbędnej przy wydobywaniu węgla* – tłumaczył czytelnikom dziennikarz wrocławskiej gazety „Słowo Polskie" w numerze z 1 lipca 1948 roku. – *Organizacja »Służba Polsce« podjęła pracę nad przeprowadzeniem z pustyni dróg do kopalń"*. Niedługo potem decyzją ministra górnictwa podjętą 7 IX 1950 r. powołane zostało Przedsiębiorstwo Materiałów Podsadzkowych Przemysłu Węglowego, które formalnie rozpoczęło działalność z początkiem następnego roku. Wydawało się, że zwiastuje to kres istnienia Pustyni Błędowskiej, jak domniemywał w kwietniu 1953 r. katowicki „Dziennik Zachodni": *„Obecnie, sypkie piaski błędowskie (...) powędrowały w podziemia i czeluście kopalń, aby wypełnić swoją zwartą masą wyrobiska po węglu. I z biegiem czasu Pustynia Błędowska pozostanie tylko wspomnieniem w barwnej opowieści"*. Faktycznie, prorocze to były słowa, ale piszący je nie podejrzewał, że ostateczny cios zadadzą pustyni nie górnicy, lecz... leśnicy. Jak twierdzi Mariusz Furtek, współautor monografii polskich kolei piaskowych, skończyło się na planach pozyskiwania piasku do kopalń, po których pamiątką są mapy z zaznaczonym przebiegiem planowanej linii kolei

Marzec 1998 r. Jedna z nielicznych, niezalesionych wydm w południowo-zachodniej części pustyni.

piaskowej w stronę pustyni. W terenie nie uczyniono nic w tym kierunku. Za to jedna z linii kolei piaskowych w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym potocznie nazywana była Magistralą Błędowską, co miało wyłącznie propagandowy wydźwięk.

Trudno dzisiaj ustalić, kiedy podjęto fatalną w skutkach decyzję o zadrzewieniu pustyni. Nastąpiło to w czasach Polski Ludowej. W południowo-zachodniej części pustyni, czyli od strony Błędowa, w równych rzędach nasadzono sosnę zwyczajną, brzozę, a także olchę. Podobne plantacje sosny założono na całym wschodnim skraju południowej części pustyni, czyli od strony wsi Klucze. Po południowej stronie Białej Przemszy szczególnie ekspansywne okazały się wierzba piaskowa i wierzba ostrolistna, zwana kaspijską, roślina o bardzo silnym, rozbudowanym systemie korzeniowym, która utrwaliła lotne piaski. Analiza porównawcza zdjęć lotniczych Pustyni Błędowskiej pokazuje, że o ile jeszcze w 1958 r. zdecydowaną większość pustyni stanowiły lotne piaski, to od 1973 r. widać na fotografiach plantacje drzew i krzewów. Zdjęcie z 1987 r. pokazuje niemal całą pustynię pokrytą przynajmniej krzewami i trawami, nie wspominając rzecz jasna o terenach zalesionych na obrzeżach pustyni i o sosnowych młodnikach w jej wnętrzu. Istniały wtedy już tylko pojedyncze powierzchnie pozbawione roślinności po obu stronach Białej Przemszy. W 1992 r. doszło nawet do… pożaru na pustyni pod Kluczami. Dopiero w 1994 r. zaprzestano prowadzenia nasadzeń. Z formalnego punku widzenia tylko wąski pasek terenu wzdłuż rzeki Białej Przemszy o szerokości od 200 do 400 m, zajmujący w sumie 123 ha, jest w zarządzie Nadleśnictwa Olkusz. Północna część to poligon Czerwonych Beretów z Krakowa, a południowa część stanowi użytek ekologiczny w zarządzie starosty powiatu olkuskiego. Mając na uwadze zagrożenie pożarowe, Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Katowicach zdecydowała się w 1998 r. ustawić na wzgórzu Czubatka w Kluczach, tuż obok ruin ceglanego schronu, wysoką, metalową wieżę obserwacyjną liczącą 34 metry. Nawiasem mówiąc, latem 2012 r. wieża została uszkodzona przez trąbę powietrzną.

Bezdroża dla zuchwałych

Wbrew pozorom to nie leśnicy są jedynymi „sprawcami" zarastania Pustyni Błędowskiej. W latach 1895-1897 w Kluczach wzniesiono fabrykę papieru, w której w 1930 r. oddano do użytku celulozownię. Produktem ubocznym jej działalności były śmierdzące odpady, które najpierw spuszczano do Białej Przemszy, a potem zaczęto rurociągami tłoczyć w piaski Pustyni Błędowskiej, użyźniając je w ten sposób i wzbogacając o materiał biologiczny, co ułatwiało ekspansję roślinności. Rośliny skorzystały także w drugiej połowie XX wieku na… obniżeniu poziomu wód gruntowych. Jak to możliwe? Skutkiem wzmożonej eksploatacji rud cynku i ołowiu w okolicy Olkusza wyschły okoliczne strumienie, teren w nocy zaczął się bardziej wychładzać, co powodowało intensyw-

Marzec 1998 r. Biała Przemsza dzieląca pustynię na część północną i południową. Jej dolina to formalnie jedyny skrawek pustyni pod zarządem Nadleśnictwa Olkusz.

Końcówka XX w. Sosny rosnące na piaskach. Bardzo łatwo stracić orientację w takim krajobrazie.

Końcówka XX wieku. Plantacje wierzby wespół z sosnami unieruchomiły pustynię.

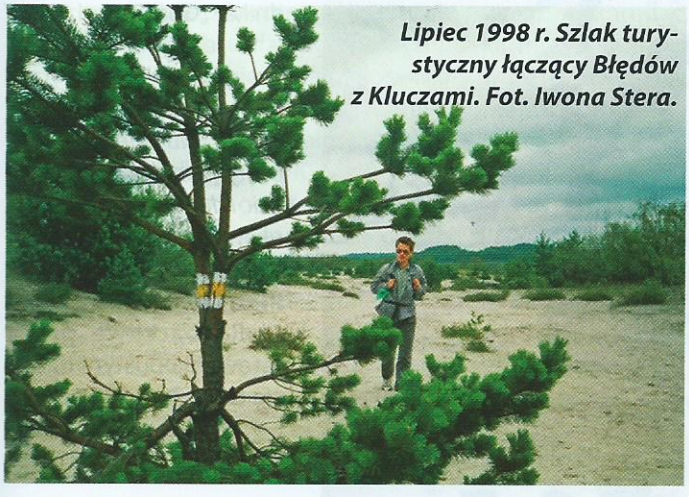

Lipiec 1998 r. Szlak turystyczny łączący Błędów z Kluczami. Fot. Iwona Stera.

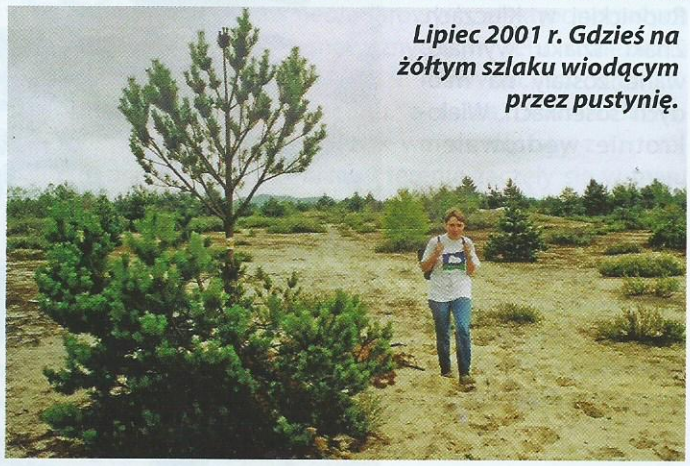

Lipiec 2001 r. Gdzieś na żółtym szlaku wiodącym przez pustynię.

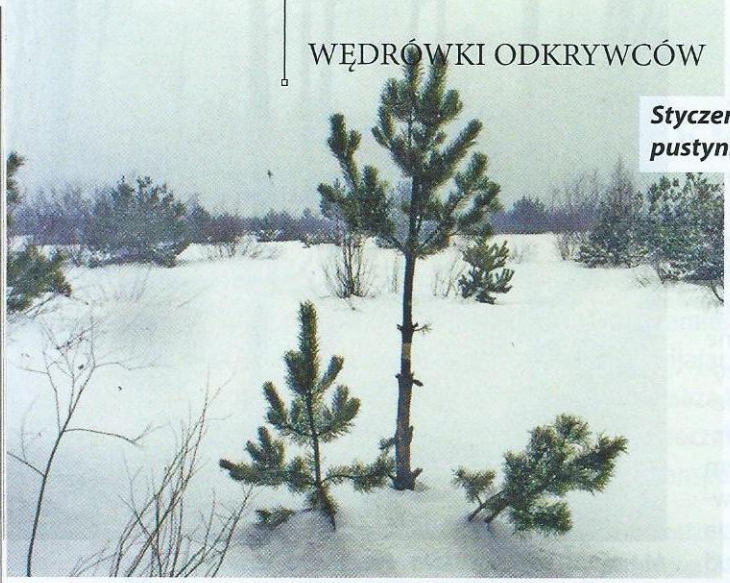

Styczeń 2002 r. Żółty szlak przez pustynię pod śniegiem.

ne osiadanie rosy. Na to tylko czekały rośliny sucholubne, które przygotowywały przedpole kolejnym gatunkom. Dolina Białej Przemszy zaczęła przypominać może nie dżunglę, ale wręcz oazę gęstej roślinności. Kiedy na początku XXI w. próbowałem zorganizować spływ pontonem przez Pustynię Błędowską, okazało się to niemożliwe. Przewalone przez rzekę kłody drzew skutecznie uniemożliwiły realizację pomysłu. Tuż poniżej Pustyni Błędowskiej znajdują się Bagna Błędowskie, gdzie tuż nad Białą Przemszą spotkać można pokrzywy znacznie wyższe od człowieka.

Przez pierwsze lata po upadku komunizmu praktycznie nie było większego zainteresowania pustynią. Pionierem popularyzacji tego osobliwego zakątka stał się Andrzej Stróżecki, prezes oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Zawierciu, który w 1997 r. wyznakował żółty szlak turystyczny przez południową część Pustyni Błędowskiej – z Dąbrowy Górniczej Błędowa do ul. Rudnickiej w Kluczach. Znaki szlaku wymalowane zostały na młodych sosenkach. Wielokrotnie wędrowałem tym szlakiem zarówno w dzień, jak i podczas nocnych przemarszów przez pustynię. Naprawdę niesamowicie łatwo było zboczyć ze szlaku i zmylić orientację. O ile w lesie są jeszcze jakieś ścieżki, to na pustyni brak było jakichkolwiek punktów orientacyjnych – tylko podobne do siebie sosny wyrastające prosto z piasku. Jedynie kominy zakładów papierniczych w Kluczach mogły służyć za wskazówkę orientacyjną w przypadku wędrówki na wschód. Nocne wyprawy na pustynię ułatwił Komunikacyjny Związek Komunalny GOP, który swego czasu wprowadził nocne kursy autobusów linii 806 z zajezdni w Dąbrowie Górniczej Gołonogu do Błędowa. To chyba fenomen pustyni sprawił, że peryferyjna dzielnica, oddalona 20 km od centrum miasta, posiada nocne połączenia autobusowe. Nawiasem mówiąc w rozkładzie jazdy linii 806 występuje istne kuriozum. Otóż tylko we wrześniu i październiku autobus ten jeździ w niedziele wg rozkładu sobotniego, przewidującego więcej kursów. Dlaczego? Ano właśnie z powodu grzybiarzy przyjeżdżających wtedy licznie na pustynię. Brzmi zabawnie? Ależ to nie poszukiwacze metalu czy pasjonaci historii, lecz właśnie grzybiarze stanowią najpoważniejszą grupę osób odwiedzających to miejsce późnym latem i jesienią. Pamiętam z pierwszego roku studiów zabawny epizod. Gdy jeden z wykładowców na początkowych zajęciach dowiedział się, że pewna studentka pochodzi z Dąbrowy Górniczej Błędowa, domagał się od niej, aby koniecznie pokazała, w którym miejscu rośnie najwięcej grzybów. Zimą, gdy trudno liczyć na grzyby, wzgórze Czubatka w Kluczach wykorzystywali narciarze-amatorzy, a jego stromizna nadaje się by zbudować tam małą skocznię narciarską. Za sprawą rozwoju motoryzacji piaszczyste bezdroża upodobali sobie „kładziarze", motocykliści i posiadacze samochodów terenowych, prowadząc tu próby wytrzymałości swoich maszyn.

Warto wspomnieć kilka słów o działaniach przyrodników. Pierwsze projekty utworzenia rezerwatu przyrody powstały w 1956 r., ale aż do 1990 r. przeszkodą było funkcjonowanie poligonu. Dopiero wtedy wojsko zgodziło się, aby południową część pustyni objąć ochroną. W lipcu 1995 r. utworzono tam użytek ekologiczny o powierzchni 6,83 km kw. Zanim do tego doszło, przedstawiciele dyrekcji ZJPK woj. katowickiego w Krakowie, w tamtejszej jednostce wojskowej podpisali porozumienie stanowiące, iż ochrona części południowej nie będzie kolidowała z działaniami wojska. Pochodzący z zachodniego Tadżykistanu profesor Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu Ojmahmad Rahmonow – badacz Pustyni Błędowskiej – na początku XXI w., na łamach tygodnika „Gość Niedzielny" – w jednej z wypowiedzi prasowych – wyraził nieco radykalne stanowisko: *„Na dobrą sprawę, pustynię należałoby ogrodzić i dopuszczać tylko naukowców".*

Piaskownia Centralna. Pustynia Błędowska na plastycznej mapie Przedsiębiorstwa Materiałów Podsadzkowych Przemysłu Węglowego. Fot. Piotr Stera.

Plany pisane na piasku

Rozpaczliwe próby ratowania pustyni datują się od jesieni 1997 r., kie-

dy to ówczesny Zespół Jurajskich Parków Krajobrazowych woj. katowickiego w Dąbrowie Górniczej, dokonał próbnego odlesienia niewielkiego wycinka pustyni o wymiarach 20×50 metrów. Rozpisano nawet przetarg na odlesienie większego areału, ale nie doszło wtedy do realizacji zamysłu. Latem 1998 r. stało się jasne, że woj. katowickie zostanie zlikwidowane, a jego teren podzielony między nowe województwa, w tym i woj. małopolskie – w którego skład weszła większa część pustyni. W 1999 r. dyrekcja Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych w Krakowie szacowała, że ewentualne odlesienie części pustyni kosztowałoby 9 milionów dolarów. Brano wtedy pod uwagę północną część pustyni, czyli tą wykorzystywaną przez wojsko i mniej zarośniętą. Rozważano pomysł, aby zebrać wierzchnią warstwę grubości 30 cm na powierzchni 4 km kw., czyli jakieś 1,2 mln m sześciennych. Uzyskano by w ten sposób masę piasku, 48 razy większą niż Kopiec Wyzwolenia w Piekarach Śląskich! Dyrekcja krakowskiego ZJPK złożyła wnioski o dofinansowanie projektu do różnych instytucji, w tym do Ministerstwa Środowiska i Komitetu Badań Naukowych. Spotkano się z odmowami, motywowanymi brakiem możliwości wyłożenia tak znacznej sumy pieniędzy. Zwolennicy odlesienia pustyni zdawali sobie sprawę, że na samej wycince drzew i wyrwaniu korzeni sprawa się nie skończy. W piaskach błędowskich utonęły setki, a może tysiące ton pocisków, bomb lotniczych i innych szczątków arsenału wojskowego. Należało więc zabrać się do odminowania terenu. Wśród mieszkańców podbłędowskich wiosek żywa była pamięć o czterech chłopcach, którzy około 1979-1980 roku zginęli w lesie koło Chechła, trafiając na niewybuch. Znamienne jest, że równocześnie sondowano możliwość odwrotnego, kuriozalnego i zupełnie absurdalnego pomysłu. Pod koniec XX w. wojewoda małopolski chciał, aby na pustyni wyznaczyć miejsce do niszczenia niewypałów, ale dyrekcja krakowskiego ZJPK przytomnie nie wyraziła na to zgody. A ludzie dalej chodzili po pustyni tam gdzie chcieli. Mało kogo odstraszały walające się powszechnie resztki zardzewiałego żelastwa. Plany odlesienia i odminowania pustyni odsuwane były z roku na rok z uwagi na brak środków finansowych na ten cel. W 2007 r. władze gminy Klucze podjęły rozmowy z dyrekcjami elektrociepłowni w Tychach i Krakowie proponując im, by te wykarczowały rosnące na pustyni drzewa i krzewy, a potem wykorzystały je na opał. Okazało się, że nie tędy droga.

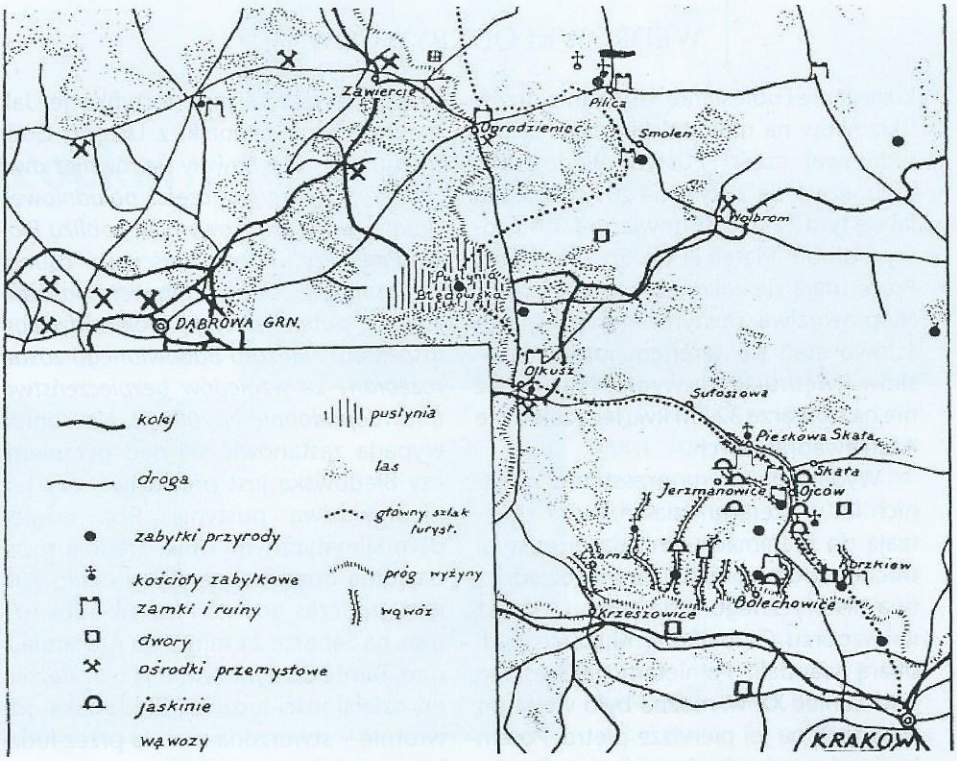

Bocznica kolejowa w stronę Pustyni Błędowskiej na mapce z przewodnika Piotra Przesmyckiego z 1908 r.

W latach 2009-2012 zrealizowano program „Ochrona mozaiki siedlisk przyrodniczych w zlewni rzeki Białej Przemszy", przeprowadzony dzięki staraniom Zespołu Parków Krajobrazowych woj. śląskiego w Będzinie. W ramach programu wykonano m.in. wycinkę drzew, odsłaniając murawy napiaskowe zagrożone zarastaniem na terenie Pustyni Błędowskiej, na skromnej powierzchni 0,37 km kw. W 2011 i 2012 r. na odlesionym terenie wypasane były… kozy, które wyżerały pędy odrastających roślin. Pod koniec ich bytności w 2012 r. stado trzeba było wręcz dokarmiać, bo brakowało pokarmu roślinnego. Przed wypasem kóz, w 2010 r. przeprowadzono odminowanie zachodniego fragmentu skraju Pustyni Błędowskiej, czyli w granicach woj. śląskiego. Zajęła się tym prywatna firma, a następnie wezwani przez policję saperzy. W sierpniu 2010 r. prasę obiegła informacja, że prowadząc odminowanie znaleziono stukilogramową bombę lotniczą, 19 sztuk pocisków moździerzowych, a także 2 sztuki innych pocisków.

Arsenał w wydmach

Nieco później podjęto działania na terenie pustynnym małopolskiej gminy Klucze. Gminie udało się pozyskać niemałe fundusze ze źródeł zagranicznych na projekt o nazwie „Czynna ochrona kompleksu priorytetowych siedlisk napiaskowych (6120, 2330) w obszarze Natura 2000 na Pustyni Błędowskiej". Zdecydowano się odminować i odlesić około 4 km kw., ale – podkreślmy to – tylko w południowej części Pustyni Błędowskiej, a więc tej bardziej zarośniętej lasem i nie użytkowanej obecnie przez wojsko. Gmina Klucze ogłosiła przetarg, którego zwycięzcą został Konsorcjum Pustynia, składające się z firm: Proton-Archeo z Krzeszowic oraz ZHU Kontur z Bukowna. Umowę podpisano 22 II 2012 roku. Zadaniem zwycięzcy było zbadanie wyznaczonej powierzchni pustyni za pomocą pomiarów georadarowych, elektrooporowych i magnetycznych, w celu znalezienia niewypałów i niewybuchów oraz innego złomu, a także unieszkodliwianie znalezisk we współpracy z saperami. Prace w terenie zaczęły się w maju zeszłego roku. W związku z tym wójt gminy Klucze wprowadził zakaz wstępu na pustynię. Jeszcze przed końcem maja, po kilkunastu dniach działania, plonem pracy saperów było znalezienia 200 niewybuchów i niewypałów. Kolejnym etapem objętym umową było od-

krzaczanie i odlesianie. Usuwanie drzew i krzewów na małopolskim terenie południowej części Pustyni Błędowskiej rozpoczęło się 2 stycznia 2013 roku. Zajął się tym Zakład Budowlano-Montażowy „Polbud" Piątek i Ptak Spółka Jawna. Prace mają się zakończyć w 2013 roku. Nieprawdziwa pustynia ma choć częściowo stać się terenem lotnych piasków i wędrujących wydm. Tyle, że już nie na obszarze 32 km kw., lecz zaledwie 4 km kwadratowych.

Wydaje się, że na przestrzeni ostatnich lat w szeregu działań, które zmierzają do reanimacji zanikającej pustyni trochę zapomniano o ochronie dziedzictwa historycznego tego terenu. Obiekt na wzgórzu Czubatka w Kluczach padł ofiarą wandali. Pamiętam, jak jeszcze pod koniec XX w. można było wejść po schodach na jej pierwsze piętro. Potem ktoś zniszczył schody, w końcu Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego, z powodu zagrożenia bezpieczeństwa wydał nakaz rozbiórki, wykonany w roku 2006. Nie lepszy los spotkał schron obserwacyjny na skraju piasków w Chechle. Schron został rozebrany w 2007 r., pozostały jedynie grube elementy betonowe. Ponoć gdzieś w głębi pustyni istnieją jeszcze inne fortyfikacje. Jak twierdzi Rafał Jaworski z Urzędu Gminy Klucze: – *Zachowały się również dwa „bunkry" – jeden w części południowej, drugi w pasie środkowym, w pobliżu Białej Przemszy. Trzeci, częściowo osunął się (osunięcie ściany frontowej i narożników), a potem, decyzją Wojewódzkiego Inspektora Nadzoru Budowlanego został rozebrany ze względów bezpieczeństwa (prawdopodobnie w 2009 r.).* Na koniec wypada zastanowić się nad pytaniem, czy Błędowska jest prawdziwą, czy też nieprawdziwą pustynią. Pod względem klimatycznym – nie. Średnia roczna suma opadów wynosi tu około 700 mm, podczas gdy na Pustyni Gobi 107 mm, na Saharze 21 mm, a na Atacamie 3 mm. Tamte pustynie istnieją niezależnie od działalności ludzkiej. Błędowska odwrotnie – stworzona została przez ludzi i teraz ludzkim wysiłkiem przywraca się jej pustynne oblicze. Gdyby zaprzestać jakiejkolwiek ingerencji ludzkiej, w połowie XXI wieku rósłby tam świeży bór chrobotkowy…

W zebraniu informacji pomocy udzieli mi: Piotr Dmytrowski z Zarządu Zespołu Parków Krajobrazowych woj. małopolskiego w Krakowie, Jan Gamrat – zastępca nadleśniczego w Nadleśnictwie Olkusz, Jakub Halor ze Stowarzyszenia Górnośląskich Kolei Wąskotorowych w Bytomiu, Rafał Jaworski z Urzędu Gminy Klucze, Grażyna Morcinek-Kalita ze Stowarzyszenia Ziemia i My w Dąbrowie Górniczej, Andrzej Stróżecki z oddziału PTTK w Zawierciu. Chciałbym im w tym miejscu złożyć podziękowania.

Wybrane publikacje:

1. M. Furtek, K. Soida, „Koleje piaskowe. Tom I", Rybnik 2007
2. T. Szczypek, St. Wika, A. Czylok, O. Rahmonow, J. Wah, „Pustynia Błędowska. Fenomen polskiego krajobrazu", Krzeszowice 2001
3. „Słowo Polskie" nr 179 (590), 1.7.1948, s. 2
4. „Wieczór" nr 32, 13.8.1998, s. 2
5. „Wieczór" nr 42, 20.10.1999, s. 18
6. „Trybuna Górnicza" nr 35 (366), 6.9.2001, s. 7

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Autor książki „Góry Polskie" (2004) oraz „Podziemne trasy turystyczne Polski" cz. I i II. (2012). Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

W numerze lutowym (2/169) z 2013 roku ogłosiliśmy dwa konkursy sms-owe. Jedno z zadań konkursowych polegało na podaniu prawidłowej odpowiedzi na pytanie:
„Jak brzmi nazwisko najsłynniejszej, nazistowskiej reżyserki filmów propagandowych?"
Od naszych Czytelników otrzymaliśmy kilkadziesiąt prawidłowych odpowiedzi – Leni Riefenstahl.
Zwycięzcami tego konkursu są:

- Tomasz Maliszewski
- Paweł Kukurenda
- Adam Włodarski
- Krzysztof Kucharz
- Krzysztof Zecer
- Waldemar Zieliński
- Krzysztof Cabała
- Wiesław Mączyński
- Tomasz Kula
- Kamil Piasecki

Drugim zadaniem konkursowym było podanie prawidłowego hasła, które powstało z pól krzyżówki. Prawidłowa odpowiedź to „tajemnice historii". Wśród bardzo dużej ilości prawidłowych odpowiedzi, najszybszymi okazali się:

- Teresa Szyjkowska-Cieciorko
- Bożena Zalewska
- Anna Melcer
- Renata Sieledcow
- Marek Ostrowski
- Mirosław Woźny
- Mariusz Dybek
- Marcin Lehr
- Adam Sieja
- Tomasz Górkiewicz

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

Nagrodzeni otrzymali ciekawe pozycje książkowe.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursach. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

TOMB RAIDER 2013

Gra, jak film Hitchcocka…

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI

„Narodzona" w 1996 r. Lara Croft z kultowej serii gier „Tomb Raider", szybko stała się jedną z największych cybernetycznych ikon popkultury. Zresztą jej pozycja i wizerunek wydostały się również poza wirtualną rzeczywistość, m.in. dzięki hollywoodzkiej adaptacji przygód Lary z niezapomnianą rolą Angeliny Jolie. Idealne wymiary atrakcyjnej pani archeolog, ubranej w krótkie szorty i obcisłą koszulkę opiętą na wydatnym biuście, pobudzały przez ostatnie 17 lat wyobraźnię graczy i widzów na całym świecie. Lara w najnowszej grze przeszła swoistą metamorfozę, z tym że w odwrotnym kierunku. Zamiast bowiem stać się dojrzałą wiekiem łowczynią przygód, w najnowszej odsłonie cofamy się do korzeni, czyli początków, które ukształtowały jej późniejsze życie. Najnowsza odsłona „Tomb Raidera" ideowo więc i marketingowo wpisuje się w aktualne trendy. Od kiedy James Bond zaczął krwawić i przejawiać słabości, a Batman mieć głębokie dylematy moralne, kwestią czasu było pokazywanie kolejnych przygód superbohaterów od nieznanej dotąd strony. Ten trend najwyraźniej trafił również do świata gier komputerowych. Obecnie wirtualny świat, z niemal fotorealistyczną grafiką prezentuje się niczym kinowe przeboje, z tą jednak różnicą, że to od nas zależą losy bohaterów, w których mamy możliwość się wcielić.

Szaleje sztorm. Fale zalewają pokład. Gdy żywioł nienaturalnie się wzmaga, rzucając statkiem badawczym „Endurance" niczym łupinką, mamy przeczucie, że za chwilę wydarzy się coś nieprzewidzianego… Wrażenie to praktycznie nie opuszcza gracza do końca rozgrywki najnowszej odsłony, bezsprzecznie jednej z najbardziej udanych gier wydanych w ciągu ostatnich miesięcy.

Klimat najnowszego „Tomb Raidera" oparty jest na wszechobecnej tajemnicy, stopniowo rozwiązywanej przez główną bohaterkę. Twórcy wyraźnie wykorzystali motyw historii Trójkąta Bermudzkiego, przenosząc go w realia fikcyjnego archipelagu u wybrzeży Japonii. Gdy statek Lary, rozpołowiony tajemniczą siłą na pół, tonie, załoga znajduje pozorny ratunek na pobliskim lądzie. Ziemia, która zdawała się być wybawieniem, okazuje się dla rozbitków prawdziwym piekłem (wyraźna inspiracja serialem „Lost" – „Zagubieni"). Muszą toczyć tam walkę o przetrwanie, z nie do końca zdefiniowanym przeciwnikiem, którego tajemnice Lara, a gracz za jej pośrednictwem, musi rozwiązać.

Poziom grafiki stoi na bardzo wysokim poziomie, realistycznie odwzorowując otoczenie i pogłębiając specyficzny klimat gry. Widać to podczas samej rozgrywki, jak i uzupełniających ją licznych wstawkach filmowych. To, co w grze może urzec pasjonatów tajemnic historii, eksploracji i fortyfikacji, czyli Was drodzy Czytelnicy, to liczne nawiązania do szeroko pojętej przeszłości, w postaci reliktów, również z okresu II wojny światowej. Wyrzucone na brzeg rdzewiejące okręty, nadgniłe Galeony, a w głębi pokrytej dżunglą wyspy, lotnicze wraki bombowych „Liberatorów" czy „Latających Fortec", które, co ciekawe, można dość swobodnie penetrować. Natrafiamy na opuszczone posterunki japońskiej armii, należące do niej zdezelowane pojazdy, podziemne schrony ciągnące się długimi korytarzami, niczym „Riese". W tych warunkach, co jakiś czas, odnajdujemy zapiski z przeszłości, sugerujące istnienie nadprzyrodzonych sił, które władają wyspą… Lecz wróg w grze jest w większości realny i do pokonania. Zachwycając się otoczeniem, nie można zapomnieć o celu wykonywanej misji. Lepiej być skupionym, gdyż zwroty akcji i gwałtowność pojawiania czających się wszędzie przeciwników jest niezwykle intensywna. Czy będą to rosyjscy najemnicy, czy trudne do utłuczenia bestie – warto być zawsze gotowym do stawienia im czoła. Lara zresztą jest do tego typu zadań stworzona wprost idealnie, choć w tym wydaniu „Tomb Raidera" jest młodą i niedoświadczoną bohaterką, zmuszoną stawić czoła gigantycznej ilości zadań. Radzi sobie świetnie, choć na ile skutecznie, zależy tylko i wyłącznie od nas. Interakcja z otoczeniem i środowiskiem gry jest niezwykle rozbudowana, pozwalając na indywidualny wybór opcji rozwiązywania danego problemu. Rozgrywka ma charakter zarówno zręcznościowy, jak i wymagający wykonania zadań logicznych. Stopień ich trudności, choć niekoniecznie wyjątkowo skomplikowany, od czasu do czasu potrafi zaskoczyć, nawet doświadczonego gracza. Lara jednak jest tak zaprogramowana, by z każdej opresji wyjść cało. Kosztuje ją to jednak sporo energii i zdrowia. Tym razem widać to po niej aż nadto wyraźnie. Pozostaje nieodparte wrażenie, że przesadnie. Ranom, siniakom, zadrapaniom i zaschniętej na jej ciele krwi, programiści poświęcili chyba zbyt wiele uwagi, podobnie zresztą jak niezwykłej brutalizacji rozgrywki. Zupełnie niepotrzebnie, gdyż tym samym wyklucza to możliwość zabawy młodszym graczom. Pamiętajmy, że gra jest przeznaczona dla osób powyżej 18 roku życia. Jest to całkowicie uzasadnione, choć paradoksalnie oznacza, że jest… tylko dla dorosłych. I tylko pod takim kątem możemy ja polecić.

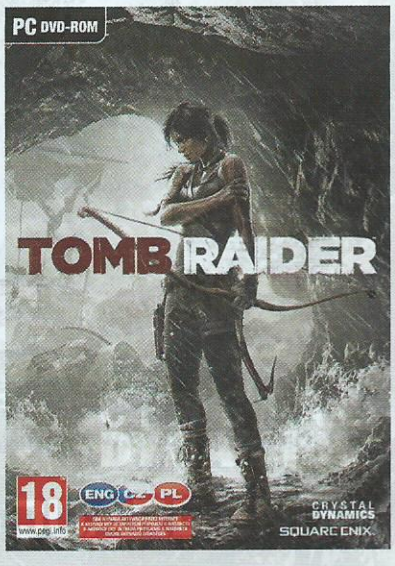

GRA WYMAGA AKTYWACJI PRZEZ INTERNET
K AKTYWACJI GRY JE ZAPOTŘEBÍ PŘIPOJENÍ K INTERNETU
K AKTYWACJI GRY JE TREBA POŁĄCZENIE Z INTERNETEM
ONLINE AKTIVÁCIÓ SZÜKSÉGES

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA

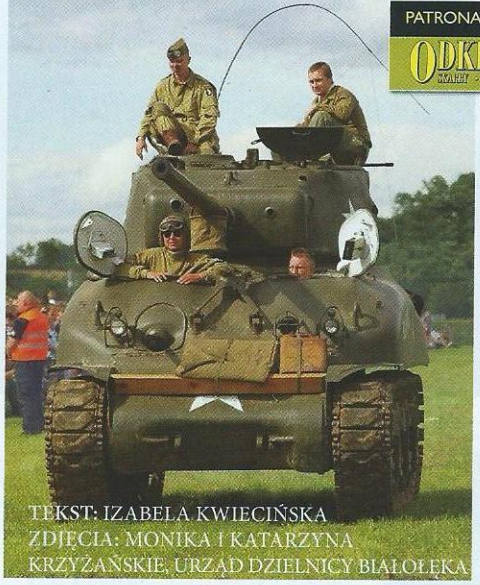

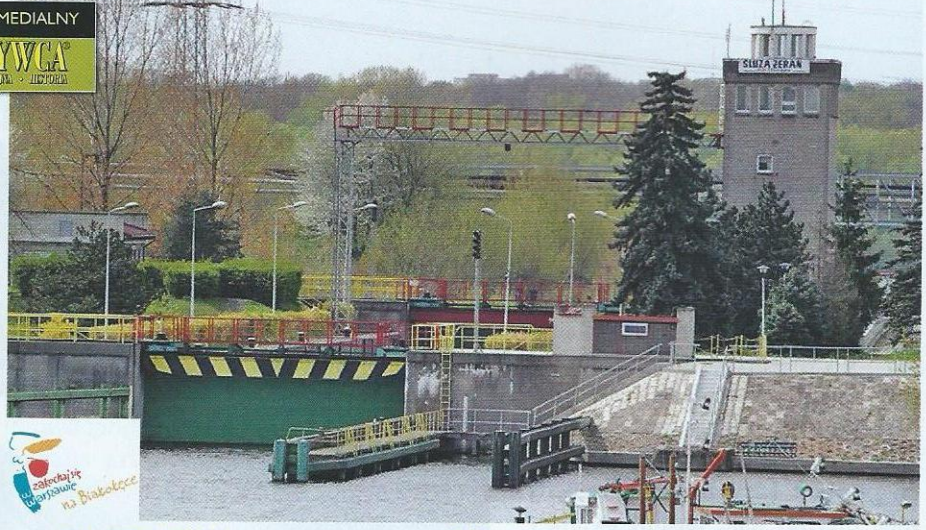

TEKST: IZABELA KWIECIŃSKA
ZDJĘCIA: MONIKA I KATARZYNA KRZYŻAŃSKIE, URZĄD DZIELNICY BIAŁOŁĘKA

„Militarna" Białołęka

Jedną z niezwykle popularnych form spotkań z „żywą historią", jest formuła Pikniku Historycznego. Aranżowana od szeregu lat przez kolekcjonerów przedmiotów techniki militarnej i muzea gromadzące zabytkowe pojazdy historyczne, zdążyła zgromadzić wokół siebie liczną rzeszę zwolenników. Pomimo tego, nowych odbiorców realizowanych tam edukacyjnych i popularyzujących historię treści ciągle przybywa. To najlepsze potwierdzenie, że tego typu projekty są wciąż oczekiwane.

Pikniki historyczne z militariami w tle stały się niezwykle powszechne. Dzisiaj trudno już wyobrazić sobie, aby nie towarzyszyły im pokazy historycznego sprzętu wojskowego, czy inscenizacje rekonstruujące przeszłość. Przedsięwzięcia te uruchamiają aktywność nie tylko pasjonatów militariów, czy lokalną społeczność, coraz częściej również lokalne władze samorządowe chcące w tej popularnej formie podkreślić wspólną z miłośnikami przeszłości dbałość o historię regionu, przywiązanie do historycznych wartości, patriotyzmu i wagi edukacji historycznej. Nie od dziś wiadomo, że imprezy i widowiska plenerowe bezpośrednio związane z techniką militarną, przyciągają znaczną grupę wystawców i olbrzymią rzeszę odwiedzających. To swego rodzaju fenomen społeczny, w którym pasje grupy miłośników historii uruchomiły aktywność i inicjatywę wielu ludzi i instytucji, tworząc przy tym swoisty model obcowania z historią.

W tę koncepcję idealnie wkomponowuje się organizowany przez Fundację Ochrony Zabytków Militarnych, przy współudziale samorządu dzielnicy Białołęka, Piknik Historyczny, który w maju – w dniach 18-19 – odbędzie się w Porcie Żerańskim. Piknikowi patronuje burmistrz Białołęki, p. Adam Grzegrzółka. – *Jako samorząd oferujemy wsparcie merytoryczne i logistyczne dla każdego, kto pragnie zorganizować inicjatywę ukierunkowaną na mieszkańców, a realizującą założenia kulturalne* – mówi Marcin Korowaj, radny dzielnicy Białołęka, pomysłodawca i koordynator (ze strony urzędu) imprezy. – *Z radością przyjęliśmy propozycję zorganizowania Pikniku, którą złożył nam p. Marcin Korowaj. To dla nas niezwykła okazja promocji miejsca, z którym jesteśmy związani od samego początku naszej działalności* – mówi Martyna Kęszycka, prezes Fundacji. – *Od ponad 15 lat realizujemy podobne, środowiskowe imprezy historyczne w całej niemal Polsce, tym bardziej więc ucieszył nas fakt, że możemy wrócić do naszych korzeni. Wykorzystać dotychczasowe doświadczenia, jakże bogate, w bliskim nam miejscu, gdzie mieszkamy i działamy. Nakłada to na nas szczególnie wysokie wymagania merytoryczne dotyczące prezentowanych na Pikniku treści, doboru ekspozycji i osadzenia ich w realiach historycznych* – dodaje. Piknik nie jest finansowany z budżetu dzielnicy – co podkreśla Marcin Korowaj.

Organizatorzy przewidują szereg atrakcji. Piknik będzie miał otwartą formułę, a zatem każdy, bez względu na wiek, znajdzie coś dla siebie. Ponieważ współorganizatorem będzie także Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej, nie zabraknie unikatowych pojazdów stanowiących zbiory Muzeum, a także sprzętów zaprzyjaźnionych kolekcji i placówek muzealnych z kraju i zagranicy. – *Każdy je dotknie, poczuje ich moc, a nawet… przetestuje. W programie ujęte są bowiem przejażdżki pojazdami pancernymi, które pozostawiają zawsze niezapomniane wrażenia* – mówi Stanisław Kęszycki, dyrektor Muzeum. Co jeszcze? – *Kolekcjonerskie okazy walczące we wszystkich konfliktach zbrojnych XX wieku: m.in. czołgi, działa samobieżne, transportery, ciągniki artyleryjskie – wszystkich armii, a także największa kolekcja polskiej broni pancernej z okresu międzywojennego. Wszystko w jednym miejscu, na terenie Portu Żerańskiego*. Także będą sprzęty wydobyte z jezior, rzek i błota, profesjonalnie odrestaurowane, niektóre już jeżdżące, oraz te, które ciągle jeszcze stanowią ogromne wyzwanie dla ich restauratorów. – *Na Pikniku gościć będziemy specjalistów-praktyków, którzy zaprezentują swoje odbudowane pieczołowicie sprzęty, efekt ich wieloletniej pracy. Wszyscy, którzy ogromnym wysiłkiem, angażując swój czas i pieniądze, rozwijając swoją wiedzę i dzieląc się nią z innymi, rozwijają historyczne pasje i zainteresowania* – dodaje Stanisław Kęszycki.

Dzielnica Białołęka m. st. Warszawy jest najprężniej rozwijającym się miejscem stolicy, z największym odsetkiem młodych ludzi, dla których głównie dedykowany jest Piknik. Celem jego organizatorów jest prezentacja historii w atrakcyjny i przystępny sposób. To pierwsza tego typu impreza na Białołęce realizowana z takim rozmachem. Organizacja Pikniku nie byłaby możliwa bez zaangażowania i pasji radnego Marcina Korowaja oraz harmonijnej współpracy między organizatorami, a samorządem. Miejmy nadzieję, że Piknik Historyczny na Białołęce na stałe wpisze się w kalendarium stołecznych imprez.

Znakowanie amunicji karabinowej 7,92×57 Mauser z okresu II RP

Amunicja herbu „Kościesza"

TEKST: PIOTR J. BOCHYŃSKI
ZDJĘCIA: NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Jaki jest związek pomiędzy heraldyką, numizmatyką i „amunicjologią"? Jak się okazuje bardzo ścisły, co czasami zmusza nas, by zakres naszej wiedzy, w niektórych aspektach, był bardziej interdyscyplinarny i sięgał w inne dziedziny kolekcjonerstwa, gdzie być może kryją się odpowiedzi na nasze pytania.

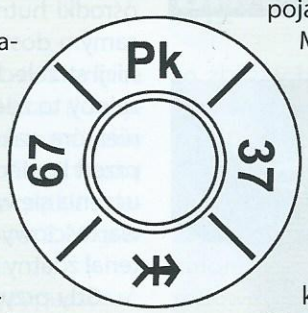

Herb „Kościesza" jest opisywany w herbarzach jako (pisownia oryginalna): *„W polu czerwonym strzała srebrna żeleźcem do góry, w środku przekrzyżowana, w końcu bez opierzenia rozdarta"*. Jego pochodzenie, według legendy herbowej zamieszczonej w „Herbarzu Polskim" T. 5 autorstwa Kaspra Niesieckiego (1682-1744), w reprincie z roku 1840, miało się wywodzić następująco (pisownia oryginalna): *„Herb ten powiadają być nadany od Bolesława Śmiałego Króla Polskiego w roku 1072. Gdy bowiem pod Snowskiem żwawej bitwie rycerz Kościesza nazwany, mężnie i długo się z nieprzyjacielem potykał, wiele też i ran w ciele swoim z tej okazji wyniósł: widział to Bolesław, a osobliwie strzałę w ciele jego utkwioną rozdartą, i miecz w ręku, którym czy bił, czy się zastawiał nieprzyjacielowi w tej potyczce, znacznie albo złamany, albo otłuczony, dla tego na pamiątkę jego odwagi, hojny na kawalerskich ludzi monarcha, tęż mu samą Strzałę i Miecz przez nią, niby na Krzyż złożony, w herbie nadał: który potem Kościeszą od imienia tego rycerza nazwany, luboć go zowią drudzy inaczej Strzegomia"*. Pierwsze znane pieczęcie z jego symbolem pojawiają się w dopiero w XIV wieku. Jest on jednym z najstarszych znanych polskich herbów rycerskich. Pieczętowało się nim blisko 150 rodzin pochodzących z rejonów Mazowsza i Rusi, ziemi kaliskiej i sieradzkiej.

Po zakończeniu I wojny światowej na terenie Polski, już w roku 1918, podjęto pierwsze uchwały regulujące polski system monetarny, które miały doprowadzić do wprowadzenia prawdziwej polskiej waluty, będącej jedynym, prawnym środkiem płatniczym na terenie kraju. Uwieńczeniem tego cyklu reform było rozpoczęcie w roku 1924 działalności Banku Polskiego. Wraz z nowym systemem monetarnym swoją działalność rozpoczęła także Mennica Państwowa. W momencie pojawienia się nowych wzorów monet bitych przez Mennicę, ustalono nowy, jednolity znak mennicy – właśnie w postaci herbu „Kościesza" stosowanego w latach 1925-1939. Było to niejako nawiązanie do tradycji staropolskich mennic, gdzie urzędujący Podskarbiowie umieszczali dodatkowo na monetach miniaturowe wizerunki swoich herbów rodowych obok herbu Rzeczypospolitej, Korony, Litwy, czy też wizerunku króla (za czasów swojej poprzedniczki Mennicy Warszawskiej, monety nosiły sygnatury inicjałów aktualnie urzędujących administratorów). Dlaczego właśnie ten herb znalazł się na polskich monetach? Prawdopodobnie decyzja ta jest bezpośrednio powiązana z osobą ówczesnego dyrektora mennicy Jana Aleksandrowicza. Niewykluczone, iż dyrektor chciał w ten sposób wskazać na swoje korzenie rodowe, bowiem w XIX wieku na Litwie istniała szlachecka rodzina Aleksandrowiczów używająca herbu określanego jako odmiana herbu Kościeszów. Tym samym byłoby to logiczne wytłumaczenie dlaczego ten, a nie inny znak pojawił się jako symbol Mennicy Państwowej. W ten oto niezwykle krótki sposób omówione zostały związki między heraldyką, numizmatyką a historią herbu Kościesza, czas zatem przejść do najbardziej interesującego nas wątku, związanego z polską amunicją strzelecką w okresie II Rzeczpospolitej Polskiej.

Wśród znalezisk dotyczących historii polskiej amunicji strzeleckiej z okresu II Rzeczypospolitej można natrafić na amunicję karabinową typu 7,92×57 Mauser, znakowaną rów-

Mennica Państwowa w Warszawie. Piec do wytapiania metalu na monety.

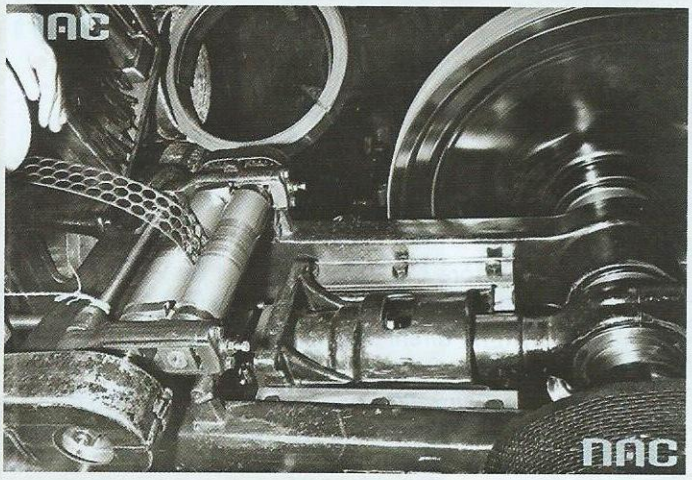

Maszyna do tłoczenia monet.

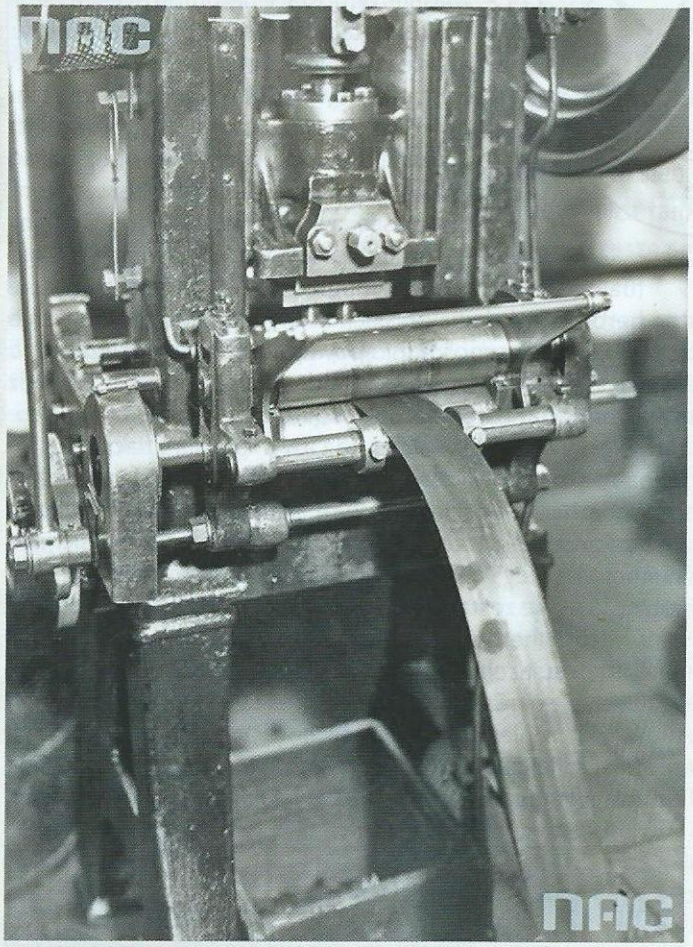

Fragment jednej z maszyn.

nież herbem „Kościesza" – w polu przeznaczonym dla dostawcy lub walcowni mosiądzu. Wobec braku dostępu do materiałów źródłowych i archiwalnych pozostaje nam tylko wysnuć teorię, skąd się wzięły te nietypowe znakowania na polskiej amunicji karabinowej. W okresie międzywojennym priorytetem było rozwiązanie kwestii przejścia przemysłu z produkcji pokojowej na produkcję wojenną, jej możliwości i ograniczeń. Głos w tej sprawie zawierało wtedy wielu specjalistów z kręgów naukowych i przemysłowych, jak również przestawiciele środowisk wojskowych. Między innymi ppłk inż. Z. Wojnicz-Sianożęcki w swoim artykule pt. „Ośrodki przemysłu wobec przyszłej wojny" zamieszczonym na łamach „Przeglądu Technicznego", pisał (pisownia oryginalna): *„Zadania przemysłu w czasie wojny, jak również i metody jego wytwórczości, ulegają z natury rzeczy głębokim i trudnym do przewidywania zmianom. Utrudnienia transportu i dostawy materjałów z zagranicy, brak niektórych surowców, powodujący konieczność zastąpienia ich namiastkami i wynikające w trakcie rozwoju działań wojennych, nieraz zupełnie dotychczas niebrane pod rozwagę nowe zadania techniczne – wszystko to, razem wzięte, powoduje głębokie przeobrażenia zadań przemysłowych i warunków ich rozwiązywania i tem samem wywołuje całkowitą zmianę jakościowego charakteru wytwórczości przemysłowej czasu pokojowego".* W kontekście tych rozważań i ewentualnej przyszłej wojny, należało liczyć się z tym, że nieprzyjaciel mógłby bardzo szybko zająć główne ośrodki hutnicze, wydobywcze i przetwórcze, odcinając tym samym dostawy surowców i półfabrykatów do wyrobu amunicji strzeleckiej, w konsekwencji czego, na dłuższy czas obniżałoby to zdecydowanie możliwości produkcyjne. Dlatego też niektóre zakłady przemysłowe były dodatkowo postawione przed koniecznością przestawienia produkcji, jak również nauczenia się wykorzystywania dostępnych surowców niepełnowartościowych, (np. odpady, złom itp.), i ich przeróbki na materiał zdatny do użytku pod kątem zastosowania wojskowego.

Gdy przyjrzymy się procesowi wytwarzania łusek i monet i dokonamy ich analizy porównawczej, wprawne oko (technologa) dostrzeże, że jest on niemal identyczny – w początkowym etapie. Odpowiedni materiał (tu oczywiście występują różnice surowcowe pomiędzy łuskami a monetami), był walcowany na taśmy o odpowiedniej szerokości, grubości oraz długości. Następnie z tych taśm, na dedykowanych maszynach, wycinane były krążki z przeznaczeniem do dalszej obróbki. Półfabrykat do wyrobu monet trafiał na sztance, natomiast materiał wykorzystywany do produkcji łuski, podlegał tzw. miseczkowaniu i dalszym skomplikowanym operacjom, zanim powstał finalny produkt. Niemniej jednak, z punktu widzenia obróbki, mają one identyczny proces właśnie w tej początkowej fazie. Jak widać na załączonych zdjęciach przedstawiających „park maszynowy" Mennicy Państwowej, dysponowała ona szeregiem urządzeń niezbędnych do tego typu działań. Ponadto miała bogate doświadczenie i możliwość odlewania stopów o określonym składzie i niewątpliwie ich kontroli jakościowej. Kwestią do wyjaśnienia pozostaje wydajność pieców Mennicy w kontekście wyrobu mosiądzu na ewentualne potrzeby wojenne. Oprócz tego posiadała inne urządzenia do obróbki metali w zakresie ich walcowania oraz wycinania krążków z taśm. Z tego wynika, iż Mennica Państwowa, gdyby zaistniała taka potrzeba, w pełni sprostałaby wymaganiom dotyczącym przejścia z produkcji pokojowej na wojenną, wykonując półfabrykaty do wyrobu amunicji w postaci mosiężnych krążków. Na podstawie tych informacji i danych można domniemywać, że w ramach prób określenia możliwości produkcyjnych w momencie przejścia produkcji na „ścieżkę" wojenną, w roku 1937 wykonano pewną partię mosiądzu łuskowego, a następnie, na urządzeniach Mennicy Państwowej, obrobiono go wstępnie do postaci mosiężnych krążków, które zostały przekazane do Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S.A. w Warszawie. Prawdopodobnie właśnie z tego półfabrykatu wykonano partię amunicji ze znakowaniem dostawcy mosiądzu w postaci herbu „Kościesza".

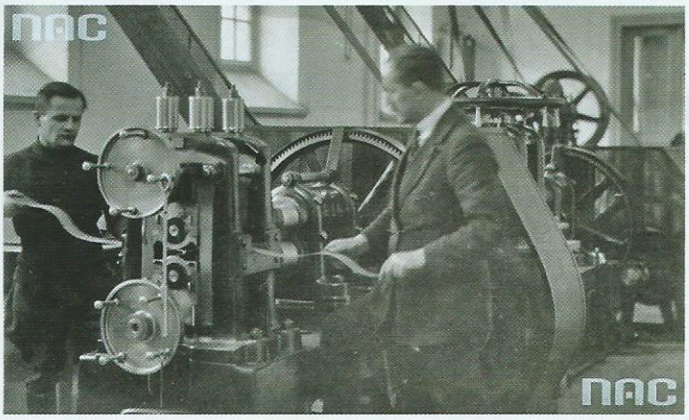

Mennica Państwowa przy ul. Markowskiej 18, robotnicy przy maszynach walcowni...

... robotnicy podczas pracy w bejcowni krążków. Lata 1924-1939.

Kolejnym elementem układanki może być fakt, że Mennica Państwowa nie wykorzystywała generalnie mosiądzu do wyrobu monet. Stosowała inne stopy legalne/monetowe takie jak: brąz, stopy niklowe oraz metale szlachetne. Choć trzeba przyznać, że zdarzyło się jej to raz – na samym początku działalności, kiedy w roku 1923 wypuściła emisje monet 2 i 5 groszowych ze stopu mosiężnego.

Skąd zatem mosiądz w Mennicy? Można przypuszczać, że odbyło się to w ramach równoległej próby polegającej na dostarczeniu do mennicy złomu mosiężnego o różnym składzie i pochodzeniu, oraz uzyskaniu z niego, po przeróbce, pełnowartościowego mosiądzu łuskowego. Założenie to zbliżałoby proces wytwórczy do oczekiwanych warunków wojennych, w przypadku gdyby nie można było liczyć na dostawę pełnowartościowego surowca. To, co udałoby się zdobyć pochodziłoby ze zbiórek złomu lub rekwiracji (ewentualnie zdobyczy wojennych). Można przypuszczać zatem, że ten konkretny złom mosiężny mógł pochodzić ze zbiórek przeprowadzanych na rzecz Funduszu Obrony Narodowej.

Piotr J. Bochyński

Historyk amator zajmujący się zagadnieniami związanymi z historią polskiej amunicji strzeleckiej i rusznikarstwa na ziemiach polskich.

REKLAMA

MOTO WETERAN BAZAR

samochody zabytkowe i klasyczne

motocykle zabytkowe i współczesne

części

renowacja pojazdów

pojazdy wojskowe

akcesoria

dawna technika

militaria

literatura

starocie

gadżety

11-12 MAJA 2013

ŁÓDŹ - STADION "START" - UL. TERESY 56

PONAD 50 STOISK Z MILITARIAMI

NAJWIĘKSZA IMPREZA KOLEKCJONERSKA

Ponad 800 stoisk, 15 000 zwiedzających, powierzchnia giełdy 80 000 m2, niepowtarzalna atmosfera, 20-letnia tradycja.
Zapraszamy do Łodzi! Informacje - tel.: 42 205 44 33, 602 328 837
www.motoweteranbazar.com

Wehrmacht i Kałmucy 1942-1945

Najmniejsza armia sojusznicza III Rzeszy

TEKST: LESZEK MOLENDOWSKI
ZDJĘCIA: ZBIORY BUNDESARCHIV, FREIBURG

Późnym latem 1942 roku na froncie wschodnim rozpoczęła się nowa, niemiecka ofensywa. Po fiasku operacji „Tajfun", założeniem której było zdobycie stolicy ZSRR – Moskwy, tym razem celem stał się Kaukaz, roponośne pola obszaru Baku i przyparcie Armii Czerwonej do Wołgi, z jednoczesnym zajęciem tak ważnych miast, jak: Woroneż, Stalingrad, Astrachań, Baku, Groznyj, czy Tbilisi.

Jesień 1942 rok. Im głębiej na tereny między Stalingradem a Kaukazem zapuszczają się niemieckie Grupy Armii „A" i „B", tym większe obszary na tyłach armii pozostają nie obsadzone. Zabezpieczenie tego rozległego terenu przed działalnością sowieckich grup partyzanckich, powierzono nielicznym jednostkom policyjnym i tyłowym oraz zaledwie jednej dywizji – 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej, którą dowodził gen. Sigfrid Henrici (od XI 1941-do XI 1942; od 13 XI 1942-do 20 V 1943 gen. Gerhard Helmuth Detloff Graf von Schwerin). W związku z charakterem wykonywanych obowiązków i zadań, dywizja otrzymała nazwę: „Windhund-Division", czyli „Dywizja-Chart". Jej działania – nadzorowanie i rozpoznanie terenu od Morza Kaspijskiego po delty Wołgi – wspierały pododdziały dalekiego rozpoznania, które podejmowały te śmiałe ekspedycje. Dowódca dywizji wiedział, że do końca września nie może liczyć na wzmocnienie swojej formacji. Jedyne posiłki jakie mu przysłano, to ok. 6 tys. żołnierzy korpusu do zadań specjalnych „F" („Sonderstab F") gen. Helmutha Felmy, który składał się z ochotników arabskich. Poszukiwano więc sposobów pozyskania do współpracy lokalnych sojuszników. Oficerem odpowiedzialnym za rozpoznanie sytuacji na podległym dywizji terenie, był mjr Poltermann (brak danych o imieniu). Jednak głównym pomysłodawcą był dowódca dywizji, któremu nowe siły potrzebne były do osłony rozciągniętych linii zaopatrzeniowych. W tym celu postanowił wykorzystać antysowieckie nastroje Kałmuków i zlecił, samoczynnie tworzącym się z nich oddziałom milicji, złożonej ze świetnej jazdy, ochronę odkrytych skrzydeł dywizji.

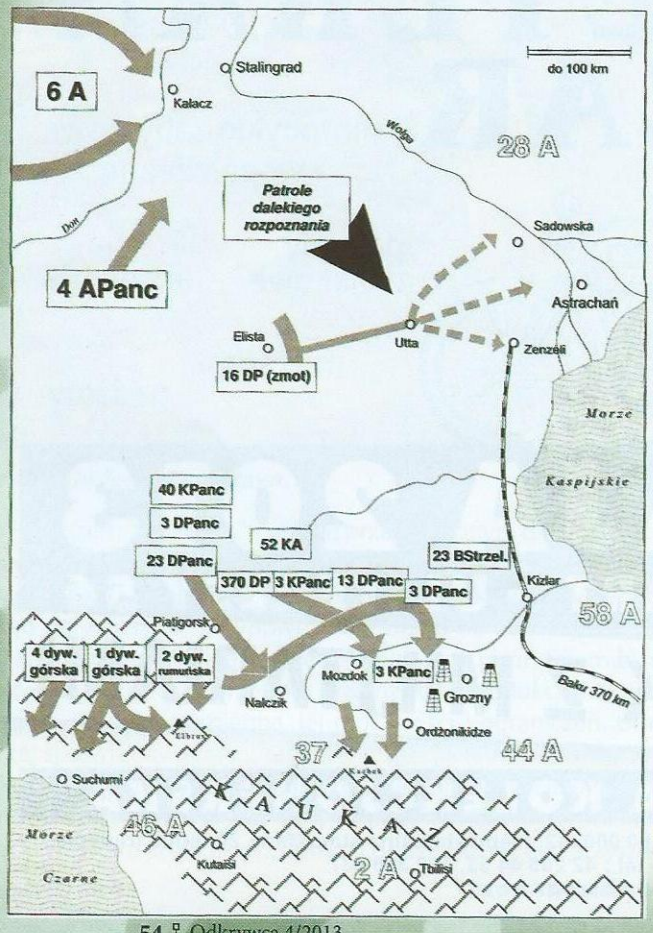

Kałmucy to lud stepowy, od wieków wiodący życie koczownicze, co w czasie rewolucji i istnienia władzy komunistycznej nie było mile widziane, więcej, naraziło Kałmuków na represje. Ci mongolscy koczownicy przybyli z Azji Środkowej pod koniec XVIII w. i osiedlili się w delcie Wołgi, a ściślej mówiąc, na terenach między Wołgą a Morzem Kaspijskim. Ich językiem był tybetański, a religią buddyzm. Przyczyną nawiązania współpracy z Niemcami była nie tylko wrogość do władzy sowieckiej, ale także fakt, iż kapłani uznali swastykę za znak starobuddyjski – z czym trudno się nie zgodzić. W czasie rewolucji w Rosji w 1917 r. został utworzony Obwód Stepowy Ludu Kałmuckiego, w którym władze sprawowali sami Kałmucy. Część z nich opowiedziała się po stronie gen. Antona Denikina (1872-1947). W Armii Czerwonej służyło około 2 tys. Kałmuków, którzy okazali się jednymi z najlepszych kawalerzystów armii rewolucyjnej. Przegrana Denikina i wojsk wiernych carowi spowodowała, iż część Kałmuków wyemigrowało: do Czech, Niemiec i Francji. Co ciekawe, część z nich wstąpiła do francuskiej Legii Cudzoziemskiej, gdzie służyli w jednostkach kawalerii.

Od momentu inwazji Niemiec na Związek Radziecki, 22 VI 1941 r., wschodni ochotnicy w armii niemieckiej stanowili poważną siłę. Ocenia się, że w każdej niemieckiej dywizji na Wschodzie liczba ochotników wschodnich sięgała 10-15% stanu dywizji. Początkowo pełnili oni funkcje pomocnicze na tyłach lub w administracji dywizji (kucharze, woźnicy itp.), z czasem, z bronią w ręku zwalczali partyzantów. Dla wielu ochotników kolaboracja z Niemcami była ucieczką przed spodziewanymi ze strony władz sowieckich represjami. Był to też sposób na uniknięcie, choć przez jakiś czas, śmierci, która groziła im w niemieckich obozach jenieckich.

Wielka luka pomiędzy frontem kaukaskim a Stalingradem wynosiła 300 kilometrów. Patrole zwiadowcze 16. DP (zmot) podchodziły aż pod bramy Astrachania.

Wczesna jesień 1942 roku. Elista – wejście do budynku sztabu 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej.

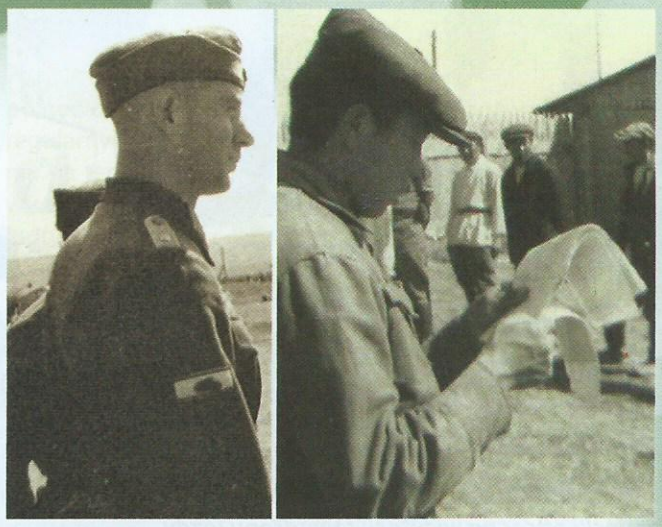

Niemiecki oficer wraz z cywilnym pomocnikiem odczytują odezwę do ludności kałmuckiej.

Jeździec kałmucki latem jesienią 1942 roku.

W październiku 1941 r. pierwsze grupy radzieckich jeńców zaczęły budować drogi na tyłach niemieckich wojsk. Zimą 1941-42 przystąpiono do tworzenia pierwszych formacji zbrojnych złożonych z ochotników wschodnich. Ich waleczność i poświęcenie oraz niebywała wytrwałość nie raz zadziwiała niemieckich przełożonych. Tym razem przyszedł czas na Kałmuków. Według koncepcji Alfreda Rosenberga, głównego ideologa hitlerowskiego, Legiony Wschodnie miały się składać jedynie z ochotników spośród narodów nierosyjskich ZSRR. Decyzją Hiltera ich skład narodowościowy został ograniczony do przedstawicieli narodów żyjących daleko od przewidywanej granicy Wielkiej Rzeszy. Porażka wojsk niemieckich pod Moskwą, zimą 1941, przyspieszyła wprowadzenie w życie decyzji dotyczących utworzenia Legionów Wschodnich. 30 XII 1941 r. do Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu trafiło ściśle tajne memorandum, na podstawie którego miano sformować pierwsze Ostlegiony. Odpowiedzialnym za to był gen. Ernst August Köstring. W wielu pułkach oraz sztabach dywizji przyspieszono natychmiast realizację wszystkich działań znajdujących się dotąd w stadium planowania, a dotyczących organizowania oddziałów ochotniczych. Podobna sytuacja zaistniała w dowództwie 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej.

Kałmucy po stronie Wehrmachtu

Formowaniu jednostek z ochotników na Kaukazie sprzyjała odmienna forma okupacyjna, niż ta przyjęta na terenach zajętych w czasie kampanii w 1941 roku. Armia sabotowała instrukcje Sauckela, od marca 1942 r. generalnego pełnomocnika do spraw pracy – urzędu zajmującego się wywózką do Rzeszy taniej siły roboczej z podbitych wschodnich terenów. Ponadto, gen. Ernestowi Augustowi Köstringowi (od IX 1942 główny inspektor Wehrmachtu do Spraw Kaukazu przy dowództwie Grupy Armii „A") udało się namówić gen. Ewalda von Kleista do wydania niecodziennego rozkazu. Dotyczył on traktowania radzieckich jeńców zgodnie z postanowieniem Konwencji Genewskiej. Wprowadził również wysokie i rygorystyczne kary za jakiekolwiek nieuzasadnione wystąpienia przeciwko własności prywatnej i życiu ludności cywilnej regionu Kaukazu. Wkrótce Niemcy zauważyli, że polityka ta przynosi doskonałe rezultaty, co odnotowano w raporcie do dowództwa Grupy Armii „Południe": *„W rejonach zamieszkałym przez Kozaków i Kałmuków na północy* [Kaukazu] *i w rejonach muzułmańskich, powitanie* [wojsk niemieckich] *było szczere i entuzjastyczne"*.

W sierpniu 1942 r. niemieckie wojska prowadzące ofensywę w kier. Stalingradu i Kaukazu zajęły terytorium Kałmuckiej Autonomicznej Socjalistycznej RR. 12 sierpnia wkroczyły do stolicy Kałmucji – Elisty. Na okupowanym terenie Niemcy starali się prowadzić politykę gwarantującą bezpieczeństwo i sprawność komunikacji, przy możliwie małym zaangażowaniu sił własnych, potrzebnych na froncie. Według danych statystycznych z 1939 r. ludność Kałmucji wynosiła ok. 135 tys. obywateli, poza samą Republiką spore skupiska Kałmuków znajdowały się w okręgach: stalingradzkim i stawropolskim. Wkrótce rozpoczęło się formowanie pierwszych ochotniczych jednostek zbrojnych. Kałmucy zaskoczeni tym, iż traktowano

Pierwsze „wolno organizowane" szwadrony jazdy kałmuckiej.

Niemiecki oficer na wizytacji szwadronu jazdy.

Jedno z nielicznych takich zdjęć – niemieccy żołnierze z kobietami kałmuckimi w tradycyjnych strojach.

ich jak sojuszników, chętnie szli na współpracę. Samoczynnie powstawały oddziały samoobrony kałmuckiej, które wspierały niemieckie garnizony w walce z partyzantką. Każdy z takich oddziałów miał prawo posiadania własnego baneru (azjatyckiej chorągwi). W stolicy Republiki utworzono Komitet Narodowy, któremu pozostawiono władzę administracyjną, doradczą i pomocniczą przy „tymczasowej" administracji wojskowej. Przeznaczono również spore środki finansowe na działalność Komitetu oraz na pomoc dla najuboższych rodzin kałmuckich. W Eliście wyznaczono dwóch burmistrzów, z których Bemba Cuglinow uchodził za przedstawiciela ludności kałmuckiej, a nawet propagandowo przedstawiany był jako „prezydent narodu kałmuckiego". Władze niemieckie respektowały też dążenia Kałmuków do przywrócenia wcześniejszych form gospodarowania: zaaprobowali rozwiązanie kołchozów oraz rozdział bydła kołchozowego i pastwisk. Uruchomili kałmuckie szkoły, wydawane było pismo „Halmar" („Kałmuk"). Rozpoczęto odbudowanie buddyjskich świątyń. Na rzecz współpracy z Niemcami działali także kałmuccy emigranci polityczni, którzy w 1942 r. utworzyli Kałmucki Komitet Narodowy z Szambą Balinowem (1894-1959) na czele. Pierwszą w pełni sformowaną jednostką kałmucką była Abwerhtruppe 103., która powstała już 1 VIII 1942 roku. Była wykorzystywana do akcji dywersyjnych i wywiadowczych przez Abwehrę. Na wybór jeźdźców kałmuckich wpływ miały ich niesamowite w tym kierunku zdolności oraz to, iż ich małe, masywne koniki zwane „Panje" były jedynymi, które wytrzymywały ciężkie warunki klimatyczne oraz potężny wiatr, jaki jesienią i zimą „panował" na kałmuckim stepie. Dowódcą jednostki był Dr Otto Doll. Jednostka podlegała dowództwu 6. Armii gen. Friedricha von Paulusa. Od września 1942 r. pierwsze szwadrony kałmuckie były organizowane przy dowództwie 16. Dywizji. Do końca lata sformowano 7 jednostek kałmuckich (wielkości szwadronów). Szwadrony te używały narodowej żółtej flagi kałmuckiej. Z czasem postanowiono zorganizować porozrzucane szwadrony kawaleryjskie w jedną zwartą jednostką z własnym dowództwem. 14 I 1943 r. Legion Kałmucki nazwano „Kalmücken Verband Dr Doll".

Jedna z niewielu kompanii piechoty sformowanej z Kałmuków – lato 1944 r.

Charyzmatyczny dowódca

Dr Doll, to pseudonim niemieckiego oficera wywiadu, który zorganizował Abwehrtruppe 103. Naprawdę nazywał się Othmar (Ottmar) Rudolf Verba i miał stopień Sonderführera. Używał również rosyjskiej wersji swego nazwiska – Rudolf Wierba. Stąd pojawiły się również wersje, że był agentem NKWD. To jednak mało prawdopodobne. Verba urodził się 2 II 1900 r. w rodzinie emigrantów rosyjskich, którzy osiedlili się w Sudetach. Podczas I wojny światowej ukończył austriacką szkołę wojskową. Po wojnie walczył w armii Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Semena Petlury. Walczył również jako oficer kawalerii w armii Białej Rosji gen. Piotra Wrangla. Miał charakter awanturnika. Między wojnami pracował jako kupiec i architekt w Czechosłowacji, po czym, po włączeniu Sudetów do Rzeszy w 1938 r., wstąpił do armii niemieckiej. Do swej śmierci osiągnął rangę pułkownika (inne źródła mówią o majorze). Został skierowany do wywiadu, jako że biegle znał język rosyjski. Służył również jako attaché wojskowy w konsulacie Rzeszy w Odessie. Pierwszymi w pełni sformowanymi jednostkami kałmuckimi były 1. i 2. Szwadron Kał-

mucki, które 17 X 1942 r. zostały oficjalnie włączone w skład Wehrmachtu, jako 1. i 2. Kalmückenschwadron „66", z których później sformowano Legion Kałmucki. Szwadron jazdy, na tym etapie, w przybliżeniu odpowiadał wielkości kompanii piechoty i zwykle składał się z dwóch oddziałów o wielkości od 60 do 100 jeźdźców każdy.

Na ojczystej ziemi

Już we wrześniu 1942 r. na terenie Kałmucji zajętej przez Wehrmacht zorganizowano 25 oddziałów milicji, z których każdy liczył 100 osób. Zostały one natychmiast po sformowaniu przydzielone do zadań na stepach. Kałmucy okazali się prawdziwymi mistrzami w walce podjazdowej prowadzonej na koniach. Przeprowadzali rajdy kawaleryjskie i wypady zwiadowcze docierając na głębokie tyły wroga. Wartość bojowa i ich umiejętności okazały się dla Niemców bezcenne podczas ubezpieczania odkrytych skrzydeł i tyłów sił niemieckich skoncentrowanych w okolicach Justy, po obu stronach drogi Elista-Astrachań, oraz w rejonie Utty i Chałchuty. Raz za razem rozbijali sowieckie oddziały zwiadowcze, okazali się też niezawodni jako straż przednia. Oddziały kałmuckie zniszczyły także radzieckie jednostki spadochronowe w rejonie Utty i Chałchuty. Wkrótce 7 samodzielnych szwadronów kawalerii kałmuckiej operowało na froncie. Jeden szwadron kawalerii z końcem października 1942 r. rozbił połowę oddziałów partyzanckich w rejonie Ułan Tug, na południe od Utty. Do początku grudnia 1942 r. Niemcom pomagało zaledwie 1,5 tys. jeźdźców, jednak ich liczba szybka rosła. Już pod koniec miesiąca osiągnęła około 3 tys. jeźdźców, w tym 75 niemieckich oficerów i podoficerów. Generał von Schwerin otwarcie przyznawał w swych raportach, że bez pomocy Kałmuków jego dywizja nie byłaby w stanie wykonać powierzonych jej zadań. Za sprawą konnego zwiadu otrzymywał *„bezcenne informacje o wrogu w rejonie Astrachania i w delcie Wołgi"*. Kałmuccy zwiadowcy odpowiednio wcześniej poinformowali także Niemców o przygotowaniach do sowieckiej ofensywy zimowej, która zakończyła się sromotną klęską 6. Armii pod Stalingradem.

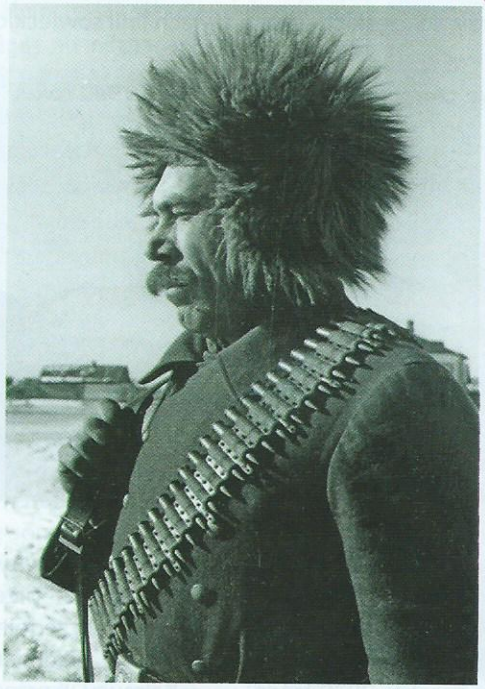

Jeździec kałmucki w pełnym oporządzeniu zimowym.

Trudno jest dokładnie określić liczebność, a nawet rozmieszczenie poszczególnych jednostek kawalerii w czasie niemieckiej ofensywy na Kaukaz. Osobliwym zrządzeniem losy odwrót niemiecki na froncie wschodnim (zimą 1942-1943) wyszedł Kałmukom na dobre. Napływ zdolnych do walki kałmuckich jeźdźców – uciekinierów był tak duży, że w lutym 1943 r. można było formować kolejne jednostki. Kałmucy nawet w czasie odwrotu Niemców atakowali i operowali na tyłach nacierającej Armii Czerwonej. Kałmuckie szwadrony zniszczyły sowieckie oddziały skoczków spadochronowych w rejonie Utty i Chałchuty, pod Ułan-Tug rozbili oddział partyzancki. Jeszcze 18 I 1943 r. jednostki kałmuckie, którymi dowodził bezpośrednio Dr Doll, pod miejscowością Egorłkom, na północ od Salska, i pod miejscowością Mantycz odparły atak regularnych oddziałów Armii Czerwonej. Zaraz po wkroczeniu na teren kałmucki Sowietów, doszło do brutalnej rozprawy z niepokornymi obywatelami oraz wywózki sporej części ludności na Syberię. Kiedy armia niemiecka rozpoczęła ewakuację z Kaukazu, dowódcy Wehrmachtu zaproponowali starszyźnie wycofanie się razem z nimi. Nie wszyscy chcieli wierzyć w dalsze dobre intencje swych sojuszników, jednak zbliżająca się Armia Czerwona nie dawała im wyboru. Wkrótce, wraz z jednostkami armii podążały długie kolumny mężczyzn, kobiet, dzieci, zwierząt jucznych oraz wozy wypełnione dobytkiem w stronę Ukrainy. Oblicza się, że rejon Kałmucji opuściło około 15 tys. osób, blisko 80 tys. zostało, nieświadome losu jaki zgotują im zwycięzcy.

Odwrót i ucieczka

Wkrótce Dr Doll z podległych mu jednostek rozpoczął tworzenie pułku kawalerii. Szefem sztabu został lokalny dowódca kałmucki Baldan Metabon. Jednym z pierwszych batalionów kałmuckich dowodził mjr Abushinov. W aktach Głównego Dowództwa Wehrmachtu sygnowanych na początek 1943 r., pułk nazywany jest najczęściej „Zgrupowaniem Kałmuków Dr. Dolla", w późniejszym okresie został przemianowany (w VII/VIII 1943) na „Kałmucki Korpus Kawalerii" (Kalmücken Kavallerie Korps). Od 18 I 1943 r. szwadrony kałmuckie stacjonowały na wschód od Salska, na Ukrainie. Od stycznia do lutego szefem sztabu był Dordzhi Arbakov, natomiast od lutego do czerwca funkcję tę sprawował Sanchir Konokov. Do kwietnia 1943 r. udało się sformować 4 oddziały o wielkości mniej więcej batalionu. Jeszcze w lutym wszystkie jednostki kałmuckie zostały podporządkowane dowództwu 3.

Dwaj najwięksi orędownicy wykorzystania ochotników wschodnich w ramach Wehrmachtu – generałowie: Ernst August Köstring (z prawej) i Hans Krebs.

Dywizji Pancernej i skierowane wraz z Pułkiem Kozaków „von Jungschulz" do zabezpieczenia wybrzeża Morza Azowskiego w rejonie Taganrogu. Wraz z Kozakami osłaniali przeprawę przez rzekę Manych, na drodze do Rostowa. Korpus był również podporządkowany operacyjnie 444. i 213. Dywizjom Bezpieczeństwa. Z końcem kwietnia 1943 r. „Kałmucki Korpus Kawalerii" podporządkowany został Grupie Armii „Południe". Na wyposażeniu jednostki było: 6 moździerzy, 15 ciężkich (typu Maxim wz.1910) i 15 ręcznych karabinów maszynowych (MG 34), 33 niemieckie MP 40 i 135 radzieckich automatów PPSh, radzieckie, niemieckie i holenderskie karabiny (Het Geweer M 95) oraz 35 samochodów ciężarowych. Dostarczono również 1000 holenderskich karabinów i 35 tys. nabojów do tej broni. W bardzo niewielkim stopniu wykorzystywano zdobyczne, radzieckie oraz niemieckie ciężarówki. Korpus prowadził działania ochraniające niemieckie linie zaopatrzeniowe na prawym brzegu Dniepru. Do 18 IV 1943 r. jednostka kałmucka liczyła łącznie 2200 żołnierzy i oficerów, jednak już 10 dni później w skład Korpusu wchodziło: 79 kałmuckich oficerów, 353 podoficerów, 2029 jeźdźców oraz 2 tys. koni i wielbłądów. Kiedy rozpoczął się odwrót za Dniepr z Zaporoża, jednostka przechodzi pod dowództwo Oberfeldkommandanten 397. Stan na dzień 23 V 1943 r. przedstawiał się następująco: 67 oficerów kałmuckich, 374 podoficerów, ok. 3 tys. żołnierzy oraz 4 600 koni i wielbłądów. W sierpniu 1943 r. Korpus Kawalerii Kałmuckiej składał się z IV dywizjonów (oddziałów), a każdy nich z pięciu szwadronów kawalerii. Dowódcą był Dr Otto Droll, jego adiutantem mjr Eduard Bataev (prawdziwe imię i nazwisko to Erdne Dordziew), a zastępcą mjr Baldan Metabon. Łącznikiem niemieckim był mjr Kallmeyer (w sierpniu 1944 r. zastąpił go kpt. baron von Kutzchenbach). Dywizjon I pod dow. mjr. Czilgirova i mjr. Lukjanowa składał się z 1., 4., 7., 8. i 18. szwadronu; II dywizjon (mjr.: Mukebenowa i Boldyriewa) składał się z 5., 6., 12., 20., 23. szwadronu; III (mjr.: Czilgirowa i Abušinowa) z 3., 14., 17., 21. i 25. szwadronu, natomiast IV (mjr.: Sawkajewa i Konokowa) z 2., 13., 19., 22. i 24. szwadronu. Kolejne pięć: 9., 10., 11., 15. i 16. pozostawało i operowało samodzielnie na tyłach linii sowieckich. Liczebność każdego szwadronu to 120 do 150 żołnierzy. Od lipca 1943 do marca 1944 r. szefem sztabu był Baldan Metabon (b. oficer radzieckiej 110. DK). Dodatkowo do każdego oddziału należał jeden specjalny szwadron, określany przez Niemców Jagdgeschwader, czyli szwadron „łowców" lub „polujący". Elitarna formacja (licząca jedynie 60 jeźdźców) spełniająca rolę sił szybkiego reagowania. Sztab Korpusu stacjonował w tym czasie w Kriworogu (do sierpnia 1943), później został przeniesiony do Dniepropietrowska-Diewki. Sztaby poszczególnych dywizjonów znajdowały się w: Dołgioncewie, Piatichatkach, Apostołowie i Surskoj-Michałowce.

Niemieckie czołgi w Kałmucji w sierpniu 1942 roku.

Kałmucy, w przeciwieństwie do Rosjan a nawet Kozaków, nigdy nie byli formacją w składzie Wehrmachtu. Występowali jako sojusznik III Rzeszy w walce z bolszewikami. Pod względem organizacji i formy działania również przez Niemców uważani byli za niezależny korpus ochotniczy, jak zgrupowanie sojusznicze. Czynni w tym korpusie Niemcy nie mogli wydawać rozkazów żołnierzom kałmuckim. W ich kompetencjach leżały tylko sprawy administracyjne, doradztwo, kwestie sanitarne i inne zadania natury ogólnej. Na szczeblu niższym niż sztab zgrupowania, dowodzenie dywizjonami i szwadronami należało wyłącznie do oficerów kałmuckich. Większość oficerów wywodziła się z kawalerii Armii Czerwonej. Niektórzy z nich, jeszcze przed woj-

1944 rok – oficer kałmucki odbiera defiladę jednego ze szwadronów Korpusu Kawalerii Kałmuckiej.

Kałmuk i Kozak – w 1945 roku resztki Korpusu przydzielono do jednej z trzech dywizji kozackich gen. von Pannwitza.

Umundurowanie i uzbrojenie:
Korpus Kawalerii Kałmuckiej nosił umundurowanie niemieckie, a wyróżnikiem narodowościowym była błękitna, okrągła tarcza naramienna z brązowym lub brązowoczerwonym emblematem, przypominającym polskie motywy góralskie. Na żółtym otoku tarczy Kałmucy i nieliczna kadra niemiecka nosili dwujęzyczny brązowy lub czerwonobrązowy napis: *„ЦОЛЛИН ХДЛЪМГ МЦРТА ЦЕРГ – KALMŰKEN VERBÄND DR DOLL"*. Żołnierze kałmuccy, jak zresztą większość oddziałów wschodnich u boku Wehrmachtu, nigdy nie odznaczali się jednolitym uzbrojeniem i umundurowaniem. Ich wygląd był efektem większej lub mniejszej improwizacji. Poza umundurowanie niemieckim, sowieckim używane były sorty byłej armii carskiej, odpowiednio dostosowane. Nakryciem głowy były niemieckie czapki polowe, furażerki a także futrzane „kubanki", charakterystyczne zwłaszcza dla jednostek kozackich. Jedynym z najbardziej charakterystycznych atrybutów wschodnich kawalerzystów, w tym szczególnie Kałmuków i Kozaków była broń sieczna. Stanowiły ją głównie regulaminowe radzieckie szaszki wz. 1927 oraz carskie dragonki. Sprzęt i uzbrojenie były pochodzenie niemieckiego, radzieckiego i holenderskiego. Na wyposażeniu korpusu było także 30 ciężkich karabinów maszynowych i bliżej nieokreślona liczba moździerzy.

ną ukończyli Akademię Wojenną. Od maja nastała kolejna zmiana na stanowisku szefa sztabu, do lipca 1944 r. funkcję tę sprawował Mukeben Khakhyshev. W lipcu 1944 r. Korpus Kawalerii Kałmuckiej został zreorganizowany w dwie brygady po dwa pułki każda. W tym samym miesiącu zginął płk Otto Verba (Dr Doll) oraz jego szef sztabu Khakhyshev. Szefem sztabu został kpt. Dordzi Arbakov. We wrześniu, po śmierci dowódcy kałmuckiej żandarmerii polowej por. Kuskina, dowództwo nad Korpusem obejmuje płk Eduard Bataev. Stan osobowy przedstawiał się następująco: 147 oficerów (kałmuckich), 374 podoficerów i 2917 szeregowych. Przybyło również więcej niemieckich oficerów, bo aż 90. Objęli oni również wyższe stanowiska dowodzenia.

Korpus wraz z Niemcami wycofywał się przez Ukrainę w stronę Polski, aż w końcu został w całości przerzucony w okolice Radomia. Liczył w tym momencie 5 tys. oficerów i żołnierzy kałmuckich. Oblicza się, że przez te jednostki przewinęło się od 10 do 15 tys. żołnierzy kałmuckich. Skąd ta rozbieżność? Poza ochotnikami z samej Kałmucji (1942-43) sporym „zastrzykiem" dla Korpusu byli kałmuccy jeńcy – ochotnicy oraz dezerterzy Armii Czerwonej. Od stycznia 1944 r. do lutego Kałmucy operowali w rejonie Dniepropietrowsk-Dietka, wycofując się wraz z jednostkami armii węgierskiej. W ten sposób powoli zbliżali się do terenów Polski.

Z terenu Polski ku zagładzie...

W maju 1944 r. Kałmucki Korpus Kawalerii, wraz z jednostkami niemieckimi, wziął udział w operacji „Maigewitter" („Majowa Burza"), której celem było przywrócenie ruchu pociągów na odcinku Zawada-Bełżec, na trasie kolejowej Lublin-Lwów. Akcja skierowana była przeciwko oddziałom partyzanckim Armii Ludowej, Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i partyzantce sowieckiej. Kałmucy mieli zniszczyć oddziały stacjonujące w Puszczy Solskiej. 28 maja Korpus przerzucono z rejonu Rawa Ruska-Lubaczów na Lubelszczyznę. Zajęto pozycje na lewym brzegu rzeki Tanew, od wsi Księżpol do wsi Zamch i opanowano południową część powiatu biłgorajskiego. Szwadrony kałmuckie zajęły: Aleksandrów, Babice, Borowiec, Olchowice, Chmielek, Łukową, Przymiarki, Rudę Rożaniecką, Obszę, Wolę Obszańską i inne wsie. Tego samego dnia zaatakowali przednią straż oddziałów partyzanckich w Puszczy Solskiej. Ich celem było uchwycenie przyczółków na drugim brzegu rzeki Tanwei i kontynuowanie natarcia. Zostali jednak odrzuceni przez sowieckie oddziały. Rozpoczęły się też ciężkie walki z oddziałami AK i BCh, trwające do 9 VI 1944 roku. W ich trakcie Kałmucy przeprowadzili wiele okrutnych akcji pacyfikacyjnych na terenie Zastanawia, w czasie których dopuścili się licznych grabieży, gwałtów i mordów na ludności cywilnej. Na obszarze Generalnej Guberni Korpus uczestniczył, m.in. w czerwcu 1944 r., w dużych operacjach antypartyzanckich Sturmwind I i Sturmwind II, realizując z reguły zadania pomocnicze. Pacyfikował wówczas wsie w Lasach Janowskich i Lipskich. Najbardziej znaną akcją Korpusu była walka w lasach nieopodal Biłgoraju, w czerwcu 1944 roku. Wraz z jednostkami niemieckimi rozpoczęli oczyszczanie tego terenu m.in. z oddziałów AL, AK i BCh. W lipcu Kałmucki Korpus Kawalerii wziął udział w kolejnej operacji przeciwpartyzanckiej pod kryptonimem „Wirbelsturm" (Cyklon). Jej głównym celem było zniszczenie oddziałów partyzanckich działających

w Lasach Parczewskich (łącznie 6 tys. ludzi). Niemcy wraz z Korpusem mieli do dyspozycji 9 tys. żołnierzy. W czasie akcji sił niemieckich oddziały partyzanckie zostały okrążone. Pomimo zaciskającego się pierścienia okrążenia, różne oddziały partyzanckie nie podjęły ze sobą współpracy. W nocy z 17/18 VII 1944 r. tylko oddziały AK z 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty wydostały się z matni. Od sierpnia 1944 r. dowództwo nad jednostką kałmucką objął (do grudnia tego samego roku) płk Pipgorra, ps. „Bergen". Korpus pod jego rządami zyskał ponurą sławę swoimi okrucieństwami. W sierpniu również na stanowisko szefa sztabu wrócił Dordzhi Arbakov. Funkcję tę sprawował aż do końca kwietnia 1945 roku. W lipcu 1944 r. Korpus został skierowany do walki przeciwko regularnym oddziałom Armii Czerwonej. To wtedy zginął w walce Otto Verba i kilku wysokiej rangi dowódców kałmuckich. Pod koniec 1944 r. kierownictwo polityczne i wojskowe Kałmuków postanowiło, jako jedyny nierosyjski lud, przyłączyć się do Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji (KONR) gen. Adrieja Własowa, który powstał w Pradze. Korpus w styczniu brał udział w walkach w czasie radzieckiej styczniowej ofensywy. Oddziałom radzieckim udało się nieomal okrążyć i zniszczyć Kałmucki Korpus Kawalerii w okolicach Kielc. Wtedy też dowództwo przejął płk Bataev, któremu udaje się w desperackim ataku wyrwać Sowietom i uratować jednostkę. Jeszcze w tym samym miesiącu 1945 r. miano przydzielić Kałmuków do Kaukasicher Waffen-Verband SS, ponieważ jednak oddziały tej formacji rozrzucone były wzdłuż całego frontu wschodniego, pomysł nie doczekał się realizacji. Ostatecznie skoncentrowano go w lutym 1945 r. na poligonie w Neuhammer, gdzie miał zostać wzmocniony przez dodatkowy pułk kawalerii. Mimo ogromnych strat Korpus nadal liczył 5 tys. żołnierzy i oficerów. Jednak służyli w nim zarówno młodzi 18-latkowie jak i mężczyźni powyżej 45 roku życia. W tej sytuacji zapadła decyzja wysłania go do Bawarii na reorganizację. Tak został sformowany Pułk Kawalerii Kałmuckiej. Przez niecały miesiąc, od grudnia do stycznia, dowodził nim rotmistrz (kapitan) Brükner. W marcu 1945 r. wcielono resztki Korpusu (w większości jednostki piechoty) do Pułku Kozaków Dońskich, gdyż w armii carskiej jednostki kałmuckie wchodziły w skład tych właśnie jednostek. Kałmucy zostali przydzieleni do 3. Dywizji Piechoty Kozackiej (Piastunów). Tym samym KKK został rozwiązany. Pułkiem Kozaków Dońskich dowodził wówczas płk Iwan Nikita Kononova. Od stycznia 1945 r. Kalmüken Verband pod dowództwem mjr. Raimunda Hoersta przerzucono do Chorwacji, i tam podporządkowano dowództwu XV. Kozackiego Korpusu Kawalerii SS. Kiedy wojna dobiegała końca, jednostka kałmucka udała się w kierunku Austrii. Część szwadronów wykorzystano jako oddziały zwiadu w dywizjach ROA, czyli w 600. Dywizji Piechoty (rosyjskiej nr 1) oraz 650. Dywizji Piechoty (rosyjskiej nr 2). Wielu żołnierzy zginęło w walce z partyzantami, wielu zostało rozstrzelanych. Ci, którzy przeżyli i dostali się do niewoli brytyjskiej, zostali wydani Sowietom. Większość kałmuckich jeńców stracono, reszta dostała surowe i długie wyroki w GUŁ-agach.

Literatura i wybrane źródła:
1. A, Alexiew, „Soviet Nationalities in German wartime Strategy, 1941-1945", Santa Monica 1982
2. J. F. Borsarello, W. Palinckx, „Wehrmacht and SS, Caucasian, Muslim, Asian Troops", Bayeux 2007
3. Ch. Bishop, „Zagraniczne formacje SS. Zagraniczni ochotnicy w Waffen SS w latach 1940-1945", Warszawa 2006
4. P. Carell, „Operacja »Barbarossa«", Warszawa 2008
5. S. Drobiarko, A. Karaszczuk, „Wtoraja mirowaja wojna 1939-1945: Wostocznyje legiony i kazacz'i czasti w Wiermachtie", Moskwa 2001
6. J. Hoffman, „Deutsche und Kalmyken 1942 bis 1945", Freiburg 1986
7. W. J. Gdański W. J., „Zapomniani żołnierze Hitlera", Warszawa 2005
8. „Kałmucki Korpus Kawalerii. Zbrodnie popełnione na ziemiach polskich w 1944 r. w dokumentach SB" – wstęp, wybór źródeł i opracowanie R. Sobel, Lublin 2011
9. W. H. Krause W. H., „Kozacy i Wehrmacht", Kraków 2006
10. R Landwehr., „The Cossack Cavalery Corps of the Waffen SS", [w:] „Siegrunen" vol. 6, nr 2/1983
11. D. Littlejohn, „Foreign Legions of the Third Reich (4) Poland, Bulgaria, Ukraine, Romania, Free India, Estoni", San Jose 1994
12. H.W. Neulen, „An deutscher Seite. Internationale Freiwilige von Wehrmacht und Waffen SS", Monachium 1992
13. J. Piekałkiewicz, „Wojna kawalerii 1939-1945", Łódź 2003
14. P. Polan, „Against Their Will, The History and Geography of Forced Migations in the USSR", Budapest – New-York 2001
15. J. Thorwald, „Iluzja. Żołnierze radzieccy w armii Hitlera", Warszawa 2010

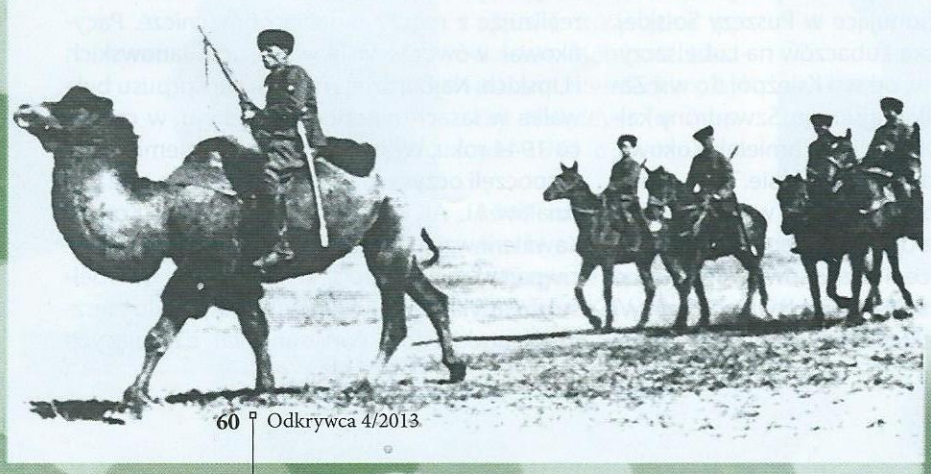

Ostatnie zwiedzanie fortu VIIa

TEKST: PRZEMYSŁAW MAĆKOWIAK
ZDJĘCIA: AUTOR; WIZUALIZACJA: ARTCAD STUDIO

Poznańska twierdza fortowa zbudowana po wojnie francusko-pruskiej 1870-1871 stanowiła jedną z największych oraz najsilniejszych twierdz na wschodzie Cesarstwa Niemieckiego. Wśród 18 głównych dzieł zrealizowanych w ostatniej ćwierci XIX w., bardzo interesujący jest fort pośredni VIIa. Będzie go można zwiedzać po raz ostatni publicznie, w trakcie Weekendu Fortecznego odbywającego się w dniach 27-28 kwietnia, gdyż już niedługo prywatny obiekt będzie adaptowany na biura.

Elewacja koszar szyjowych fortu VIIa, z lewej kaponiera szyjowa, z prawej wjazd główny.

Powstanie projektu standardowego fortu artyleryjskiego było efektem opracowania nowej koncepcji fortyfikacji – systemu fortowego ześrodkowanego, opartego na pierścieniu samodzielnych dzieł przystosowanych do obrony okrężnej. Innowacje te wymusiło wynalezienie nowych materiałów wybuchowych oraz gwałtowny rozwój artylerii w latach 60. XIX wieku. Umocnienia takiego typu, jak poznańska twierdza poligonalna były już przestarzałe. Z tego też względu, doceniając strategiczne znaczenie miasta, zakwalifikowano je 24 VI 1872 r. do grupy 17 twierdz I kategorii, przewidzianych do daleko posuniętej rozbudowy. Modernizacja miała polegać na realizacji pierścienia samodzielnych fortów.

W rezultacie, w pierwszym etapie w latach 1876-1883, zbudowano 9 standardowych artyleryjskich fortów głównych (I-IX) oraz 3 dzieła pośrednie (IVa, VIa, IXa) wraz z siecią dróg fortecznych oraz systemem zieleni maskującej. Forty pośrednie nowego typu zrealizowano na tych międzypolach fortów głównych, gdzie nie było jeszcze dzieł pośrednich z pierwszego etapu. Były one nieco większe od wcześniejszych, a ich szerokość między narożami fosy od strony miasta wynosiła około 230 m (dla porównania pierzeja poznańskiego Starego Rynku ma około 140 m). Dzieła budowano z wykorzystaniem najnowszych technologii opracowanych z powodu kryzysu w budownictwie fortyfikacyjnym

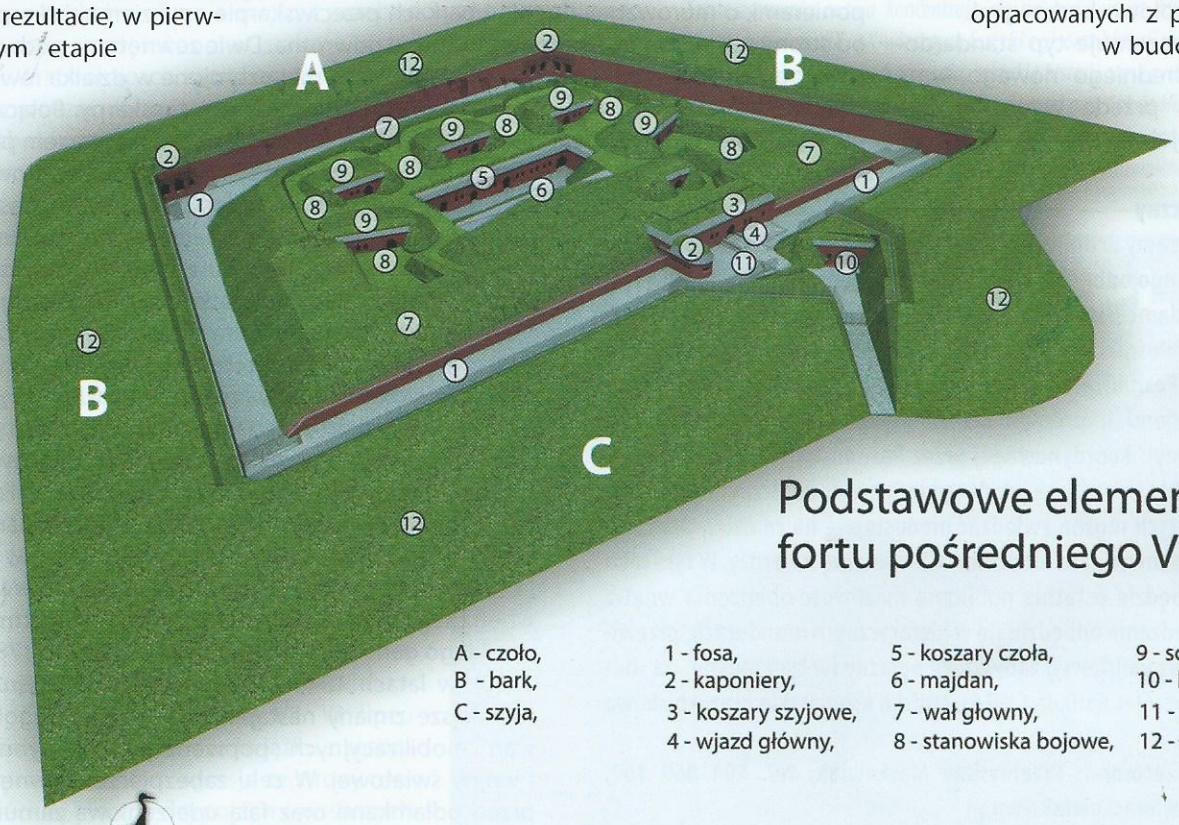

Podstawowe elementy fortu pośredniego VIIa

A - czoło,
B - bark,
C - szyja,
1 - fosa,
2 - kaponiery,
3 - koszary szyjowe,
4 - wjazd główny,
5 - koszary czoła,
6 - majdan,
7 - wał głowny,
8 - stanowiska bojowe,
9 - schrony pogotowia,
10 - blokhauz,
11 - plac broni,
12 - stok bojowy.

Rysunek na podkładzie planu ogólnego bliźniaczego fortu Ia z 1889 roku.
Opracował Przemysław Maćkowiak, wizualizacja: ARTCAD Studio.

Kopuła stalowo-betonowa zamontowana do sierpnia 1939 r. przez Wojsko Polskie na wale głównym.

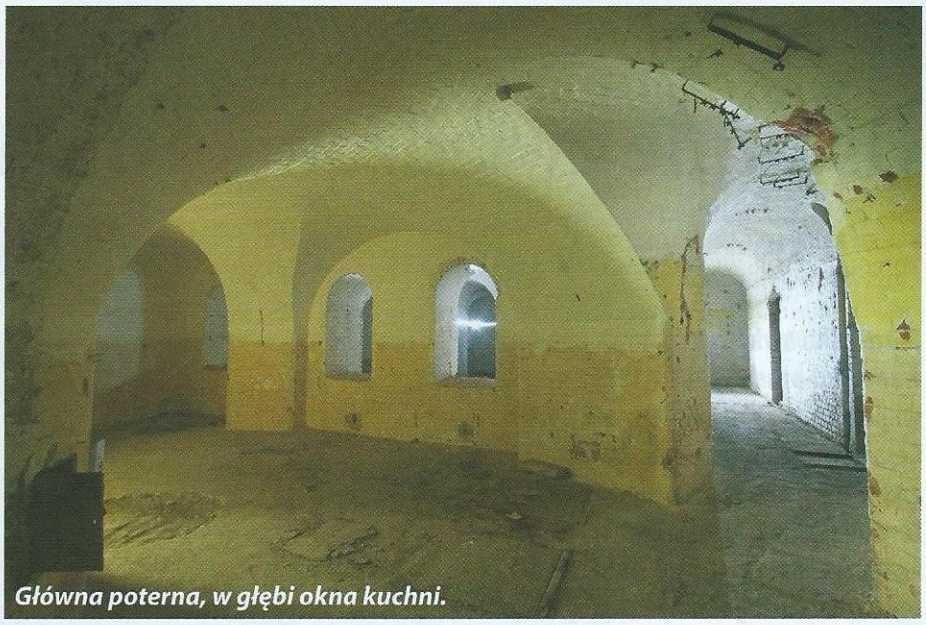

Główna poterna, w głębi okna kuchni.

lat 80. XIX wieku. Zastosowano m.in. strukturę trójwarstwowej konstrukcji ścian narażonych, odporniejszej na nowe rodzaje pocisków. Wszystkie forty zrealizowano w latach 1887-1896 wg tego samego schematu, jednak Ia, VIIa i VIIIa stanowiły odbicie lustrzane IIa, IIIa i Va, różnice występowały także w sposobie komunikacji z kaponierami czołowo-barkowymi.

Fort VIIa reprezentuje typ standardowego fortu pośredniego nowego typu, przeznaczonego przede wszystkim dla piechoty. Zaprojektowano go jako jednowałowy, o narysie trapezu. Czoło i barki tworzył wał ziemny ze stanowiskami piechoty oraz sześcioma działobitniami rozdzielonymi skazamatowanymi trawersami. Od strony szyi znajdowała się jedynie pozycja piechoty ze schronem pogotowia, oddzielona od dziedzińca niewielkim wałem. Za pomocą klatki schodowej można było przedostać się z niego do jednokondygnacyjnych koszar mieszczących izby żołnierskie, wartownię, latryny oraz filtrownię. Środkową część tego bloku stanowił wjazd główny z mostem zwodzonym w sieni bramnej, połączony szeroką poterną pod wałem prawego barku z jednokondygnacyjnymi koszarami czoła. W tych ostatnich znajdowały się izby żołnierskie, oficerska, dowódcy, kuchnia z magazynem prowiantowym, studnia oraz magazyny amunicji. Komunikację z czterema trawersami mieszczącymi trójkondygnacyjne schrony pogotowia zapewniały klatki schodowe, natomiast amunicję na wał dostarczano trzema windami. Wyjątek stanowiła odizolowana dwukondygnacyjna poprzecznica środkowa. Na dziedziniec centralny prowadził wyjazd z poterny głównej oraz cztery wyjścia z koszar czoła. Fort został otoczony suchą fosą bronioną trzema kaponierami, o murowanej w czole i barkach przeciwskarpie oraz ziemnej skarpie, od strony szyi natomiast panowała sytuacja odwrotna. Dwie zewnętrzne podwójne kaponiery, poprzedzone rowami diamentowymi i uzbrojone w działka rewolwerowe, umieszczono w narożach czołowo-barkowych przeciwskarpy. Połączono je poterną wyposażoną w niewielką latrynę i skomunikowaną korytarzem pod fosą z koszarami czoła. Wejścia do kaponier prowadziły także bezpośrednio z fosy. Od zapola fosę zabezpieczała podwójna kaponiera wewnętrzna, usytuowana na lewo od wjazdu i dostępna z koszar. Odcinki barkowe fosy dodatkowo zabezpieczono kratą z bramami oraz rowem diamentowym. Przeciwskarpę wieńczył płot forteczny oraz droga kryta osłonięta stokiem bojowym z przedstokiem kryjącym pas przeszkód przeciwpiechotnych. Wjazd do obiektu prowadził przez trójkątny plac broni wydzielony kratą, z bramami oraz blokhauzem. Fort wyposażony w lekkie działa obsadzała kompania piechoty oraz artylerzyści.

Po decyzji z 3 IX 1902 r. o zniesieniu dzieł wewnętrznego pierścienia twierdzy, fort otrzymał imię pruskiego generała Karla Adolfa von Strotha (1786-1870), w latach 1848-1850 ministra wojny. Gruntowniejsze zmiany nastąpiły w ramach przygotowań mobilizacyjnych poprzedzających wybuch I wojny światowej. W celu zabezpieczenia wnętrz przed odłamkami oraz falą uderzeniową zamuro-

V Weekend Forteczny

Serdecznie zapraszamy w dniach 27-28 kwietnia br. na V Weekend Forteczny, w ramach którego odbędzie się 12. edycja Lubońskiego Rajdu Rowerowo-Pieszego „Śladami Historii" przygotowanego przez Sekcję Historyczną Towarzystwa Miłośników Miasta Lubonia oraz Stowarzyszenie Twierdza i Dawny Garnizon Poznań, przy współpracy z innymi organizacjami społecznymi oraz instytucjami. Impreza po raz kolejny odbywa się w ramach akcji „Poznań za pół ceny!" koordynowanej przez Poznańską Lokalną Organizację Turystyczną. Obie imprezy są jak dotąd jedynymi, cyklicznymi w Poznaniu, w trakcie których można zwiedzać niedostępne na co dzień dla turystów forty zewnętrznego pasa umocnień XIX-wiecznej twierdzy. W tym roku główną atrakcją będzie ostatnia publiczna możliwość obejrzenia wnętrz fortu VIIa. Oprowadzanie odbędzie się w historycznych mundurach, przewidziany jest też obóz wojskowy, zabytkowe pojazdy (w tym jedyny „na chodzie" w Polsce Chevrolet Canada C 60 S), stoisko księgarskie oraz wojskowa grochówka.

Kontakt z organizatorami: Przemysław Maćkowiak, tel. 604 869 102, e-mail: przemyslaw.mackowiak@wp.pl

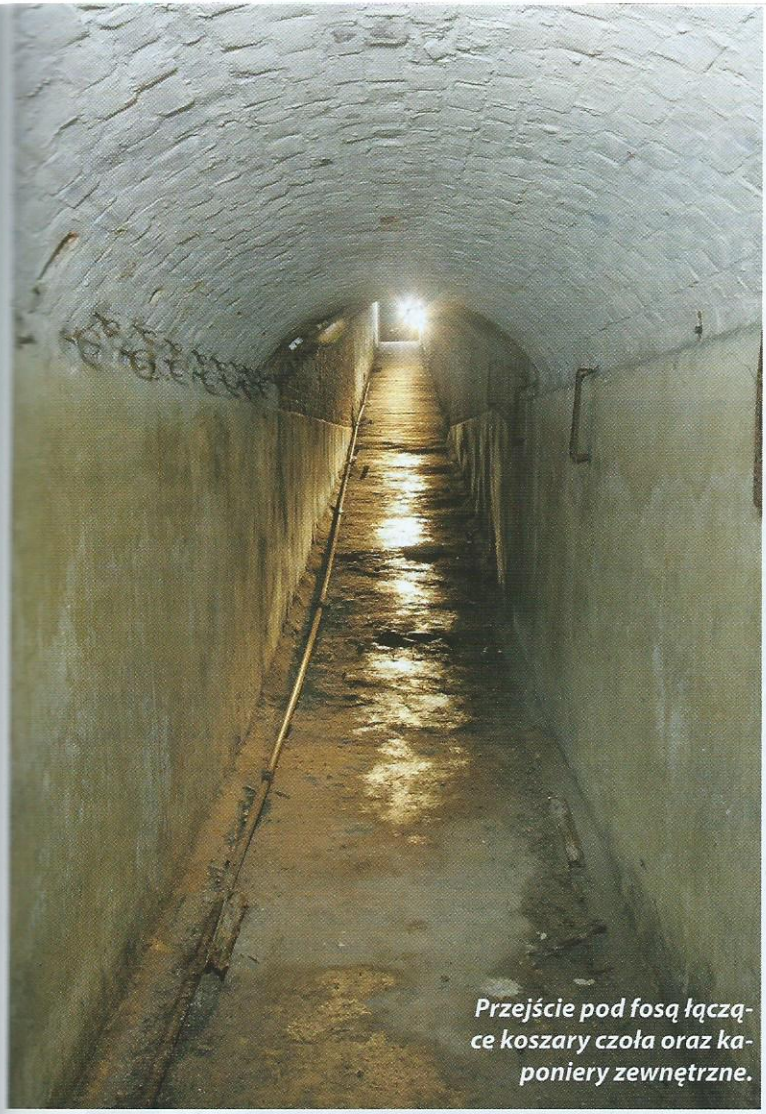

Przejście pod fosą łączące koszary czoła oraz kaponiery zewnętrzne.

wano niektóre okna, a wejścia przebudowano na labiryntowe oraz wyposażono w stalowe drzwi przeciwpodmuchowe. W strzelnicach zamontowano płyty pancerne z zasuwami, unowocześniono także instalację elektryczną, w kaponierach umieszczono reflektory. Na drodze krytej wykonano dwa schrony pogotowia. Podczas Wielkiej Wojny poznańskie fortyfikacje nie odegrały poważniejszej roli. Przebieg wydarzeń w pierwszych tygodniach walk odsunął niebezpieczeństwo oblężenia twierdzy poznańskiej. Z tego powodu dowództwo niemieckie twierdzę „zdemobilizowało", tworząc z niej dobrze wyposażony ośrodek zaplecza. Sytuacja ta znacznie ułatwiła działania wielkopolskim powstańcom, którym w grudniu 1918 r. udało się zdobyć obiekty wojskowe praktycznie bez poważniejszych walk.

W 1931 r. fort VIIa nazwano imieniem generała Zygmunta Zielińskiego (1858-1925) – dowódcy Okręgu Generalnego Poznań, później przekształconego w Okręg Korpusu VII. W lipcu oraz sierpniu 1939 r. w związku z rosnącym zagrożeniem agresją ze strony niemieckiej, na międzypolach i w samych fortach lewobrzeżnej części zewnętrznego pierścienia, zbudowano niewielkie schrony obserwacyjno-bojowe, zamontowano kopuły obserwacyjne oraz wykonano okopy i zasieki z drutu kolczastego. W ramach tych przygotowań zbudowano na koronie wału głównego fortu VIIa dwa schrony obserwacyjno-bojowe oraz zamontowano poniemieckie dwie kopuły stalowo-betonowe. Podczas kampanii wrześniowej w 1939 r. poznańskie umocnienia nie odegrały większej roli. Już 2 września naczelny wódz Rydz-Śmigły podjął decyzję o wycofaniu Armii „Poznań" na główną linię obronną, znajdującą się 100 km na wschód od Poznania. Pierwsze patrole niemieckie wkroczyły do miasta 10 września, a już 12 września administracja niemiecka przejęła władzę. Fortyfikacje zostały przekazane do dyspozycji wojska, przywrócono im także dawne nazwy niemieckie sprzed 1918 r. upamiętniające pruskich wojskowych. W forcie VIIa umieszczono wówczas stację meteorologiczną Luftwaffe. W trakcie walk o Festung Posen w 1945 r., został on zajęty przez wojska radzieckie 12 lutego.

Bezpośrednio po działaniach wojennych fort przejęło wojsko radzieckie, wywożąc z niego zmagazynowaną tam żywność i broń, potem opuszczony ulegał dewastacji. W okresie powojennym był tajnym obiektem mieszczącym Zapasowy Węzeł Łączności Dowództwa Wojsk Lotniczych o kryptonimie „Koliber". Stan zachowania obiektu jest stosunkowo dobry, zachowało się w nim wiele elementów oryginalnego wyposażenia takich jak: pancerze, drzwi przeciwpodmuchowe, krata forteczna. Problemem jest natomiast nadmiernie rozrastająca się na nadziemiu roślinność, szkodząca substancji zabytkowej obiektu oraz zniekształcająca jego bryłę. Obecnym właścicielem fortu jest firma Constructa Plus Sp. z o.o. Sp.k. i w tym roku rozpocznie się jego adaptacja na cele biurowe.

Przemysław Maćkowiak

Zainteresowania autora koncentrują się na architectura militaris, ze szczególnym uwzględnieniem XIX i XX-wiecznych fortyfikacji, oraz historii militarnej w latach 1815-1918, organizacji, umundurowania, taktyki i historii armii pruskiej. Prowadzi też Stowarzyszenie Twierdza i Dawny Garnizon Poznań oraz Sekcję Historyczną Towarzystwa Miłośników Miasta Lubonia. W ubiegłym roku ukazała się jego książka „Twierdza poligonalna" w serii „Poznaj Poznań" opublikowana w wydawnictwie „Święty Wojciech".

REKLAMA

Niemiecka, bierna obrona przeciwlotnicza w okupowanej Warszawie (cz. 1)

TEKST I ZDJĘCIA: JAKUB JAKUBOWSKI, ZBIORY AUTORA

Kryte rowy przeciwlotnicze na dzisiejszym Pl. Powstańców Warszawy, fotografia z 1944 roku.

6 maja 1941 r., a więc w okresie, gdy na wschodzie Niemiec i na okupowanych terytoriach nie prowadzono bezpośrednich działań wojennych, Pełnomocnik Szefa Dystryktu na Warszawę (der Beauftragte des Distriktschefs für die Stadt Warschau) Ludwig Leist[1] wydał *„Obwieszczenie w sprawie przygotowań do zaciemnienia miasta Warszawy"*. Dotyczyło ono wszystkich władz, urzędów, przedsiębiorstw oraz mieszkańców Warszawy, na mocy rozporządzenia o obronie przeciwlotniczej w Generalnym Gubernatorstwie (z dnia 22 IV 1941, Dziennik Rozporządzeń Generalnego Gubernatorstwa). Zaciemnienie polegało na osłonięciu okien szarym papierem oraz założeniu w pomieszczeniach i klatkach schodowych lampek kierunkowych – żarówek przeciwlotniczych w kolorze niebieskim, tzw. „osramówek przeciwlotniczych". Środki do zabezpieczenia mieszkania miał zakupić właściciel, natomiast w przypadku pomieszczeń użytkowanych wspólnie przez mieszkańców, obowiązek zakupu spoczywał na właścicielu budynku. Całość prac dotyczących zaciemnienia miano zakończyć do 31 V 1941 roku. W tym miejscu należy zaznaczyć, iż jeszcze pod koniec 1940 r. zarządzenia dotyczące przygotowania do obrony przeciwlotniczej otrzymały: lotnisko Okęcie, obiekty wojskowe oraz poszczególne obiekty węzła kolejowego (dworce, nastawnie, wagonownie, itd.). Następnie, bo w kwietniu 1941 r., a więc na miesiąc przed wydaniem ogólnego zarządzenia, wskazówki dotyczące zaciemnienia otrzymały obiekty podlegające pod Werkluftschutz, czyli fabryki pracujące na potrzeby okupanta: Gazownia Miejska, Elektrownia Miejska, Miejskie Zakłady Komunikacyjne oraz Wodociągi i Kanalizacja. 19 VI 1941 r. od godz. 21:00 do 24:00 odbyły się na terenie miasta ćwiczenia zaciemniające, a w kilka dni po nich, ćwiczenia ostrzegawcze. Na początku lipca 1941 r. w budynku Kommando der Schutzpolizei (Policja Ochronna) na ówczesnej Polizeistrasse 23 (Al.

Ceglane zabezpieczenie okien piwnicznego ukrycia przeciwlotniczego w budynku Liceum przy ul. Rogalińskiej, fotografia z 1944 roku.

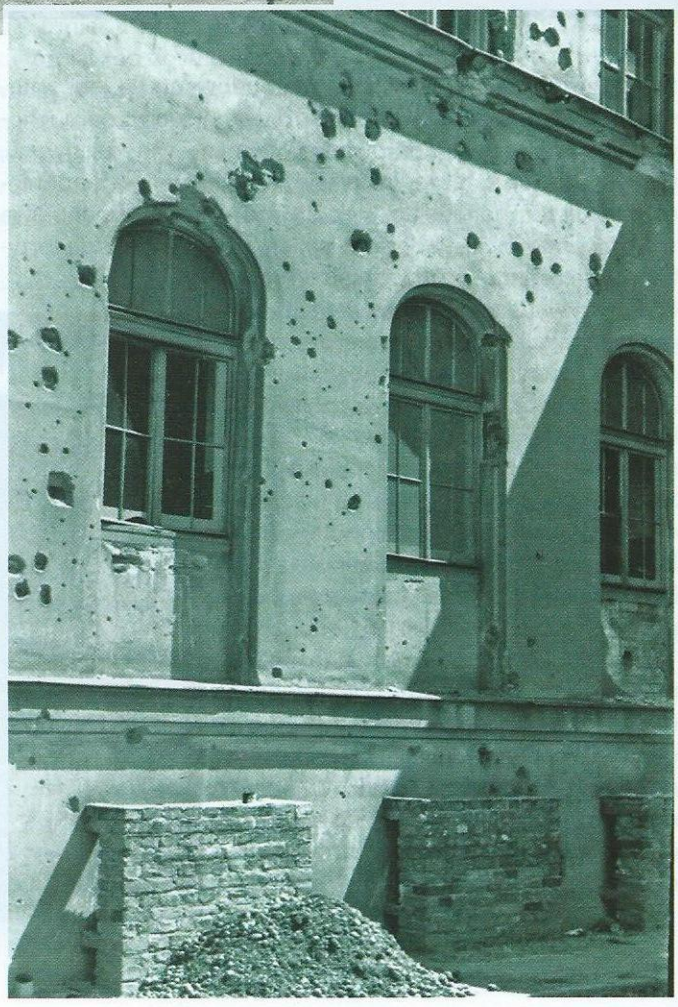

Szucha – dzisiejszy gmach MSZ) powstała Komenda Kierownictwa Technicznego (Technischer Leiter), której powierzono wykonywanie akcji obrony przeciwlotniczej przy pomocy wydziału Luftschutz przy Komendzie Policji Ochronnej. Kierownikiem Technicznym był każdorazowy dowódca Policji Ochronnej. W tym też okresie zorganizowano Luftschutzhilfedienst (LHD) złożoną m.in. ze straży ogniowej, służby ratowniczo-sanitarnej oraz pogotowia technicznego (pracownicy owego pogotowia zaopatrzeni byli w specjalne opaski z napisem Fachtrupp). Pogotowie obejmowało obiekty podlegające pod Werkluftschutz i miało likwidować skutki ataku lotniczego, np. usuwać zwisające przewody pod napięciem w sieci trakcji tramwajowej, czy zabezpieczać zniszczone w wyniku nalotu rury wodociągowe oraz gazowe. Pod koniec 1941 r. niektóre instytucje na terenie miasta, jak m.in. Wodociągi i Kanalizacja, Wojskowe Lazarety, czy też fabryki pracujące na potrzeby frontowe, zostały podłączone bezpośrednią linią telefoniczną z Luft-Warnzentrale (centrala ostrzegawcza obrony przeciwlotniczej), która mieściła się przy wydziale Luftschutz w Policji Ochronnej. Zachowała się instrukcja dla dyżurnych służb

Zbiornik przeciwpożarowy na terenie stacji Postojowej Warszawa-Szczęśliwice.

Studnia przeciwpożarowa na terenie liceum przy ul. Rogalińskiej.

łączności OPL Wodociągów i Kanalizacji z 9 I 1942 roku:

System nadawania meldunków zmienił się pod koniec maja 1942 r., przez wprowadzenie nowych haseł. Wówczas meldunki wyglądały w następujący sposób: *„L (30 bis 11) – Luftgefahr 30 bis 11"* – możliwość, iż za 30 bądź 11 min. nastąpi nalot lotniczy; *„VEZ – Verdunkelungserleichterungen aufgehoben"* – rozkaz całkowitego zaciemnienia obiektu, który nadawany miał być teoretycznie na 30 min. przed spodziewanym atakiem; *„A – Fliegeralarm"* – alarm lotniczy, włączenie syren. Zmienił się również system nadawania haseł. Bezpośrednie połączenie telefoniczne z centralą ostrzegawczą OPL zyskały nowe instytucje, jak np. Elektrownia Tramwajowa, która po otrzymaniu haseł alarmowych przekazywała je przez centralę miejską do obiektów posiadających syreny podchwytujące. Wspomniana elektrownia przekazywała rozkazy do 8 obiektów.

Latem 1942 r. wyznaczono publiczne pomieszczenia przeciwlotnicze *„dla opieki i ochrony ludności w niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej"*, o czym mówi zarządzenie o obronie przeciwlotniczej dla niemieckich mieszkańców Warszawy z 12 VIII 1942 r. Wymienione zostały publiczne pomieszczenia przeciwlotnicze w budynkach: Nowy Świat 16, Książęca 16, Kina Apollo na Pl. Trzech Krzyży, Rozbrat 2 oraz w podziemiach kościołów: pw. Aleksandra, Matki Bożej Częstochowskiej, św. Michała. W dzisiejszym gmachu Liceum im. Batorego mieściło się Luftschutz-Rettungsstelle. Pod koniec 1943 r. wskutek pogorszającej się sy-

„Instrukcja dla
pp. dyżurnych służb
łączności OPL w Centrali Dyrekcji
Wodociągów i Kanalizacji.

I. Centrala Wodociągów i Kanalizacji będzie otrzymywać z Centrali Ostrzegawczej OPL /Luft-Warnzentralle/ uprzedzenia o alarmie lotniczym lub jego odwołaniu w następującej formie: 1./ Luftgefahr /możliwość nalotu/. 2/. L-10, L-15 itp. /uprzedzenie, że za 10 lub 15 minut zostanie zarządzony alarm publiczny/, 3/. Fliegeralarm /alarm lotniczy zarządzony/, 4./ Luftgefahr vorbei lub Entwarnung /niebezpieczeństwo nalotu minęło/ i 5./ Fliegeralarm vorbei lub Entwarnung /alarm lotniczy odwołany/.

Dyżurny ma obowiązek zawiadomienia przekazać do:
1. Inspekcji Sieci Wodociągowej i Kanalizacyjnej (...)
2. Stacji Pomp Rzecznych (...)
3. Stacji Filtrów (...)
4. Intendenta Gmachu Administracyjnego (...).

Zawiadomienie należy podać w sposób następujący: wodociągi godz._ min. _ rodzaj zawiadomienia, jaki został otrzymany z Centrali Ostrzegawczej, /ale nie w skrócie, lecz w brzmieniu, jaki jest podany w ustępie pierwszym w nawiasach/ nadał _ przyjął _.

Po zawiadomieniu wszystkich działów Wodociągów, należy meldunek przekazać do:
1. Gazowni Miejskiej (...)
2. Elektrowni Miejskiej (...)
3. Miejskich Zakładów Komunikacyjnych".

tuacji na froncie wschodnim, a co za tym idzie coraz większym niebezpieczeństwem nalotów lotniczych, rozpoczęto przygotowania do szeregu prac budowlanych na potrzeby biernej obrony przeciwlotniczej. 1 X 1943 r. Prezydent Policji (Polizeipräsident) w Warszawie, dowódca brygady SS i generał-major policji (SS-Brigadeführer und Generalmajor der Polizei) Franz Kutschera, wydał zarządzenie *„w sprawie wykonania przełomów w murach w mieście Warschau"*. Polegało to na wykonaniu w piwnicach kamienic, zbudowanych zamkniętym rzędem a przeznaczonych na ukrycia przeciwlotnicze, wyłomów w ścianach szczytowych. Do tej pracy zobowiązani zostali właściciele budynków, każdy odpowiedzialny był za wyłom w murze do prawego sąsiedniego budynku. Wyłomy miały być wielkości 70×90 cm. Otwór znajdować się miał 40 cm ponad powierzchnią posadzki w piwnicy. Aby zapobiec rozpowszechnianiu się ewentualnego pożaru, wyłomy należało zamknąć na grubość ¼ cegły. Szczegółowych porad dotyczących ich wykonania udzielał Baupolizeiamt Warschau, który mieścił się na ul. Nowy Świat 14 (wydział nadzoru budowlanego przy Zarządzie Miejskim). Przełomy miały być wykonane najpóźniej do 15 XI 1943 roku.

28 II 1944 r. Kilian, zastępca Prezydenta Policji, wydał zarządzenie *„w sprawie urządzenia schronów przeciwlotniczych w mieście Warschau"*. Dotyczyło ono urządzenia ukryć/pomieszczeń przeciwlotniczych (niem. Luftschutzkeller), nazywanych też ogólnie Luftschutzräumen (LSR) – pomieszczenie przeciwlotnicze. Miały być wykonane w domach w niemieckiej dzielnicy mieszkaniowej, służbowych budynkach państwowych, gminnych i związków gmin. Urządzenie ich polegało na zabezpieczeniu przed zasypywaniem gruzem poprzez omurowanie, obsypanie ziemią lub gruzem ścian zewnętrznych ukryć, łącznie z otworami okiennymi, o ile położone były nad ziemią. Za wykonanie tych prac odpowiedzialni byli właściciele oraz administratorzy budynków. Musieli porozumieć się z przedsiębiorstwami budowlanymi w celu wymierzenia materiału (drewna oraz cegły) potrzebnego do przygotowania pomieszczeń przeciwlotniczych. Zapotrzebowanie na materiały budowlane należało potwierdzić w wydziale budowlanym Starostwa Miejskiego, po czym dodatkowo sprawdzał je wydział nadzoru budowlanego Zarządu Miejskiego. Następnie, zamówienie przedkładane było Technicznemu Kierownikowi w Komendzie Policji Ochronnej, i dopiero wówczas wydawano materiał z magazynu Starostwa. Oprócz obmurowywania otworów okiennych w piwnicach przeznaczonych na schrony, wykonywano również inne prace zabezpieczające, nie wymienione w zarządzeniu, jak podstemplowania sufitu drewnianymi belkami, przygotowanie wyjścia awaryjnego, np. przez jedno z okien piwnicznych, gdzie wykonywano zazwyczaj betonowo-ceglaną przelotnię, a we wspomniane okno wstawiano metalową bądź drewnianą klapę (Luftschutzkellerfenster). W wejściach do ukrycia wstawiano również stalowe bądź drewniane drzwi z ryglami.

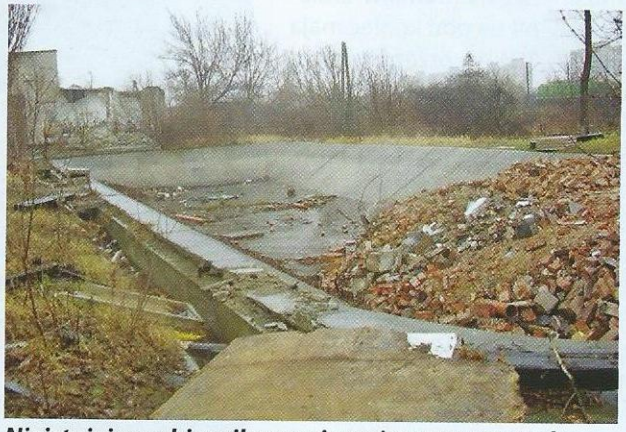

Nieistniejący zbiornik przeciwpożarowy przy Lokomotywowni Warszawa-Praga.

Wyjście ewakuacyjne z pomieszczenia przeciwlotniczego w nieistniejącym już budynku Lokomotywowni Warszawa-Praga.

Jednym z przykładów wykonania takich prac adaptacyjnych jest budynek wydziału Kreishauptamtu Warschau-Land (Starostwo Powiatowe) przy ówczesnej Reichstrasse 85 (Al. Jerozolimskie). Powierzchnia ukrycia wynosiła 91,40 m kw., a wysokość 3,4 metry. Prócz muru przeciw odłamkom przed oknami piwnicznymi, wykonano również „bunkier", odporny na pożary, do składania cennych akt. Podstemplowano sufit drewnianymi belkami, oddzielono pomieszczenie przeciwlotnicze od magazynu piwnicznego oraz przewody gazowe i wodociągowe od sieci miejskiej. Prace wykonała firma Romana Klause, Zbigniewa Norejko oraz Kazimierza Szewczykowskiego. Warto zaznaczyć, iż pomieszczenia przeciwlotnicze pod budynkami oznakowane były strzałkami i napisami LSR – na elewacji ściany frontowej. Wskazywały one kierunek wejścia do ukrycia, jak i wyjścia awaryjne, były swoistą wskazówką dla służb ratunkowych szukających zasypanych ludzi znajdujących się w ukryciu przeciwlotniczym. Od marca 1944 r. do pomieszczeń przeciwlotniczych pod budynkami służbowymi, każdorazowo po zakończeniu pracy należało składać maszyny biurowe. Jako ciekawostkę warto dodać, iż zgodnie z zarządzeniem, do zadań ukrycia przeciwlotniczego na terenie Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, oprócz składowania maszyn biurowych, należało także przechowywanie zapasów biletów tramwajowych oraz trzymiesięczny zapas formularzy, druków, itp. W marcu 1944 r. na polecenie Prezydenta Policji, na ulicach miasta pojawiły się strzały wskazujące kierunek drogi ucieczkowej i do miejsc zbiorowych, przewidzianych dla mieszkańców na wypadek wielkich pożarów przestrzennych powstałych wskutek ataków lotniczych. Najbardziej znane strzały utrwalone na fotografiach, znajdowały się na cokole Pomnika Mikołaja Koperni-

ka, bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Wskazywały one na przemianowany przez okupantów Adolf Hitler Platz (Plac Piłsudskiego). 16 IX 1942r. Komenda Warszawskiej Straży Ogniowej, w związku z konferencjami służbowymi pracowników Straży Ogniowej oraz Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji (odbywających się w Starostwie Miejskim oraz Komendzie Policji w dniach 8 i 9 IX 1942 r.) wystosowała pismo do Starosty Miejskiego – Dyrekcji Policji, do wiadomości Nadradcy Budowlanego Fredricha Pabsta[2], w sprawie budowy zbiorników wody do celów przeciwpożarowych. Z pisma wynika, iż w przypadku uszkodzenia urządzeń zakładów wodociągowych, miejskie wodociągi nie będą mogły dostarczać wody do celów przeciwpożarowych, a co za tym idzie, Straż Ogniowa będzie musiała czerpać wodę z innych źródeł, np. z Wisły, jeziora Czerniakowskiego, kanału Piaseczyńskiego czy stawów ogrodowych itp., które nie były wystarczające ze względu na niewielką ich ilość, nieprzystosowanie dla potrzeb straży oraz rozmieszczenie na terenie miasta. Straż Ogniowa zaproponowała więc budowę m.in. sztucznych zbiorników w miejscach przez nią wskazanych, oraz wykorzystanie piwnic zburzonych kamienic do urządzenia w nich zbiorników wodnych. W tym celu komendant zaproponował zebrać komisję z przedstawicielami: wydziałów Zarządu Miasta-Technicznego, Planowania Miasta, Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji oraz Straży Ogniowej. Komisja miała obejrzeć istniejące zbiorniki wodne oraz ustalić miejsce budowy i koszty sztucznych zbiorników. Nieznany jest przebieg prac komisji, mało tego, nie wiadomo, czy w ogóle się zebrała. Do tematu zbiorników wrócono w październiku 1943 roku. Wówczas Wydział Budowlany przy Starostwie Miejskim zarządził, na podstawie zaleceń Komendy Kierownictwa Technicznego, budowę zbiorników (stawów) przeciwpożarowych (fauerlöschteichen), studni oraz krytych rowów przeciwlotniczych (Luftschutzdeckungsgraben) w obszarze miasta Warszawy. Budowę zbiorników przeciwpożarowych oraz studni rozpoczęto w listopadzie 1943 roku. Początkowa suma robót, przedstawiona w zarządzeniu dla Komisarycznego Burmistrza miasta Warszawy przez Wydział Finansowy Starostwa z 25 XI 1943 r., opiewała na kwotę ok. 1 mln 500 tys. złotych. Zbiorniki, wg dwumiesięcznych sprawozdań Starosty, powstać miały w 36 punktach miasta. Warto zwrócić uwagę na fakt, iż prace budowlane przy zbiornikach przeciwpożarowych na terenach wojskowych, rozpoczęto już w kwietniu 1943 r., i do maja 1943 r. pięć zbiorników znajdowało się w budowie, a kolejnych pięć zostało zatwierdzonych. Do września wykonano zbiorniki w Koszarach przy ul. 11 Listopada o pojemności 1400 m sześć., następne, np. na terenie Reserve Lazaret I przy ul. Wiejskiej, były w budowie.

Pod koniec grudnia 1943 rozpoczęto budowę krytych rowów przeciwlotniczych. Wszystkie prace budowlane, tj. zbiorniki, studnie, rowy przeciwlotnicze, jak już ww., zarządzone były przez Wydział Budowlany – Referat Budownictwa Podziemnego (Tiefbauamt) Starostwa Miejskiego, natomiast ich realizacją zajmował się Wydział Techniczny Zarządu Miejskiego. Prace projektowe, zgodnie z niemieckimi wytycznymi, wykonywał dział architektury, a za nadzór nad pracami budowlanymi odpowiadał dział dróg i mostów. W lutym oraz marcu 1944 r. Wydział Techniczny ogłosił dwa przetargi publiczne związane z budową krytych rowów przeciwlotniczych, tj. 28 lutego na przewóz cegieł do: Parku Agricola – ok. 700 tys. sztuk, Ogrodu Pomologicznego przy ul. Nowogrodzkiej – 50 tys. sztuk, Rozbrat 26 – ok. 30 tys. sztuk, na Jagiellońską – 10 tys. sztuk. Drugi przetarg, ogłoszony 4 III 1944 r., dotyczył przewozu do kilkudziesięciu punktów budowy krytych rowów przeciwlotniczych na terenie miasta: ok. 800 tys. sztuk cegieł oraz ok. 17 tys. sztuk prefabrykatów betonowych o wadze od 70 do 160 kg. Wykonawcy samych rowów, zbiorników i studni byli wybierani prawdopodobnie bez przetargów, przez zapytania ofertowe. Obiekty budowały firmy polskie i niemieckie, jak np.: Krajowe Przedsiębiorstwo Robót Melioracyjnych S.A, Przedsiębiorstwa Budowlane Wolidara Bagieńskiego, firmy Schmidt und Münstermann oraz Heinrich Stickel. Kwoty przeznaczone na budowę pochodziły z budżetu nadzwyczajnego i były to środki zwrotne, zwracane zarządowi miejskiemu przez rząd Generalnej Guberni. Schrony, a raczej kryte rowy przeciwlotnicze, miały łamany kształt, chroniły ludzi tylko przed falą uderzeniową oraz odłamkami powstałymi podczas nalotu, gdyż nie wytrzymałyby trafienia bombą lotniczą. Do obiektów prowadziły po dwa wejścia, które składały się z ciągu schodów oraz pochylni wykonywanych z cegieł i nakrytych betonową przelotnią. Przed wejściem do obiektów budowano murek przeciwpodmuchowy, który od strony zewnętrznej obrzucony był ziemią. W niektórych miejscach murek zastępowano nasypem ziemnym (pryzmą). Same schrony zazwyczaj składały się z trzech, czterech ciągów ko-

Fragment zbiornika przeciwpożarowego w lasku Bielańskim, teren Waldlagru.

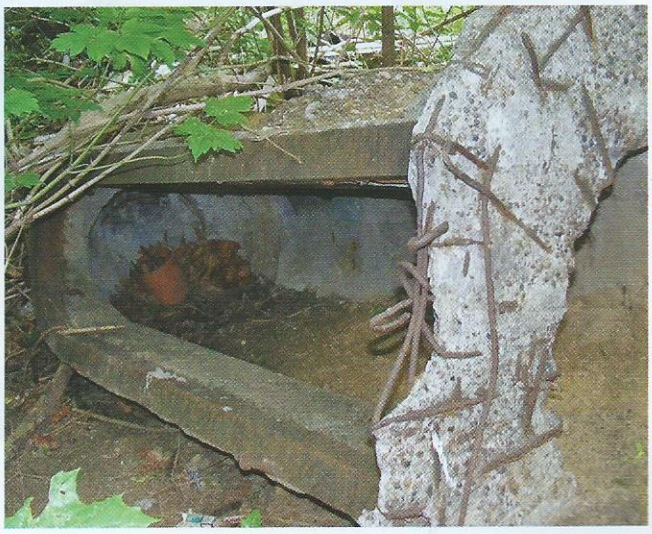

Przewrócony i porzucony jednoosobowy schron – ukrycie przeciwodłamkowe Splitterschutzellen na terenie Gazowni Miejskiej.

rytarzy, posiadały ustęp oraz wyjście awaryjne. Wykonane były z cegieł, betonowych prefabrykatów lub odlewano je z betonu na miejscu budowy. We wnętrzu, po obu stronach korytarzy, umieszczono przytwierdzane do ścian za pomocą żelaznych uchwytów drewniane ławki, oświetlenie stanowiły lampy naftowe. Wentylację zapewniały małe szyby wykonane w środkowej części stropu, na zewnątrz zakończone murowanym bądź metalowym „kominkiem". Całość była nakryta warstwą ziemi od strony zewnętrznej, tworząc wybrzuszenie terenu. Od strony zewnętrznej schrony obsiane zostały trawą przez pracowników wydziału ogrodniczego Zarządu Miejskiego, nasiona dostarczało Starostwo Miejskie. W niektórych miejscach wybudowano, a raczej wykopano, szczeliny bez elementów betonowych obrzucone darniną. Większość rowów na terenie miasta wykonano z prefabrykatów – bloków betonowych produkowanych w Städtisches Betonwerk (Betonowni Miejskiej), wejścia do obiektów itp. budowane były z cegły pozyskanej z terenu byłego Getta Żydowskiego. W lutym i marcu 1944 r. oddano do użytku trzy zbiorniki przeciwpożarowe, natomiast pozostałe ukończono w 70%. Do budowy wykorzystano 630 tys. cegieł z rozbiórki oraz 1650 m sześc. gruzu. W budowie znajdowało się sześć krytych, przeciwlotniczych rowów, a dla kolejnych przewidzianych szczelin wyprodukowano 1 km betonowych prefabrykatów. W okresie kwiecień-maj 1944 r. do użytku oddano dalszych 27 zbiorników, 9 rowów przeciwlotniczych oraz 12 studni. Kolejne obiekty znajdowały się w budowie. Koszty wybudowanych obiektów wyniosły 11 mln złotych, z których Technischen Zentralamt (Centralny Urząd Techniczny)[3] zwrócił miastu jedynie 581 tys. złotych. Z zachowanych materiałów dotyczących budżetu miasta wiadomo, iż w czerwcu 1944 r. prace oszacowane wcześniej na 12 mln 131 tys. złotych, po nowym obliczeniu przez wydział budowlany, wynosiły 23 mln złotych, o czym powiadomiono Główny Urząd Techniczny.

Obiekty obrony przeciwlotniczej budowano również na terenach różnych zakładów, fabryk itp. Zachowane są wnioski o przydziały materiałów budowlanych na ich wykonanie. Materiały dostarczał z magazynów Starosta Miejski. Cegła pochodziła z terenu byłego Getta, natomiast cement z cementowni Rejowiec. Do wybuchu Powstania Warszawskiego powstało 79 rowów przeciwlotniczych, z których ok. 60 było betonowych, pozostałe ziemne, oraz 80 zbiorników przeciwpożarowych (licząc również tereny przedsiębiorstw, fabryk i koszar wojskowych). Najprawdopodobniej od początku lipca 1944 r. na miejsca w krytych rowach przeciwlotniczych wprowadzono kartki: *„Ze względu na ograniczoną ilość schronów publicznych w Warszawie władze okupacyjne wprowadziły kartki uprawniające ich posiadaczy do korzystania ze schronów. Dotychczas takie kartki otrzymali tylko Niemcy"*.

Należy wspomnieć o tym, że budowane przez okupanta zbiorniki przeciwpożarowe, jak również usytuowane przy nich zapasy piasku wykorzystywane były przez dzieci, młodzież oraz dorosłych, o czym donosiła w maju 1944 „gadzinówka" „Nowy Kurier Warszawski": *„W kilkudziesięciu punktach Warszawy, zarówno w Śródmieściu jak i na Pradze, Żoliborzu, Woli, Powązkach czy Mokotowie, przygotowano do celu obrony przeciwlotniczej zapasy piasku i zbiorniki wody. (...) Tymczasem zapasy piasku i zbiorniki wody stały się przedmiotem specjalnego zainteresowania dzieci i młodzieży. Bawią się piaskiem, robią »babki«, roznoszą go (...). Zbiorniki z wodą, szczególnie podczas upałów zamieniły się na pływalnie. Setki amatorów tych kąpieli korzysta z tych zbiorników, zapominając o głębokości tych basenów, czego dowodem* [są] *wypadki utonięć, jak np. w zbiorniku przy 6-go Sierpnia gdzie utonął kilkunastoletni chłopiec. (...) Gromady dziatwy, młodzieży a nawet dorosłych, kopiąc się urządzając skoki z trampoliny, harce, zawody i gry wodne, pomijając już to, że do basenów dzieci wrzucają rozmaite rupiecie kije, gałęzie drzew itp. Interwencje nie tylko, że nie odnoszą pożądanego skutku, a wprost przeciwnie spotykają się tylko z ordynarną reakcją ze strony »basenowiczów«, korzystając ze swej przewagi liczebnej i z tego, że w najbliższej okolicy nie ma policjanta (...)"*.

Przypisy:

[1] Leist w połowie 1941 r. mianowany został Starostą Miejskim. Starostwo Miejskie nadzorowało prace Zarządu Miasta, któremu przewodniczył komisaryczny burmistrz Julian Kulski.

[2] Fredrich Pabst był szefem wydziału budowlanego przy Starostwie Miejskim. Od jego nazwiska pochodził tzw. Plan Pabsta nazwany „Die neue Deutsche Stadt Warschau", który zredukować miał Warszawę do prowincjonalnego miasta. Pabst zginął przypadkowo 13 XII 1943 r. podczas zamachu na urzędnika Emila Brauna.

[3] Centralny Urząd Techniczny powołano w 1943 r. w Krakowie. Podlegał mu w dystryktach Główny Urząd Techniczny, w Warszawie mieścił się w budynku przy ul. Chałubińskiego 3b, przed wojną siedziba Korpusu Ochrony Pogranicza.

Jakub Jakubowski
Varsavianista, miłośnik fortyfikacji.

REKLAMA

Ufortyfikowane mosty kolejowe we Wrocławiu

TEKST: STANISŁAW KOLOUSZEK
ZDJĘCIA: AUTOR. R. MITTER

Wrocław nazywany jest czasem „Wenecją Północy" – tutaj bowiem znajduje się ponad sto różnego rodzaju przepraw. Można śmiało powiedzieć, że istnienie brodów na Odrze umożliwiło powstanie miasta. Mosty od zawsze miały znaczenie strategiczne, gdyż pozwalały na wygodne przerzucanie wojsk ponad przeszkodami, jakie stanowiły rzeki. W XIX wieku rozwój techniki, w tym pojawienie się kolei żelaznej, pozwolił na niebywale szybkie przemieszczanie się całych armii. Linie kolejowe wykorzystują jednak szereg, wbrew pozorom, delikatnej infrastruktury, wymagającej odpowiedniego zabezpieczenia przed zajęciem bądź zniszczeniem przez nieprzyjaciela. Zastosowanie w ochronie przepraw przed działaniami przeciwnika znalazły różnego rodzaju fortyfikacje.

Umocnienia fryderycjańskie likwidowano we Wrocławiu począwszy od roku 1807[1]. Po likwidacji twierdzy, Wrocław stał się miastem otwartym[2]. W latach 40. XIX stulecia wkroczyła do miasta kolej żelazna[3]. W następnych latach Wrocław miał się stać ważnym węzłem kolejowym. W pruskim państwie kolej służyła wojsku, w związku z tym także obiekty kolejowe wymagały ochrony, zwłaszcza zaś mosty i wiadukty kolejowe. Budowano w tym celu niewielkie, zdolne do samodzielnej obrony przeciw rajdom kawalerii dzieła fortyfikacyjne – blokhauzy[4]. Pierwszą linią kolejową, która w bezpośredniej bliskości Wrocławia przecinała nurt Odry, była oddana w roku 1857 linia kolejowa do Poznania. Most wzniesiono nad Odrą w pobliżu wsi Osobowice, obecnie dzielnicy miasta. Przeprawę tę od razu zrealizowano z odpowiednimi umocnieniami na obu brzegach. Sytuacja dobrze widoczna jest na rycinie R. Kassera z drugiej połowy XIX stulecia[5]. Nad nurtem rzeki wzniesiono przęsła o konstrukcji kratownicowej, nad łąkami nadodrzańskimi zadowolono się przęsłami łukowymi. Na rycinie zwracają uwagę blokhauzy na obu brzegach rzeki, ozdobione czarno-białymi pruskimi flagami. Obiekty te zbudowano na fundamentach z masywnych ciosów kamiennych, mają po dwie kondygnacje z wyraźnymi strzelnicami artyleryjskimi. Całość przywodzi na myśl realizację redit pruskich fortów poligonalnych.

Innym znanym przedstawieniem ikonograficznym blokhauzów mostu „osobowickiego" jest zdjęcie lotnicze z 31 V 1931 r. przedstawiające zjazd „Stalhelmu" – dość dobrze widać na nim blokhauz na południowym brzegu[6]. Budowla ma jeszcze obie kondygnacje, wjazd na most ograniczony jest murem z bramą. Przed mostem widoczny jest natomiast, już „zdemilitaryzowany", ziemny szaniec baterii artyleryjskiej uformowanej w barkan[7]. Do dziś zachowały się resztki dolnej kondygnacji tego właśnie blokhauzu. Obiekt ten składał się z dwóch części: zachodniej – większej i położonej na międzytorzu wschodniej – mniejszej części. Część zachodnia miała w dolnej kondygnacji wtórnie wykonane wejście (przerobione z ambrazury armatniej) oraz strzelnicę artyleryjską. W górnej kondygnacji znajdowały się trzy takie strzelnice – skierowane na północ i zachód, na most zaś wychodziły okna nie posiadające jednak cech typowych strzelnic artyleryjskich. Naroża blokhauzu były ścięte. Ściany powstałe w załamaniach miały na każdej kondygnacji po trzy strzelnice karabinowe. Całość wieńczył ozdobny krenelaż. Część wschodnia blokhauzu miała nieco inny wygląd, który nie całkiem można dziś odtworzyć. Tylko w północnej części naroża górnej i dolnej kondygnacji były ścięte, tak, jak miało to miejsce w zachodniej części budowli. Dzięki wyposażeniu ściętych części w strzelnice karabinowe, możliwe było obustronne ryglowanie wjazdowego toru do miasta. Tor wyjazdowy ryglowany był jednostronnie, z części wschodniej dzieła. Do dziś zachowała się ruina dolnej kondygnacji blokhauzów na północnym brzegu rzeki. Po drugiej parze budowli na drugim brzegu – nie pozostał nawet ślad. W 1865 roku planowano budowę Kolei Prawego Brzegu Odry. W związku z założonym przebiegiem linii kolejowej przez przedmieścia Wrocławia, zaprojektowano dwa mosty kolejowe – na Popowicach i Karłowicach. W roku 1866 Prusy prowadziły wojnę z Austrią, w związku z tym budowę przesunięto na lata 1867-1868.[8] Wraz z mostami na Odrze zaprojektowano blokhauzy strzegące przepraw. Oba mosty w założeniu miały mieć identyczne umocnienia, składające się z pojedynczego schronu na każdym brzegu rzeki, wyposażonego w strzelnice karabinowe (tzw. typu pruskiego) oraz zamykające podejście do mostu mury, wyposażone w pionowe strzelnice broni ręcz-

Widok na strzelnice ryglujące wiadukt nad ulicą Osobowicką.

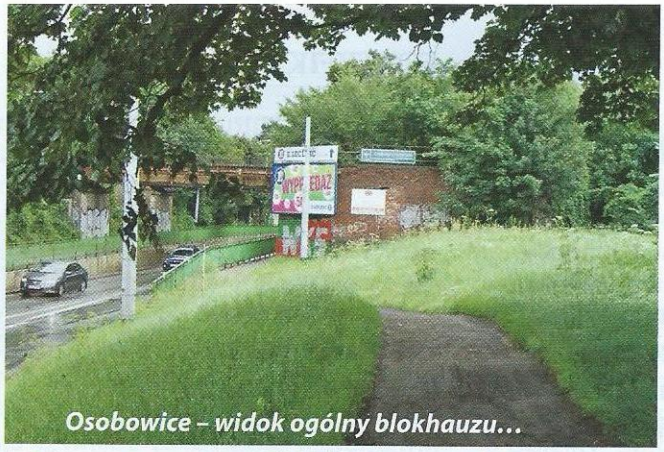

Osobowice – widok ogólny blokhauzu...

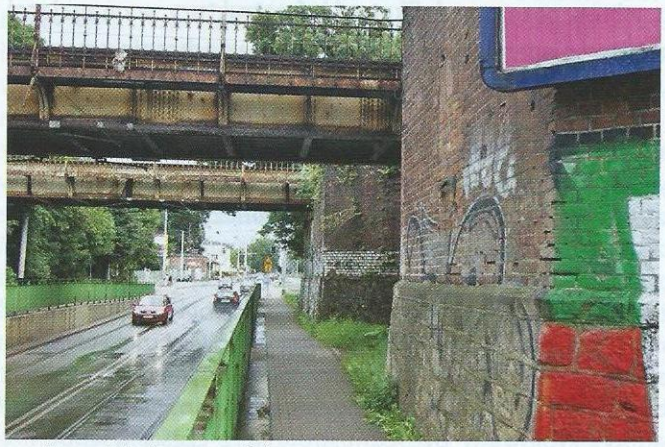

... i na obie jego części.

Widok blokhauzu przy moście kolejowym na Karłowicach.

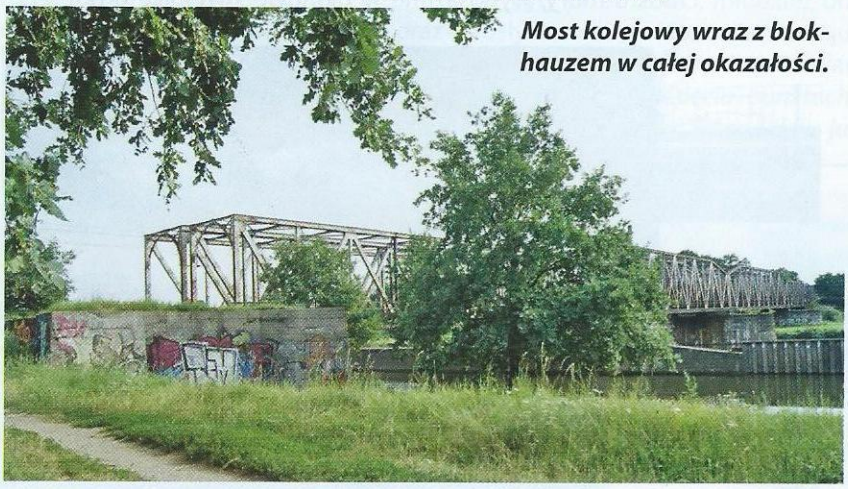

Most kolejowy wraz z blokhauzem w całej okazałości.

nej. Tor kolejowy zamykany mógł być stosowną bramą[9]. W środkowych filarach mostu na Odrze Żeglownej, na Popowicach, zrealizowano komory minerskie[10]. Sam schron miał wymiary około 7,5×7,8 metra – na dłuższej ścianie wyposażony był w cztery strzelnice, na krótszej – w trzy. Wejście do blokhauzu zrealizowano od strony murowanej „reduty", zamykającej tor kolejowy. Sama reduta, o kwadratowym narysie, miała kilkanaście strzelnic karabinowych. Plany sytuacyjne z końca XIX stulecia, przedstawiają zaplanowane założenia obronne jako już przebudowane.

Być może w związku z odbudową twierdzy wrocławskiej[11], umocnienia mostu na Popowicach straciły na znaczeniu, i z czasem uległy częściowej likwidacji. W 1891 roku wciąż przywiązywano wagę do fortyfikacji mostu kolejowego na Karłowicach. Blokhauz na południowym brzegu Odry przebudowano – zniesiono mury broniące dostępu do przeprawy, zastępując je kratą (być może forteczną)[12]. Nie wiadomo niestety, jak wyglądały wówczas umocnienia na północnym brzegu rzeki. Nie była to jednak ostatnia z modernizacji umocnień przeprawy kolejowej na Karłowicach. Prawdopodobnie w związku z planowaną rozbudową, w latach I wojny światowej, rozpoczęto budowę nowych fortyfikacji, których być może nigdy nie ukończono – te właśnie umocnienia widoczne są na miejscu do dzisiaj.

Fortyfikacje przepraw kolejowych nie wchodziły w skład twierdzy wrocławskiej z lat 1890-1914. Nie figurują w zestawieniach przygotowanych przez Fortyfikację Wrocław dla Między Alianckiej Komisji Kontroli. Co ciekawe, w zestawieniach tych wymieniono jednak przeprawy kolejowe w Lubiążu i Ścinawie oraz drogową w Ścinawie, umocnione podobnymi do wrocławskich fortyfikacjami, przy moście drogowym w Ścinawie zachowanymi do dziś[13]. Takie potraktowanie umocnień mostów kolejowych we Wrocławiu, podyktowane było prawdopodobnie upadkiem znaczenia tych fortyfikacji w czasie narodzin nowoczesnej Twierdzy Wrocław. Przeprawy znajdujące się pomiędzy silnymi twierdzami we Wrocławiu i Głogowie wciąż wymagały jednak solidnej ochrony, zapewnionej przez budowle i fachowy nadzór nad nimi sprawowany przez wrocławski urząd fortyfikacyjny.

Przypisy:

[1] G. Podruczny, „Twierdza Wrocław w okresie fryderycjańskim – Fortyfikacje, garnizon i działania wojenne w latach 1741-1806", Wrocław 2009, str. 17

[2] M. Kaczmarek, M. Goliński, T. Kulak, W. Suleja, „Wrocław dziedzictwo wieków", Wrocław 1997, str. 129-131

[3] „Wrocławskie dworce kolejowe", red. M. Zwierz, Wrocław 2006, str. 16

[4] J. Franczak, W. Grabowski, P. Nowiński, M. Żebrowski, „Twierdza Grudziądz – Monografia", Grudziądz 2010, str. 239-253

[5] R. Kasser, „Entwurf der Brücke der Breslau-Posen-Glogauer Eisenbahn bei Breslau, nach einer Originalzeichnung".

[6] R. Eysmontt, T. Urban, „Breslau im Luftbild der Zwischenkriegszeit", Wrocław 2008, str. 63

[7] J. Bogdanowski, „Architektura obronna w krajobrazie Polski – Od Biskupina do Westerplatte", Warszawa-Kraków 1996, str. 511

[8] „Wrocławskie dworce kolejowe", red. M. Zwierz, Wrocław 2006, str. 187-198

[9] Archiwum Budowlane Miasta Wrocławia, teczka plansz 208, rzut 26019

[10] ABMW, teczka plansz 208, rzut 26018

[11] A.K.O. 9.5.1889

[12] ABMW, teczka plansz 208, rzut 5719

[13] „Erlauterung über Festung Breslau"

Stanisław Kolouszek

Wrocławian, członek Wrocławskiego Stowarzyszenia Fortyfikacyjnego. Od wielu lat zajmuje się zgłębianiem wiedzy i tajemnic dotyczących wrocławskich fortyfikacji.

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Piotr Mateusz Bartoszewski „Zaginiony pułk", opr. miękka, str. 144, wyd. Piotr M. Bartoszewski. Cena: 21 zł

Historia wrześniowych działań 7. pułku piechoty Legionów w Chełmie z 3. Dywizji Piechoty Legionów przedstawiona dzień po dniu. Autor postanowił opisać te zdarzenia, tak jak je widzieli żołnierze tego pułku i tylko w miejscach, gdzie to było konieczne rozszerzać tło wydarzeń. Takie spojrzenie umożliwiło mu dotarcie do wielu relacji, dotąd w większości niepublikowanych, przechowywanych w rodzinnych archiwach, uzupełnione o kwerendę w IPiMS w Londynie, CAW i BU KUL. Uzupełnieniem historii zmagań wojennych, jest m. . skład osobowy 7. pp do czasu wyjazdu na front (korygując w wielu miejscach ustalenia podane przez Ludwika Głowackiego w swoich „Działaniach wojennych na Lubelszczyźnie w roku 1939") oraz biogramy z fotografiami żołnierzy pułku (znajdujących się na stronie internetowej Lubelszczyzna 1939).

Piotr i Wiesław Słupczyńscy „Armata przeciwlotnicza 75 mm wz. 36 i wz. 37", opr. twarda, str. 120, wyd. Piotr i Wiesław Słupczyńscy. Cena: 63 zł

Armata przeciwlotnicza 75 mm będąca tematem tego opracowania, związana jest od początku konstrukcji aż do udziału w wojnie 1939 r. z Zakładami Starachowickimi. W publikacji opisano historię tych zakładów, przebieg prac nad konstrukcją armaty, jej budowę i działanie, wykorzystywaną amunicję, motoryzację artylerii przeciwlotniczej, działoczyny przy omawianej armacie, przeciwlotnicze aparaty centralne i nasłuchowniki, organizację baterii armat przeciwlotniczych i udział tego rodzaju sprzętu w działaniach wojennych 1939 roku. Budowę, działanie i wyposażenie armaty objaśniają nie tylko teksty, ale także zdjęcia, schematy, przekroje oraz tabele, w których zebrano dane techniczne i skuteczność działa. Bogaty materiał ilustracyjny zgromadzony w książce stanowi jedną z największych zalet tej publikacji.

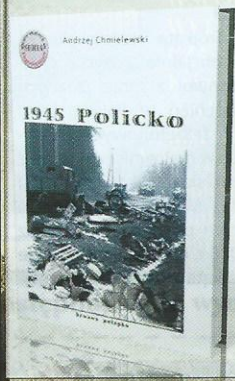

Andrzej Chmielewski „1945 Policko – krwawa pułapka", opr. miękka, str. 70, wyd. Literat. Cena: 17,60 zł

Kolejny zeszyt z serii Germania opisuje walki na pszczewskim odcinku Trzcielskiej Pozycji Przesłaniania (Tirschtiegel Riegel) i bitwę, która rozegrała się w lasach w okolicach Policka, w ostatnich dniach stycznia 1945 roku. Gdy żołnierze niemieccy wraz z ludnością cywilną rzucili się do ucieczki, zmierzali wprost ku krwawej pułapce. Praca oparta jest na relacjach świadków i dokumentach archiwalnych. Publikację opatrzono kilkoma mapkami i unikalnymi zdjęciami ukazującymi pobojowisko w okolicach Policka.

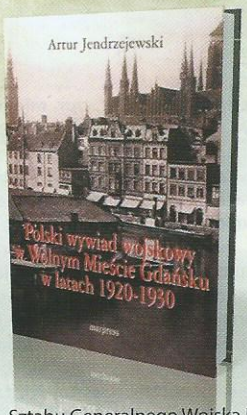

Artur Jendrzejewski „Polski wywiad wojskowy w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1920-1930", opr. miękka, str. 290, wyd. Marpress. Cena: 36 zł

W książce przedstawiono organizację i działalność polskiego wywiadu wojskowego w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1920-1930. Obszar ten uznawany był wówczas za niezwykle trudny do prowadzenia działalności wywiadowczej. Na obszarze Wolnego Miasta Gdańska z polskimi strukturami wywiadowczymi rywalizowały służby radzieckie i niemieckie. W konfrontacji tej polski wywiad odnosił liczne sukcesy. Pracę gdańskiej Ekspozytury Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, Centrala oceniała dość wysoko. W publikacji ukazano również sylwetki oficerów kierujących Ekspozyturą: Karola Dubicza, Alfreda Birkenmayera i Jana Henryka Żychonia. W pracy nie zabrakło także opisów niektórych afer szpiegowskich, często z obywatelami Wolnego Miasta Gdańska w roli głównej.

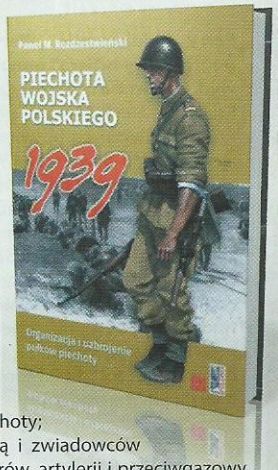

Paweł Rozdżestwieński „Piechota Wojska Polskiego 1939", opr. miękka, str. 112, ZP Wydawnictwo. Cena: 35,40 zł

Niniejsza praca w sposób kompleksowy omawia stan, organizację i uzbrojenie polskiej piechoty w momencie wybuchu II wojny światowej. Publikacja podzielona jest na 3 części. W pierwszej przedstawiono ogólny zarys funkcjonowania piechoty w 1939 roku. W części drugiej pt. „Organizacja mobilizacyjna pułku piechoty czynnej" omówiono następujące jednostki i formacje wojskowe: dowództwo pułku piechoty; organa kwatermistrzowskie jednostek pozabatalionowych pułku piechoty; kompanię gospodarczą, przeciwpancerną i zwiadowców pułku piechoty; plutony łączności, pionierów, artylerii i przeciwgazowy. W rozdziale trzecim opisano batalion piechoty jego dowództwo, kompanię strzelecką oraz 3. kompanię karabinów maszynowych i broni towarzyszących w etacie mobilizacyjnym. Publikacja wyróżnia się dużą ilością zdjęć archiwalnych, współczesnych rysunków i fotografii rekonstrukcyjnych, a także tabel i map.

Tadeusz M. Płużański „Bestie 2", opr. twarda, str. 358, Wydawnictwo 2 Kolory. Cena: 49 zł

Druga część bestsellerowej książki Tadeusza M. Płużańskiego. Autor, syn więźnia systemu stalinowskiego, opisuje działalność osób, które w czasach komunizmu mordowały lub wydawały wyroki śmierci na polskich patriotów i które (w większości) nigdy nie zostały za to ukarane. Pochodziły z różnych środowisk, bywały z pochodzenia Żydami, Polakami, Ukraińcami, miały piękne, a także paskudne rodowody okupacyjne, ale zjednoczyła je nadgorliwość wobec reżimu stalinowskiego. W publikacji poruszono również kwestię prób osądzenia i ukarania stalinowskich oprawców w III Rzeczypospolitej. W jednym z rozdziałów autor zdecydował się także opisać niektóre zbrodnie niemieckie popełnione na narodzie polskim podczas II wojny światowej.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź

na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Damian Fierla „Śląsk 1939", opr. miękka, str. 96, wyd. Taktyka i Strategia. Cena: 21,90 zł

Kolejny, trzynasty tom serii „Wielkie bitwy historii". Praca jest bogato ilustrowana mapkami, kolorowymi planszami i często unikalnymi, niepublikowanymi wcześniej zdjęciami. Autor opisał teatr działań wojennych, przedstawił siły przeciwników, walki i dywersję przed wybuchem wojny, kolejne dni zmagań o Śląsk i w końcu polski odwrót oraz niemieckie represje wobec ludności i oddziałów samoobrony. Ostatni rozdział poświęcił na omówienie obrazu walk na Śląsku we wrześniu 1939 r. w propagandzie PRL i współcześnie.

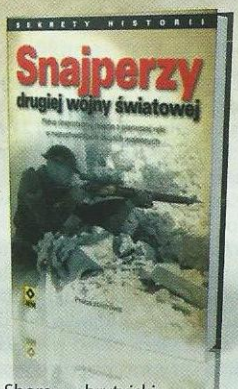

„Snajperzy drugiej wojny światowej", praca zbiorowa, opr. miękka, str. 214, Wydawnictwo RM. Cena: 34,80 zł

W książce przedstawiono sylwetki i kariery najważniejszych snajperów II wojny światowej. Przez wielu byli podziwiani jako doskonali wojownicy, przez innych potępiani jako bezwzględni zabójcy. Opisano tutaj m.in. takie postacie jak: Simo Häyhä – fiński strzelec wyborowy, najskuteczniejszy snajper w historii wojen; Ludmiła Pawliczenko – nazywana najgroźniejszą kobietą świata; Wasilij Zajcew – najsłynniejszy snajper radziecki; Clifford Shore – brytyjski snajper, szkoleniowiec, teoretyk i historyk; Bert Kemp – żołnierz z przymusu o niezwykłym snajperskich talencie; Sepp Allerberger – pochodzący z Austrii strzelec wyborowy Wehrmachtu; Patrick Devlin – waleczny strzelec irlandzki; Harry M. Furness – angielski mistrz kamuflażu. Osobne rozdziały poświęcono również innym snajperom brytyjskim oraz strzelcom japońskim.

Perry Biddiscombe „Werwolf. Brunatni pogrobowcy Hitlera", opr. miękka, str. 528, wyd. Czerwone i Czarne. Cena: 39,90 zł

Książka kanadyjskiego profesora historii i nauk politycznych poświęcona jest działalności zbrojno-dywersyjnej Werwolfu – nazistowskiej partyzantki po II wojnie światowej, działającej na terenach okupowanych Europy. Już w 1944 r. służby niemieckie planowały zorganizowanie, na wypadek klęski Rzeszy i okupacji terytorium Niemiec, zbrojnego ruchu oporu – Werwolfu. Miała na celu prowadzenie dywersji na zapleczu przeciwnika oraz osłabianie i zwalczanie władz okupacyjnych. Nim został zlikwidowany, zadał sprzymierzonym znaczne straty.

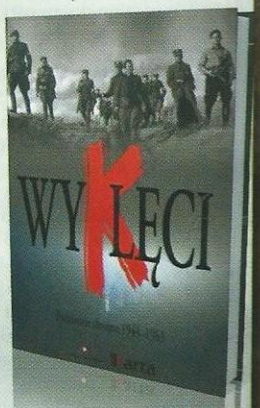

„Wyklęci. Podziemie zbrojne 1944-1963", oprac. M. Markowska, opr. miękka, str. 208, wyd. KARTA. Cena: 20 zł

W publikacji zebrano relacje żołnierzy podziemia niepodległościowego, którzy nigdy nie pogodzili się z przejęciem władzy w Polsce przez komunistów. Pozbawieni nadziei na zwycięstwo, trwali często długie lata w walce, dając świadectwo wierności Polsce. Ostatni z „wyklętych" – Józef Franczak – zginął dopiero w październiku 1963 roku. Wszyscy oni musieli mierzyć się nie tylko z siłami agresora, ale również z jego gigantyczną i bezwzględną propagandą. To właśnie przez nią na długie lata stali się „żołnierzami wyklętymi" – nie wolno było o nich mówić, ani czcić pamięci tych spośród nich, którzy zginęli w walce za wolność ojczyzny.

Sylwester Polakowski „Pozostałości założeń dworskich województwa podkarpackiego", opr. twarda, str. 596, wyd. Lygian. Cena: 79,80 zł

Publikacja ma na celu zapoznać, przybliżyć, zainteresować architekturą dworską i jej szczegółami oraz pozwolić czytelnikowi odczuć niezwykłą atmosferę szlacheckiej siedziby z minionych wieków. Omówiono ponad 400 założeń dworskich z woj. podkarpackiego. Opis każdego z miejsc zawiera krótką historię własności na przestrzeni stuleci oraz historię miejsca i jego zabudowy w odniesieniu do kolejnych właścicieli dóbr. Wszystko to zilustrowane jest bogatym materiałem fotograficznym, prezentującym m.in. zachowane do dziś (choć często w ruinie) dwory, stajnie, spichlerze, oranżerie, architekturę ogrodową, kaplice, piwnice oraz geometryczne nasadzenia roślinne jak aleje, szpalery czy okazy wyjątkowych drzew – w sumie ponad 2300 fotografii. Praca zawiera również portrety właścicieli dworów i pałaców, mapę z propozycjami 18 tras regionalnych, opisy dojazdu i dostępności poszczególnych obiektów oraz indeks osób i miejscowości.

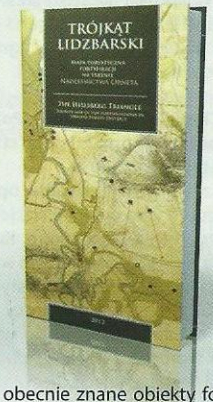

Arkadiusz Woźniakowski „Trójkąt Lidzbarski – mapa turystyczna fortyfikacji na terenie Nadleśnictwa Orneta", opr. miękka, wyd. Studio Projektowe-Arkadiusz Woźniakowski. Cena: 11 zł

Fortyfikacje Trójkąta Lidzbarskiego, nazywanego oficjalnie Pozycją Lidzbarską, są jednymi z mniej znanych zespołów umocnień w Polsce. Setki betonowych i żelbetonowych schronów rozsianych w malowniczym rejonie Warmii są często skrzętnie ukryte przed oczami turysty. Mapa jest wynikiem prac badawczych prowadzonych przez autorów od 2008 r. i pokazuje wszystkie obecnie znane obiekty fortyfikacyjne Trójkąta Lidzbarskiego znajdujące się na terenie Nadleśnictwa Orneta.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

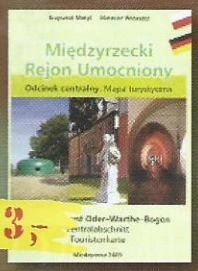

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY"
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

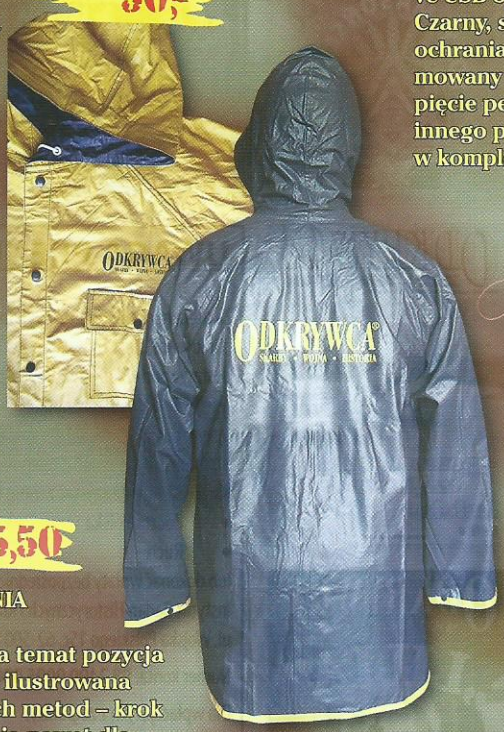

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY"
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET"
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY"
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

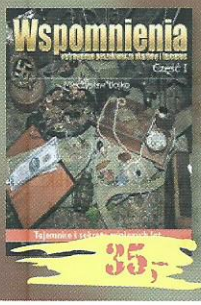

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

przód

tył

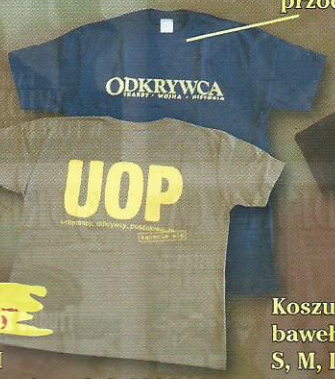

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

tył

przód

20,-

Koszulki „Odkrywcy" z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: S, M, L. Kolor oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca" z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 4/171

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko .....

kod pocztowy ..... miejscowość .....

ulica ..... nr domu .....

telefon .....

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy" zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego .....

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

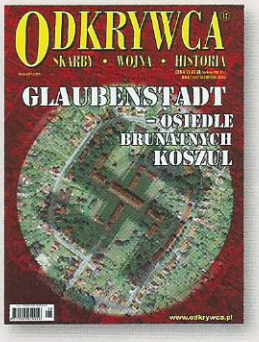

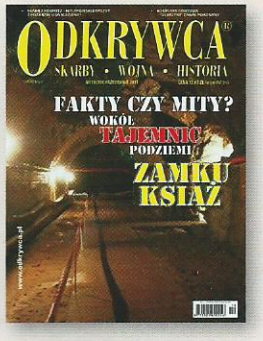

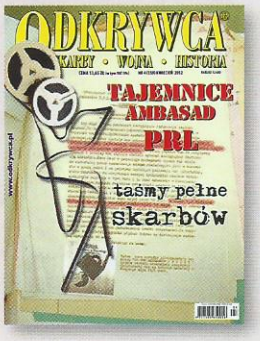

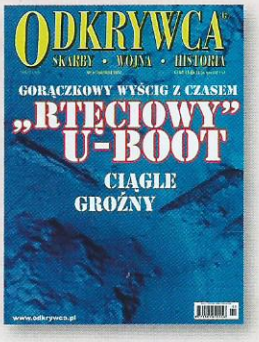

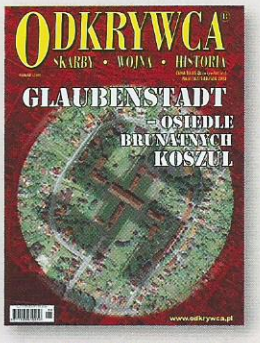

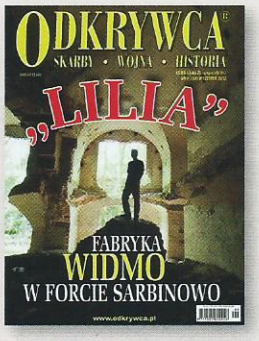

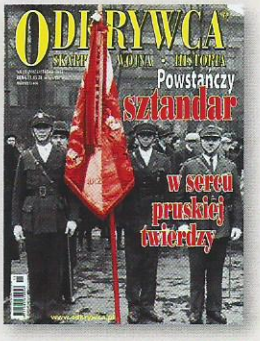

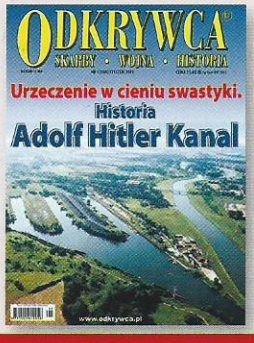

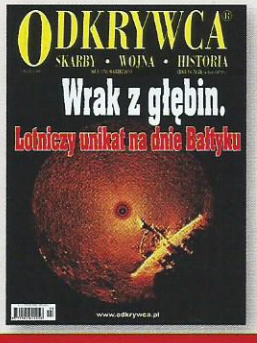

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca”. Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł
- roczniki 2010 do 2011 – cena 108 zł
- Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

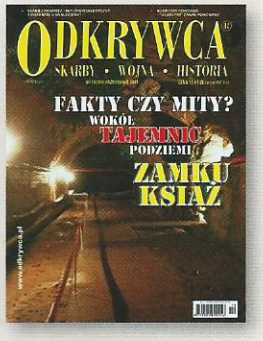

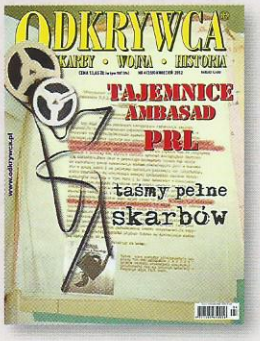

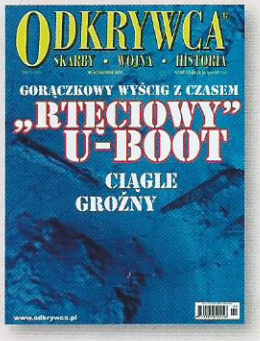

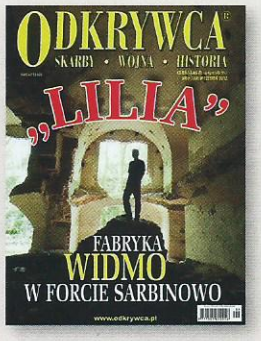

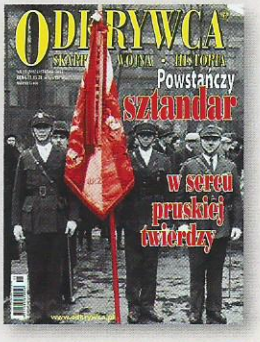

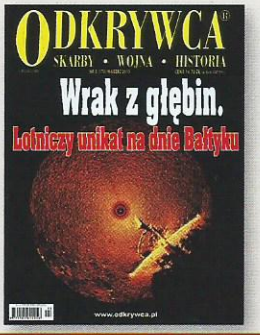

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł
- roczniki 2010 do 2011 – cena 108 zł
- Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71